

De II. 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 173.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

SERYA V.

Marzec.

TOM I. — ZESZYT III.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektoralna, Nr. 14.

— 477 —
Ukończono druk dnia 1 marca 1884 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Kwestya językowa w Austrii. (Przyczynek do historyi nowocześniejszej Austro-Węgier). Przez Eugeniusza Lipnickiego.	329
II. Pierwsi orientaliści i archeologowie polscy. Napisał Ludwik Dębicki.	363
III. O własnej sile. Komedya w trzech aktach wierszem, oryginalnie napisana. Przez Juliana Adolfa Świącickiego. (Dokończenie).	385
IV. Piltyń i archiwum piltyńskie. Przez br. Gustawa Manteuffla. (Dokończenie).	429
V. Nowe poglądy na elektryczność ziemską W. Siemensa. Przez F. Sulimierskiego.	441
VI. Kronika paryska, literacka, naukowa i artystyczna. Zmarły historyk Henri Martin.—Dramatyczny poemat „Wercyngetoryks.“	448
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Kazimierz Stronczyński: Dawno Monety Polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów. Część I. Piotrków, 1883. Przez Józefa Przyborowskiego.	462
VIII. Korespondencya do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Fr. Dobrzańskiego	484
IX. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. — Zjazd historyczno-literacki imienia Jana Kochanowskiego w Krakowie dnia 28, 29 i 30 maja r. b. (486).—Botanika Jul. Wiesnera.—Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej (488).—Ostatnie chwile Mickiewicza w Carogrodzie (489).—Szkoła rzemiosł (490).—O. Pierling: „O stosunkach Batorego do Rosyi” (491).—Stypendyum Ignacego Boczylińskiego.—Angelo de Gubernatis: „Revue Internationale.” 486—492	



De. II 1.

Kwestya językowa w Austryi.

NAPISAL

Eugeniusz Lipnicki.

Artykuł XIX konstytucyi austryackiej. — Wniosek hr. Wurmbranda, domagający się postanowienia prawnego języka państwowego. — Rozprawy w radzie państwa.

Od dnia 24—29 stycznia r. b. toczyły się w izbie poselskiej wiedeńskiej rady państwa rozprawy najdonioślejsze od czasu uchwalenia praw zasadniczych, czyli konstytucyi w r. 1867. Na samym wstępie jeden z najwymowniejszych mówców lewicy, dr. Tomaszczuk, profesor wszechnicy czerniowieckiej, oświadczył: „Przyszły dziejopisarz naszych czasów, szukając dobitnego przykładu uwydatnienia teraźniejszego położenia Austryi, nie mógłby uczynić trafniejszego wyboru, jak gdyby opowiedział jasno i prawdziwie, spokojnie i przedmiotowo, wstępne dzieje naszych dzisiejszych rozpraw.” I rzeczywiście wiele w tém prawdy. Co zaś dotyczy samych długich, gruntownych, świetnych, chwilami wznoszących się na szczyt parlamentarnej wymowy rozpraw, wyjaśniły one dużo.

Najświetniejszy mówca prawicy, poseł Otton Hausner, w téj mierze oświadczył: „Nie spodziewałem się po tych rozprawach dodatnich rezultatów. Atoli przyznaję, że się omyliłem. Dla bezstronnego badacza wynikły bowiem z tych rozpraw dwa jasne fakta, dwie podstawy trafnego ocenienia położenia i stronictw. Po pierwsze: przyznanie językowi niemieckiemu pewnych prerogatyw, o ile one wydają się potrzebnymi ze względu na jedność państwa; większość wypowiedziała to tak w wniosku Grocholskiego, jakoteż przez usta wszystkich swych mówców, odpychając domysły i zarzuty rzekomej naszej nienawiści dla języka niemieckiego. Powtóre: stanowcze podniesienie przez mówców prawicy wolnomyślnych zasad naszych względem ludzi używających różnych języków i inaczej myślących, gdy przeciwnie lewica ciągle powołuje się na przestarzałe tradycje i wzory absolutyzmu, wyrzekając się tém samym nazwy stronictwa liberalnego i wiernokonstytucyjnego. Mogę więc

spokojnie i zgodnie z prawdą zaznaczyć, że nam należy się tytuł stronnictwa wolnomyślnego i postępowego, gdy panowie (lewica) jesteście wstecznikami i absolutystami.”

Nadto rozprawy wyjaśniły fakt, że stronnictwo niemieckie, jak w r. 1867 pogodziło się z myślą przyznania Węgrom samorządu, tak teraz oswaja się z myślą wyjęcia Galicyi i Dalmacyi z pod zakresu działania germanizacyi. Wszyscy bowiem mówcy lewicy podnosili, że proponowana ustawa o języku państwowym w niczem nie ma naruszać istniejących dziś stosunków w wymienionych dwóch prowincjach, które mają przeciwnie, otrzymać i względnie zachować stanowisko odrębne. Myśl tę poruszono wprawdzie w kołach niemieckich już w r. 1870. Od tego czasu uczyniła ona widocznie znaczny postęp, bo podbiła sobie nawet takich posłów niemieckich, którzy dotąd na mocy swych przekonań centralistycznych sprzeciwiali się stanowczo nadaniu którejkolwiek prowincyi odrębnego stanowiska. Zmianę tę w wyobrażeniach stronnictwa niemieckiego sprowadziły czteroletnie rządy hr. Taaffego; im więcej zaś zaostrza się spór pomiędzy Niemcami a Czechami, tém też stronnictwo niemieckie staje się skłonniejszem przyznać Galicyi i Dalmacyi samorząd, aby wszelkimi siłami pracować nad germanizacją Czech i prowincyi, zamieszkałych przez słoweńców. Nateraz zapisujemy fakt ten jako dowód, że dawne stronnictwo centralistyczne, wiernokonstytucyjne i t. d., coraz wyraźniej zamienia się w stronnictwo czysto niemieckie, mające na oku wyłącznie cele niemiecko-narodowe, co staje się rzeczą ważną nie tylko ze względu na wewnętrzne sprawy austriackie, lecz także na stosunki międzynarodowe.

Nakoniec wynik głosowania, przy którym upadł i wniosek hrabiego Wurmbranda i wniosek Grocholskiego, dowodzi, że wprawdzie stronnictwo niemieckie nie było zdolnem przeprowadzić doniosłych zmian konstytucyi, do których zdążyło, ale też autonomiści, nie mogąc z pewnością liczyć na swych niemieckich sprzymierzeńców (konserwatyistów), ani też na rząd (bo ministrowie nie wzięli udziału w głosowaniu nad wnioskiem Grocholskiego), nie zdołali należycie obwarować pozycyi autonomistycznej przed ponownym zamachem lewicy. Przyjęty wniosek Grocholskiego byłby w sposób pożądaný zatwierdził autonomistyczny pierwiastek konstytucyi, wykluczający z pod kompetencyi rady państwa takie sprawy, jak uporządkowanie stosunków językowych w prowincjach, oraz zgodnie z artykułem XIX o równouprawnieniu narodowości byłby zaznaczył, że prerogatywy, przyznane językowi niemieckiemu, są tylko dobrowolnem ustępstwem ze strony innych narodów monarchii habsburskiej. Odrzuceniem obu wniosków kwestya nie została więc załatwiona ani nawet tak, jak spór asesora z rejentem, gdy szarak wpadł w konopie.

Przystępujemy teraz do określenia dziejów i znaczenia artykułu 19-go konstytucyi austriackiej, do objaśnienia wniosku hr. Wurmbranda i streszczenia odnośnych walnych rozpraw w izbie poselskiej rady państwa wiedeńskiej.

1. Artykuł XIX.

Artykuł XIX konstytucyi austryackiej, czyli tak zwanéj „ustawy o powszechnych prawach obywateli,” z 20 grudnia r. 1867, brzmi:

a) Wszystkie narody państwa są równouprawnione i każdy naród posiada nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości i języka.

b) Państwo uznaje równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, urzędach i życiu publiczném.

c) W krajach, zamieszkałych przez kilka narodów, publiczne zakłady naukowe urządzone będą w taki sposób, aby bez przymusu uczenia się drugiego języka krajowego, każdy naród otrzymał niezbędne środki celem kształcenia się w swym własnym języku.

Jeżeli wartość konstytucyi zawisła od tego, aby nie była improwizacją, wynikiem chwilowego nastroju i zmiennych konstelacyi parlamentarnych, ani téż przyswojeniem sobie obcych, nieodpowiednich wzorów, lecz dojrzałym owocem swojskiej niwy i wyrobem dziejowym, natenczas śmiało nazwać można przytoczony artykuł XIX najcenniejszą częścią konstytucyi austryackiej. Jest on bowiem wynikiem walk i pracy dziejowej, która się rozpoczęła w najdawniejszych, zamierzczłych czasach, gdy nad Dunajem starły się narody szczepu germańskiego, romańskiego i słowiańskiego, do których niebawem dołączył się madziarski, a trwała ta praca dziejowa do najnowszych czasów. Aby dokładnie wyjaśnić artykuł XIX, trzeba by opowiedzieć całe długie dzieje narodów, które dziś wchodzą w skład monarchii austryacko-węgierskiej. Trzeba by mianowicie przypomnieć, jak się losy tych narodów ważyły na pobojuwisku nad Morawą, gdzie zwyciężył Rudolf habsburski a poległ król Ottokar czeski, potem za czasów Macieja Korwina, który pewien dekret podpisał: „datum Viennae in Hungaria,” później na pobojuwisku Białej Góry i znowu dnia 12 września r. 1683 pod Wiedniem, w końcu zaś w burzach wojen napoleońskich, z których monarchia austryacka ostatecznie wyszła mniejwięcej w swym składzie dzisiejszym.

Nie sięgając tak daleko w przeszłość Austryi, możnaby dzieje artykułu XIX datować od 11 maja r. 1784, w którym to roku cesarz Józef rozpoczął swój system germanizatorski, podnosząc nie tylko język niemiecki do godności państwowego (Staatssprache) i urzędowego (Amtssprache), lecz także wprowadzając go do wszystkich zakładów naukowych całej monarchii austryacko-węgierskiej. Ten bowiem śmiały zamach na przyrodzone i historyczne prawa wywołał po stronie zagrożonych w swych najświętszych interesach narodów ów stanowczy opór, który, wzmagając się w miarę rozkwitu i tryumfów nowożytnej zasady narodowości, wreszcie po długich walkach wydał ów artykuł XIX, będący uroczystym odwołaniem wymienionego rozporządzenia cesarza Józefa z r. 1784. Że jednak pod koniec wieku zeszłego i w pierwszej połowie bieżącego na czele opozycyi przeciwko germanizacyi i centralizacyi stali węgry, którzy nateraz pozostawają po-

za obrębem austriackich sporów językowych, chociaż nie trudno przewidzieć, że zwycięstwo dążności germanizacyjnych w Austrii w przyszłości znowu oddziaływałoby stanowczo na kraje za Litawą, rozważymy tu przeto tylko okres od r. 1848, czyli od pierwszego sejm austriackiego, aż do uchwalenia konstytucji grudniowej w r. 1867. Główną treść tego okresu stanowi właśnie walka językowa, która ostatecznie skończyła się przynajmniej w teorii artykułem XIX wymienionej konstytucji.

Ustępując dnia 13 marca r. 1848 z urzędu, piastowanego przez kilkadziesiąt lat i sprawowanego napozór bardzo wspaniale, książę-kanclerz Metternich w liście do cesarza Ferdynanda oświadczył, że się cofa „przed potęgą wyższą, aniżeli jest potęga monarchy.” W liście zaś do cesarza Mikołaja (14 marca) potęgę tę nazwał: „la plus invincible des forces, celle des choses.” Dokładniejszego wyjaśnienia tych wyrazów, które mogą oznaczać tak wiele i różnych rzeczy, nie pozostawił nam książę Metternich. Ale wiemy, że całe życie walczył z ruchem, który na czysto politycznym polu (jak we Włoszech, we Francji, w Hiszpanii i t. d.) nazywał demagogią, na polu zaś narodowościowym: komunizmem. Oparty na wielce wydoskonalonym systemie szpiegostwa i przymierzy dyplomatycznych gmach księcia Metternicha, runął rzeczywiście pod skombinowanym atakiem prądów postępowych, domagających się wprowadzenia w Austrii nowoczesnych urządzeń konstytucyjnych, a reprezentowanych głównie przez węgry, Niemców i Polaków, tudzież prądów narodowościowych, domagających się dla uciskanych przez germanizację narodów przywrócenia praw przyrodzonych. Tych ostatnich prądów oczywiście Niemcy Austriacy nie popierali, owszem, z natury rzeczy musieli im być mniej lub więcej przeciwni, ponieważ wszelkie żądania, stawiane przez drugich w imię zasady narodowości, mogły być zaspokojone jedynie kosztem dawniejszej przewagi niemieckiej. Ale przed r. 1848 nie rozróżniano tak ściśle pomiędzy owymi dwojakiemi prądami, które się przeto złążyły i wspólnymi siłami obaliły gmach germanizacyjnego absolutyzmu.

Owoce zwycięstwa, odniesionego pod starodawnym hasłem austriackim: „*viribus unitis*,” była ogłoszona 25 kwietnia r. 1848 przez ministra Pillersdorfa pierwsza konstytucja austriacka. Dziejopisarze tych przekonań, co baron Helfert, opowiadają nam dziś anegdotki, świadczące, że wśród pospólstwa nie wszyscy rozumieeli dokładnie, co to znaczy konstytucja, że jedni mieszały ją z kontrybucją, inni znowu byli zdania, iż konstytucja znosi wszelkie podatki i t. d. To jednak pewna, że uciskane przedtem narody słowiańskie doskonale czuły doniosłość artykułu 4-go tej pierwszej konstytucji, który opiewał: „Wszystkim narodom zabezpiecza się nietykalność ich narodowości i języka.” W taki sposób pierwszy konstytucyjny minister czynił zadość jednemu z dwóch głównych prądów, które w Austrii sprowadziły „nową erę.” Jednakże Niemcy niebawem ochłonęli z zapału, w który ich wprowadziło ogłoszenie konstytucji, i zaczęli przemyśliwać, jakby po-

mimo konstytucyi utrzymać przewagę swego szczepu w Austrii? Skoro więc pierwszy sejm austriacki zebrał się 10 lipca w Wiedniu, rozpoczęły się też niezwłocznie spory językowe. Zaraz na pierwszym posiedzeniu sejmowym pewien poseł, włościanin galicyjski, zażądał tłumaczeń niezrozumiałych wniosków niemieckich. Posłowie niemieccy całkiem trafnie odpowiadali, że w taki sposób sejm stałby się „wieżą babilońską.” Ale kiedy poseł Mayer zaproponował uchwałę: „Językiem obrad sejm jest niemiecki,” z czego wynikało, że poseł, nie posiadający dokładnie języka niemieckiego, tém samém tracił mandat poselski, było to oczywiście naruszeniem ogłoszonej w artykule 4-tym konstytucyi zasady nietykalności praw narodów.

Poseł Biliński oświadczył przeto: „Celem ułatwienia obrad, uczynimy ustępstwo i używać będziemy języka niemieckiego; ale prawnego wyniesienia go do godności jedynego języka obrad, nie możemy przyjąć, bo taka ustawa naruszałaby prawa innych narodów.” W podobnym duchu oświadczył bardzo rozsądnie poseł Neumann: „Uchwalając takie prawo (o niemieckim języku obrad), wywołamy współzawodnictwo narodowości, wszyscy, którzy nie władają zupełnie językiem niemieckim, wystąpią gromadnie w obronie swój mowy ojczystej; jeżeli natomiast pozostawimy to do ich woli, natenczas niewątpliwie używać będą języka, który jest jedynym środkiem porozumienia się.” Nareszcie ksiądz Jerzy Lubomirski rzekł: „Tylko ten, który nie wierzy w siłę języka niemieckiego, może żądać, aby prawnie był narzucony sejmowi” i zaproponował przejście do porządku dziennego. Epizod ten musieliśmy podnieść z dwóch powodów: najprzód dlatego, ponieważ dotąd istnieje zasada, że w radzie państwa każdy poseł ma prawo przemawiać w swym języku ojczystym, choć w praktyce z tego prawa korzysta obecnie jeden tylko włościanin morawski Skopalik. Powtóre dlatego, ponieważ sposób uczciwy, jakim został załatwiony spór, dotyczący języka obrad parlamentarnych, służy zarazem jako wzór najskuteczniejszej metody załatwiania wszystkich sporów językowych. Byle w zasadzie była uznana równość narodowości, byle im nie narzucano prawnie języka niemieckiego, to tam, gdzie się z praktycznych względów okaże potrzeba używania go, nie będzie żadnej trudności.

Jednak artykuł 4 zabezpieczył tylko „nietykalność narodowości.” Ich równouprawnienie sformułował dopiero wyraźnie wydział konstytucyjny sejm, obradującego wówczas już w Kromieryżu. Artykuł 21 ułożonej przez tenże wydział konstytucyi opiewał: „Wszystkie narody państwa są równouprawnione. Każdy naród ma nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości w ogóle, a w szczególności języka swego. Państwo zabezpiecza równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, urzędach i życiu publiczném.” Przy pierwszym odczytaniu projektu konstytucyi dnia 21 grudnia 1848 r., artykuł 21 wywołał huczne oklaski całego sejm. Do rozpraw nad tym artykułem nie przyszło jednak. Dnia 2 grudnia cesarz Ferdy-

nand złożył koronę, którą otrzymał ośmnastoletni synowiec jego, arcyksiążę Franciszek Józef. Ośmielony powodzeniem wojsk austriackich w Węgrzech, prezes gabinetu książę Schwarzenberg dnia 7 marca 1849 r. rozwiązał sejm, obradujący w Kromieryżu, równocześnie zaś ogłosił datowaną z 4 marca nową konstytucyą, której artykuł 5 opiewał: „Wszystkie narody są uprawnione i każdy naród ma nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości i mowy.“ Ogłoszony równocześnie patent cesarski „o politycznych prawach“ w artykule 4 orzekał: „W celach oświaty ludowej, zakłady naukowe w krajach z mieszaną ludnością, będą urządzone w taki sposób, aby także mniejszość narodowa otrzymała potrzebne środki opieki swego języka i kształcenia się w nim.“

Tak więc wskrzeszona era absolutyzmu — bo konstytucya z 4 marca 1849 r. nie weszła w życie, lecz pozostała martwą literą — nie śmiała jednak otwarcie znieść praw narodowościowych. Owszem, nowy system rozpoczął swą czynność od nadużycia zasady narodowości, celem uciskania jednych przez drugich. W państwie mieszanem pod względem narodowościowym, nie można w zasadzie oprzeć prawa i spokoju publicznego, tylko na równouprawnieniu w wszystkich. W praktyce naturalnie rzecz wygląda nieco inaczej, zwłaszcza kiedy te wszystkie narody nie stoją na równym stopniu oświaty, nie mają równie wielkiej przeszłości historycznej, nie posiadają tych samych sił społecznych i intelektualnych. Naród tak silny, o tak wyrobionym zmyśle politycznym, o tak potężnych jądrach społecznych i tak świetnej przeszłości dziejowej, jak naród madziarski, pomimo zasady równości, w praktyce zdoła sobie zapewnić większe znaczenie, niż niehistoryczny w granicach królestwa węgierskiego lud rumuński; włości w Tryeście zapewnią sobie przewagę nad ludem słoweńskim i t. d. Otóż, w imię zasady o równouprawnieniu narodowości, nowy system podburzał zreszczenie ludy przeciwko narodom historycznym, głównie w Węgrzech, gdzie się posługiwano serbami, słowakami i wołochami przeciwko madziarom, ale także w Austrii, gdziekolwiek się stosunki nadawały ku temu. Swoją drogą równocześnie wzmagala się germanizacya.

Na wiosnę 1851 r. odbywały się w Wiedniu narady, na których się przekonano — tak oświadczał patent cesarski z 20 sierpnia — „że konstytucya z 4 marca 1849 r. ani w swych podstawach nie odpowiada stosunkom monarchii austriackiej, ani też nie może być w całości przeprowadzona.“ Twierdzenie to odnosiło się przedewszystkiem do artykułu 5. Pozbywszy się tej przeszkody, rząd, nie ustawając w podburzaniu ludów przeciwko narodom historycznym (wyjąwszy niemców), powrócił stanowczo do germanizacyjnych dążeń cesarza Józefa II. Zaczęto od wprowadzenia języka niemieckiego jako wykładowego do wszystkich szkół średnich monarchii (rozporządzenie z 16 grudnia 1854 r.). Wszelako już w r. 1857 wskutek podróży cesarza do Węgier nastąpił pewien zwrot, ostatecznie zaś złudzenie, aby siłę

i powagę państwa można oprzeć na podburzaniu jednych narodowości przeciwko drugim, a równocześnie na systematycznej germanizacji wszystkich, rozchwiało się na pobojowiskach włoskich, pod Solferinem i Magentą. Skutkiem tych klęsk, które wstrząsnęły podwalinami monarchii, było zwołanie tak zwaną „wzmocnioną radą państwa“ w maju 1860 r., tudzież ogłoszenie „październikowego dyplomu“, który bardzo wstrzemięźliwy co do kwestyi narodowościowej, odbudowanie państwa opierał na uznaniu ogniw historycznych, krajowych.

Jednak germanizm natychmiast rozpoczął nanowo walkę z narodowościami, choć teraz pod firmą konstytucyjną. Ogłoszona przez p. Schmerlinga dnia 26 lutego nowa konstytucya nie mieściła w sobie artykułu, zabezpieczającego narodom równe prawa. Owszem, pan Schmerling był zdecydowany przeprowadzić zupełną germanizacyą przynajmniej w Austryi, a to głównie ze względów na politykę zagraniczną. P. Schmerling należał do rzędu tych mężów stanu austriackich, którzy nie pojmowali możliwości odłączenia Austryi od Niemiec, lecz domagali się dla Austryi pierwszego miejsca w związku niemieckim. Od księcia Metternicha tém się tylko różnił, że pierwszy hegemonią austriacką w Niemczech opierał na zwalczaniu „demagogów, anarchistów, ideologów“ i t. d., gdy przeciwnie p. Schmerling spodziewał się tę samą hegemonią utrwalić na podstawie konstytucyjnej i liberalnej. W każdym razie, warunkiem hegemonii austriackiej w Niemczech, była pewna niemiecka powierzchnia Austryi. Przeczuwał to już cesarz Józef II, choć w owych czasach zasada narodowości nie miała jeszcze tego znaczenia, co w r. 1861. Józef II nie był bynajmniej entuzyastą niemieckim, ponieważ jednak posiadał koronę cesarstwa niemieckiego i pragnął przekazać ją swoim następcom, przeto nadawał Austryi fizyognomią niemiecką. W liście do pewnego magnata węgierskiego, który czynił przedstawienia przeciwko wprowadzeniu języka niemieckiego jako krajowego i rządowego do Węgier, cesarz Józef II oświadczał: „Jestem cesarzem państwa niemieckiego; przeto inne moje kraje są prowincjami, stanowiącemi organiczną część całości, której jestem głową. Gdyby królestwo węgierskie było najważniejszą moją posiadłością, natenczas wyniosłbym język madziarski do godności języka państwowego mych krajów; ale tak ma się rzecz inaczej“¹⁾. A zatem nie jakaś gorąca miłość dla języka niemieckiego lub przekonanie o jego doskonałości i wyższości, tudzież o niższości innych języków monarchii, lecz jedynie wzgląd na Niemcy, których Józef był cesarzem, prawda że tylko „malowanym,” skłaniał go do niefortunnych usiłowań germanizacyjnych.

Ten sam utylitaryzm nakazywał germanizować Austryą panu Schmerlingowi, usiłującemu przywrócić przewagę Austryi w Niemczech. Zatrzymaliśmy się zaś nieco dłużej przy tej kwestyi, ponieważ ona tło-

¹⁾ Dr. Albert Jäger „Kaiser Josef II u. Leopold II,“ str. 60.

maczy także, dla czego Niemcy Austriacy w r. 1867, w rok po wyparciu Austrii z Niemiec, przystali bez zastrzeżeń na zasadę równouprawnienia narodów, zabezpieczoną w artykule XIX konstytucyjnej grudniowej, i dlatego znowu teraz to stronnictwo niemieckie, oczarowane zwycięstwami nad Francją i utworzeniem nowego cesarstwa niemieckiego i marzące znowu o zjednoczeniu Niemców, choć już nie pod firmą hegemonii austriackiej, czyni śmiały zamach na ów artykuł XIX.

Zamysły p. Schmerlinga, niewykonalne, bo oparte na niemożliwej fikcji, wywołały natychmiast stanowczy opór, zagrożonych w swych prawach, choć pod maską konstytucyjną narodów. W dzień Nowego roku 1861, Smolka przybył na czele deputacji do Wiednia, żądając przyznania językowi krajowemu w Galicyi praw przynależnych. W kwietniu tegoż roku, sejm galicyjski zaprotestował przeciwko dokonanej w r. 1859 germanizacji wszechnicy jagiellońskiej i domagał się wprowadzenia języka krajowego do urzędów. Kiedy zaś 29 kwietnia zebrała się w Wiedniu rada państwa, zaraz na pierwszym posiedzeniu rozpoczęły się spory językowe, aż opozycja słowiańska przeparała, aby posłom było wolno złożyć przyrzeczenie w języku ojczystym. W położeniu takim, w obec rządu, podejrzanego o zamiary germanizacyjne, każdy, choćby napozór najdrobniejszy wypadek wywołuje rozdrażnienie i staje się pretekstem walki. Pretekstu takiego w maju 1861 roku dostarczyło utworzenie „najwyższej rady wychowania.“ Dnia 15 maja dr. Rieger wystąpił z interpelacją, dotyczącą tej instytucji. W skutek wymijającej odpowiedzi p. Schmerlinga, dnia 7 czerwca wniósł interpelację dr. Dietl, oświadczając, że taka „rada wychowania“ naruszałaby samorząd i zabezpieczone przez „dyplom państwowy“ prawa Galicyi. Dnia 8 czerwca poseł słoweński dr. Toman zagadnął ministra, dlaczego dotąd w gimnazyjach Krainy nie odbywa się nauka w języku ojczystym?

Na te interpelacje wreszcie odpowiedział p. Schmerling dnia 19 czerwca i to w sposób, który potem dla wszystkich ministrów centralistycznych i germanizatorskich stał się stereotypowym. Prezes gabinetu oświadczył bowiem: „rząd pragnie spełnić życzenie narodowości, wprowadzając powoli także język krajowy do szkół (średnich). Wszelako językiem krajowym stać się może tylko ten, który się znajduje na takim stopniu rozwoju, że są profesorowie, którzy się w nim kształcili, i że posiada piśmiennictwo, dostarczające potrzebnych książek szkolnych. Jakkolwiek więc „rząd pragnie spełnić w tej mierze życzenia narodowości, z drugiej strony uważa jako swój obowiązek, mieć przede wszystkim na oku kulturę i naukę.“ Oświadczenie ministra, że języki krajowe będą wprowadzone do szkół „powoli,“ zakrawało na gorzką ironią w obec faktu, że obcy język niemiecki odrazu im narzucono. Z błędnego zaś koła, które zakreślił minister, twierdząc, że tylko wykształcony język może być wykładowym w gimnazyjach, a z drugiej strony, odmawiając narodowościom środków, potrzebnych do kształcenia i podniesienia swego języka, z tego błędnego koła nie ma żadnego

wyjścia. W imię téj zasady nie można było wprawdzie odmówić Galicyi szkół krajowych, boć nie było podobieństwem odmówić tamtejszemu językowi krajowemu odpowiedniego wykształcenia, ale nawet jeszcze po uchwaleniu artykułu XIX konstytucyi grudniowej, aż do roku 1880, odmawiano Czechom wszechnicy, twierdząc, że nie posiadają dostatecznej liczby wykształconych w języku krajowym profesorów, i w imię téj saméj teoryi do dnia dzisiejszego odmawiają słowiencom przynależnych im praw narodowych, zwłaszcza w szkole. Minister zaś, powodujący się podobnemi teoryjami, postąpił sobie bardzo rozważnie, gdy w konstytucyi lutowej nie powtórzył artykułu o równouprawnieniu, zawartego w dawniejszych konstytucyach austriackich. Boć „opieka,“ którą tam państwo zabezpieczało narodowościom, właśnie w tém miała się objawiać, aby państwo starało się o rozwój niewykształconego dostatecznie języka krajowego; system zaś p. Schmerlinga nie myślał się „opiekować“ narodowościami, lecz zamierzał, pod jakim bądź pretekstem, odmówić im niezbędnych środków narodowego wykształcenia i rozwoju.

Rada państwa odtąd stała się widownią nieustannéj zaciętéj walki zagrożonych w swych najświętszych prawach narodów przeciwko nowéj epoce germanizacyjnéj. Upadek tego systemu w roku 1865 sprowadził jednak przedewszystkiem polityczny opór Węgrów, walczących z centralizmem p. Schmerlinga w imię historycznéj autonomii korony św. Szczepana. Krótki epizod rządów hr. Belcredi'ego w roku 1865 i 1866 możemy pominąć, ponieważ na zasadniczo nie wyjaśnił i nie uporządkował kwestyi językowej, jakkolwiek w praktyce usunął germanizacyjne dążności przeszłego systemu.

Stanowczą zmianę sprowadziły dopiero wypadki roku 1866. I w tym razie pokazało się, jak ściśle dzisiaj są związane ze sobą interesa wszystkich narodów, jak nie wolno traktować tak zwanéj polityki zagranicznéj jako rzeczy oderwanéj, jak raczéj stosunki wewnętrzne oddziaływają ciągle stanowczo na politykę zagraniczną i odwrotnie. Germanizacyą w Austrii można było usprawiedliwiać względami utylitarnémi, dopóki Austria kusiła się o utrzymanie hegemonii w rzeszy niemieckéj. Aby utrzymać tę hegemonią, Austria musiała przywdziać szatę niemiecką, chociaż nie mogła przeistoczyć swéj natury. Skoro jednak bitwa pod Sadową i traktat prazki przecięły historyczny związek Austrii z Niemcami, tém samém upadł główny argument, którym cesarz Józef II, ks. Metternich i Schmerling powodowali się w swych zapędach germanizacyjnych. To téż niebawem z inicjatywy cesarskiéj pojawiła się ustawa o wprowadzeniu języka krajowego do szkół galicyjskich (22 czerwca r. 1867) i o utworzeniu rady szkolnéj krajowéj dla Galicyi (25 czerwca). Co więcéj, nawet silna niemiecka większość ówczesnéj rady państwa, pomimo nieobecności posłów czeskich, do uchwalenia nowéj konstytucyi zabrała się w duchu sprawiedliwym i wolnym od germanizatorskich dążności p. Schmer-

linga, przynajmniej o tyle, o ile chodziło o uporządkowanie stosunku narodowości.

Wydział konstytucyjny (w czerwcu r. 1867), przywrócił więc nasamprzód artykuł 5-ty konstytucji z r. 1849: „Wszystkie narody państwa są równouprawnione i każdy naród ma nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości i swego języka.” Wobec historycznej i faktycznej przewagi narodu niemieckiego, i po gorzkich zawodach, doznanych pomimo owego artykułu, złożona z Polaków, słowenów, i włochów mniejszość wydziału, na której czele stał dr. Florian Ziemiałkowski, zażądała jeszcze wyraźniejszych rękojmi. I na to przystała niemiecka większość komisji, dodając niejako objaśnienie owego zdania, tej treści: „Państwo zabezpiecza równouprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, urzędach i życiu publicznem.” Wprawdzie na pierwszy rzut oka zdaje nam się, że równouprawnienie narodów mieści w sobie równouprawnienie ich języków, że zatem drugi ustęp jest zupełnie zbytecznym. A jednak tak nie jest. Centraliści bowiem ustęp pierwszy tłumaczyli i dziś znowu tłumaczą tak, że tylko osobnikom wszystkich narodów, jako równym obywatelom państwa, przysługują równe prawa np. zgromadzania się, petycji, używania swobodnej prasy, że np. polak, czech i t. d. tak samo jak Niemiec może zostać ministrem, namiestnikiem i t. d. i że nadto zabezpiecza się językom nietykalność i opiekę, ale nie równość. Wprawdzie interpretacja taka jest widocznie naciągana, skoro jednak mogła na jaw wystąpić, ustęp drugi, usuwający wszelką wątpliwość i zabezpieczający równość nie tylko obywateli różnych narodowości, lecz także wszystkich krajowych języków w szkole, urzędach i życiu publicznem, a zatem w tych wszystkich kierunkach, które w państwie jednolitem przynależą do państwowego, — nie był wcale zbytecznym. Ten też drugi ustęp stanowczo zagradza drogę usiłowaniu, zmierzającym do wyniesienia języka niemieckiego do godności państwowego, a zatem wyniesienia go ponad drugie, jakkolwiek zobaczymy, że sofistyka niemiecka odkryła przecież środek, aby podobny zamach „uzasadnić.”

Ten ustęp drugi artykułu XIX: „Państwo zabezpiecza równouprawnienie” i t. d. był przejęty dosłownie z elaboratu wydziału konstytucyjnego sejmiku kromieryskiego z r. 1848. Tymczasem w konstytucji grudniowej zamiast wyrazu „zabezpiecza” czytamy wyraz uznaje. Zmianę tę wprowadziła wówczas izba panów i to na mocy następującego rozumowania: Prawdopodobnie zabezpieczenie zupełnego równouprawnienia narodowości w szkołach i urzędach nie będzie w praktyce dotrzymane; „nie zdawało się rzeczą właściwą przyrzekać coś, o czem przewidzieć można, że nie będzie bezwzględnie spełnione, dla tego proponujemy w miejsce wyrazu „zabezpiecza” położyć wyraz: „uznaje.” Do tej uchwały izby panów następnie przystąpiła także izba poselska i tak powstał drugi ustęp artykułu XIX w dzisiejszym swym brzmieniu. Oczywiście więc ustęp ten brzmi teraz mniej sta-

nowczo, aniżeli w artykule 21-szym, wypracowanój w Kromieryżu konstytucyi. Na mocy tego ustępu rząd w praktyce wobec żądań narodowych może się szczerze tłumaczyć, że przeprowadzić równouprawnienie narodowości w urzędach i szkole, może tylko o tyle, o ile się stosunki nadają ku temu, że więc dziś jeszcze niepodobna np. utworzyć wszechnicy słoweńskiej, ponieważ słoweńcy nie wydali dotąd znakomitych profesorów historyi, prawa, nauk przyrodniczych, że z tego samego powodu niepodobna założyć w Czerniowcach wszechnicy rumuńskiej i t. d. Jednakże w teorii a mianowicie odnośnie do kwestyi, która świeżo stanęła na porządku dziennym, ustęp drugi artykułu 19-go zupełnie wystarcza. Skoro bowiem państwo uznaje równouprawnienie wszystkich narodowości i języków w szkole, urzędach i życiu publiczném, tém samém nie uznaje żadnego języka uprzywilejowanego, nie uznaje w zasadzie, którą zawsze trzeba rozróżniać od praktyki niemieckiego języka państwowego. Bo równouprawnienie języków, a język państwowy to tak samo są pojęcia sprzeczne i wykluczające się nawzajem, jak np. równouprawnienie wyznań a kościoł państwowy. Państwo „uznawające” pierwsze, nie może uznawać drugiego. Aby nas przekonać o zgodności takich sprzeczności, trzebaby, jak trafnie zauważył dr. Rieger wśród ostatnich rozpraw, ułożyć najprzód „niemiecką logikę państwową.”

Oprócz dwóch wymienionych ustępów, artykuł XIX zawiera jeszcze trzeci, który znowu ma swe odrębne dzieje. Pierwsze były ustępstwem niemców na rzecz słowian, były dowodem szczerych chęci ówczesnej większości niemieckiej uspokojenia narodów słowiańskich, były powrotem do téj szczerze liberalnój polityki, która zapanowała w r. 1848 jako reakcja przeciwko absolutyzmowi księcia Metternicha, były nareszcie zrzeczeniem się wszelkich nadziei co do odzyskania utraconój na pobojuwisku Sadowy przewagi w Niemczech. Trzecim natomiast ustępem niemcy zabezpieczali się przed Czechami. Sejm czeski bowiem dnia 25 maja r. 1863 uchwalił był ustawę o obowiązkowój nauce obu języków krajowych w gimnazyach królestwa czeskiego; na mocy więc téj ustawy w gimnazyach niemieckich język czeski miał stanowić przedmiot nauki obowiązkowój. W r. 1863, za rządów p. Schmerlinga, uchwała ta sejmku czeskiego minęła prawie nieopstrzeżona. Ale gdy za rządów hr. Belcrediego 18 stycznia r. 1866 nagle uzyskała sankcyą cesarską, powstała ogromna wrzawa zwłaszcza wśród Niemców czeskich. Dowodzono, iż nietylko ubliża Niemcom, że ich dzieci mają się uczyć po czesku, ale twierdzono nawet, że ustawa ta sprowadzi za sobą wynarodowienie Niemców czeskich, bo gimnazyści niemieccy, skoro się nauczą po czesku, staną się Czechami i t. d. Aby zapobiedz temu domniemanemu niebezpieczeństwu, niemiecka większość rady państwa dodała więc trzeci ustęp, wykluczający wszelki przymus uczenia się drugiego języka krajowego. Polacy, słoweńcy i dalmatyńcy — Czechów nie było w radzie państwa — stojąc przy zasadzie wolności i równości języków, nie mieli naturalnie

żadnego powodu opierać się téj poprawce niemieckiej, wykluczając wszelki przymus uczenia się drugiego języka krajowego. Trzeci ten ustęp artykułu XIX zabezpiecza więc wprawdzie prawa Niemców przed domniemaném niebezpieczeństwem zczeszczenia, ale téż na odwrót zabezpiecza Czechów przed wprowadzeniem do szkół czeskich nauki języka niemieckiego jako obowiązkowego ¹⁾.

Ale i w tym względzie zapatrywania Niemców od r. 1867 uległy znacznej zmianie. Dziś znowu pragną oni, nie tyle zabezpieczyć się przed Czechizacją, ile raczej rozpocząć na nowo germanizację, zwłaszcza w krajach korony czeskiej. Ale tu, jak ów pentagram w celi Fausta, ustęp trzeci art. XIX stanowczo wzbrania wejścia. Jest tylko jeden środek, aby przez śmiałą interpretacją art. XIX usunąć przeszkodę, mianowicie: trzeba dowieść, że artykuł ten, mówiąc o językach krajowych, nie odnosi się bynajmniej do języka niemieckiego, który jest czémś wyższém, bo językiem państwowym. Skoro ta różnica będzie uznana, natenczas wprawdzie w gimnazyach niemieckich Czech nie będzie istniał przymus nauki języka czeskiego, który jest tylko krajowym, ale w gimnazyach czeskich będzie istniał przymus uczenia się języka niemieckiego, który nietylko jest krajowym, lecz i państwowym!

Bądź jak bądź, artykuł XIX konstytucyi grudniowej był, jak trafnie jeden z jego twórców, poseł dr. Sturm, oświadczył w rozprawach nad budżetem 23 kwietnia r. 1880, wynikiem kompromisu pomiędzy ówczesną większością niemiecką liberalną, przejętą wspomnieniami r. 1848, a mniejszością słowiańską, broniącą wytrwale zasady równouprawnienia narodów. Właśnie dla tego, że tego artykułu nie narzuciła większość parlamentarna, lecz że powstał z porozumienia się obu stron i że w sposób normalny zakończył wiekowe spory językowe, stanowi on najważniejszą podwalinę życia publicznego w Austrii.

2. Wniosek hrabiego Wurmbranda.

„Mettre la loi au dessus de l'homme est un problème en politique que je compare à celui de la quadrature du cercle en géométrie” — powiedział J. J. Rousseau. Istotnie wartość praw zależy przede-

¹⁾ Zeszłego roku poseł czeski, profesor wazehnicy czeskiej Kviczala, zaproponował w klubie sejmowym uchwalenie prawa, któreby wzbraniało rodzicom czeskim posyłać swe dzieci do szkół niemieckich. Klub wniosku tego nie postawił jednak w sejmie krajowym i téż pewnie tego nigdy nie uczyni, co innego bowiem odradzać rodzicom czeskim, aby swych dzieci nie posyłali do szkół niemieckich, a co innego zakazywać im to na mocy prawa. Takie prawo byłoby istnym potworem prawodawczym a nadto w niczém nieusprawiedliwiony sposób podawałoby w wątpliwość patryotyzm, rozsądek i dobrą wolę rodziców czeskich.

wszystkiem od tego, czy one są w zgodzie z przekonaniem, dążnościami i obyczajami narodu. Do téj wysokości, aby być: „*schlavi della legge per poter essere liberi cittadini*,” rzadko tylko dojrzewają społeczeństwa. Do niewolniczej wierności i uległości wobec praw i ustaw wtedy tylko poczuwamy się, jeżeli te prawa odpowiadają naszym interesom a nawet przesądom. W przeciwnym razie najdoskonalwsze w teorii prawo pozostanie bezskutecznem. I tak artykuł XIX konstytucyi austriackiej w oderwaném znaczeniu jest niezawodnie ideałem zbawiennego uporządkowania stosunków narodowościowych w państwie mieszaném. Jest on dalej dla narodów słowiańskich, Rumuńczyków i Włochów prawdziwem palladium najświętszych interesów narodowych. W najsmutniejszych czasach artykuł ten, zabezpieczający wszystkim narodom monarchii równe prawa, przyświeca im jako jasna gwiazda, albo jak mówi Schiller w wspaniałej scenie na Rütli w „*Tellu*.”

„*Ist es gleich Nacht, so leuchtet unser Recht.*“

Inaczej artykuł XIX-ty przedstawia się Niemcom. Wprawdzie wygłoszona tam zasada równych praw nie ubliża sprawiedliwie pojętemu prawu niemieckiej narodowości w Austrii. Owszem, im wyżej cenimy i wytrwalej bronimy własnego prawa, tem też szczerzej powinniśmy uszanować prawa drugich. Bez sprawiedliwości bowiem, nietylko państwa, jak powiedział ś. Augustyn, lecz cała społeczność ludzka staje się tylko wielką „*jaskinią łotrów*.” Pominąwszy jednak fakt, iż nadto stwierdzony w dziejach, że szczerp germański w stosunku do innych narodów, nie odznaczał się nigdy głębokiem poczuciem praw drugich, trzeba nadto zważyć wyjątkowe stanowisko Niemców austriackich. Aż do roku 1848, po części nawet aż do r. 1867, łudzili się oni przekonaniem, że całą monarchią austriacko-węgierską zdołają nie tylko opanować politycznie, lecz także pod względem narodowym zdobyć dla swego szczerpu. W r. 1867 posiadali oni, przynajmniej w Austrii, wszystkie najwyższe urzędy wojskowe i cywilne, język niemiecki (wyjąwszy Galicyę i Dalmacyę) miał stanowczą przewagę we wszystkich prowincjach. Utraciwszy Węgry a po części Galicyę, Niemcy austriaccy więc w imię swego rzekomego postanictwa dziejowego przypisywali sobie tém pewniejsze prawo, zgermanizować przynajmniej resztki Austrii. Jeżeli pomimo tego drugim narodom w teorii uczynili tak wielkie ustępstwo, jakim ze stanowiska interesu niemieckiego musiał się wydawać artykuł XIX-ty, stało się to oczywiście pod tém tajnem zastrzeżeniem, które zresztą w ostatnich rozprawach całkiem otwarcie wyznawał poseł Plener, że on na zawsze pozostanie martwą literą. Taka *reservatio mentalis* wydawała im się tem skuteczniejszą, że wówczas byli mocno przekonani, iż w Austrii rząd autonomistyczny może się zjawić co najwięcej jako epizod kilkumiesięczny i jako wyjątek od reguły, którą będzie zawsze ministeryum centralistyczne, niemieckie. To też od r. 1867 do 1879 pomimo arty-

kułu XIX-go konstytucyi, niewiele się zmieniło w stosunkach narodowościowych (wyjąwszy zawsze Galicyą). Wprawdzie w Czechach i na Morawii założono kilka czeskich szkół średnich, w Krainie otworzono kilka klas słoweńskich, zresztą jednak w „szkołach, urządach i życiu publiczném” przeważała niemieczyzna, jak gdyby artykuł XIX-ty konstytucyi grudniowej wcale nie istniał. To téż w tym czasie wprawdzie opozycya słowiańska ciągle w imię tego artykułu domagała się przyrzeczonych wszystkim narodom praw, natomiast panujące niemieckie stronnictwo nie podnosiło żadnych zarzutów przeciwko owemu artykułowi, nie wystawiało go jako niejasny i nie domagało się bliższego określenia jego znaczenia.

Dopiero z nastaniem rządów hr. Taaffego nagłe położenie się zmieniło. Odkąd niemcy przekonali się, że w Wiedniu jest możliwy rząd, któryby zechciał nie uważać art. XIX jako martwój litery, lecz który pragnie zabrać się do wprowadzenia go w życie choćby w najskromniejszych granicach. Odtąd nagle zaczęto się po stronie niemieckiej gorliwie nim zajmować, przeistaczać jego znaczenie najśmielszém rozumowaniem, wreszcie domagać się ustawy, któraby zniosła tę teoretyczną rękojmię, jakiej innym narodom dostarcza. Proces ten rozpoczął się już w pierwszych miesiącach rządów hr. Taaffego. I tak w rozprawach nad budżetem, w kwietniu r. 1880, poseł centralistyczny Czedit, były szef sekcyi w ministryum oświaty, wykazywał konieczność, aby w wszystkich szkołach austriackich uczono języka niemieckiego, i dodał: „Twierdzą, że artykuł XIX-ty konstytucyi stoi temu na przeszkodzie. Przysnaje, że nigdy tak nie pojmowałem téj ustawy. Jeżeli tam bowiem stoi, że nie wolno nikogo zmuszać do uczenia się drugiego języka, to przecież tam nie stoi, że się to odnosi tylko do języków nowożytnych, gdy tymczasem języki grecki i łaciński mogą być obowiązkowym przedmiotem szkolnym. Tém samém prawem więc i niemiecki język może być obowiązkowym i powinien nim być a potem téż wykazałaby się zbyteczność zakładów szkolnych” z nauką różnych języków ¹⁾. Szanowny poseł dopuścił się nasamprzód sofizmatu, bo konstytucya nie opiewa, że nie wolno zmuszać do uczenia się drugiego języka, lecz wyraźnie powiada: drugiego języka krajowego. To nie odnosi się więc ani do angielskiego, ani do francuzkiego, ani do greckiego języka, lecz jedynie do języków austriackich. Dopóki więc istnieje artykuł XIX-ty rzeczywiście w gimnazyach słowiańskich, nie może być przymusu uczenia się po niemiecku. Powtóre zaś p. Czedit z wielką szczerością odsłonił ostatnie cele swego stronnictwa. Gdyby bowiem głównie chodziło o to, aby młodzież wyćwiczyć w języku niemieckim, natenczas istotnie gimnazya „róžnojęzyczne” byłyby zbyteczne i wystarczałyby gimnazya niemieckie, jak mniemał Józef II, ks. Metternich, p. Schmerling,—jak sądzi rząd pruski — co wszystko jednak wręcz się sprzeciwia artykułowi XIX konstytucyi z r. 1867.

¹⁾ „Stenographische Protocolle,” IX Session, str. 2391.

W tym samym duchu poseł Lustkandel dowodził, że, chociaż wymieniony artykuł uznaje równe prawa wszystkich języków, niemiecki i przecież jest ważniejszy od drugich, raz ponieważ to jest język szerepu niemieckiego, powtóre dla tego, ponieważ wszystkie inne narody monarchii muszą się nim posługiwać, celem porozumienia się pomiędzy sobą ¹⁾. Poseł Sturm, jeden z twórców artykułu XIX, nagle odkrywał w nim pewną niejasność i domagał się ustawy szczegółowej, celem odpowiedniej interpretacji jego ²⁾. Nakoniec, streszczając niejako wszystko to, co przed nim napomknęli mówcy lewicy, dr. Herbst, także jeden z twórców artykułu o równouprawnieniu narodowości, oświadczył: „Państwo musi mieć język państwowy” i t. d. ³⁾.

W kilkanaście dni po tych rozprawach, dnia 10 maja r. 1880 hr. Wurmbrand wystąpił z swym wnioskiem, który uzasadniał 4 grudnia, o czém poniżej. Tu zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre sofistyczne wywody mówców lewicy w następnych rozprawach nad budżetem w kwietniu r. 1881. „Widzimy — oświadczył były minister hr. Mannsfeld — jak stronnicy i organa większości parlamentarnej z każdym dniem wyraźniej podnoszą prawa narodowości w przeciwstawieniu do interesów państwa, a rząd nie prostuje tak fałszywego pojęcia rzeczy. Równouprawnienie narodowości nie może mieć innego sensu, jak równouprawnienie obywateli.” Otóż nowa, śmiała interpretacja artykułu XIX. Zdaniem hr. Mannsfelda zabezpiecza on tylko równouprawnienie osobników wszystkich narodowości, orzeka więc, że polak, czech i t. d. może tak samo zostać ministrem, generałem, szefem sekcji, profesorem i t. d. jak Niemiec. Gdyby taka interpretacja była słuszna, natenczas cała ustawa grudniowa składałaby się z samych pleonazmów. Albowiem artykuł 2 tej ustawy opiewa: „Przed prawem wszyscy obywatele są równi.” Jeszcze wyraźniej zaś artykuł 3 dodaje: „Urzędy publiczne są dostępne w równej mierze wszystkim obywatelom.” Słowem pierwsze 18 artykułów traktują o prawach osobistych, artykuł XIX zaś nie odnosi się już do praw indywidualnych, lecz do praw narodów. Gdyby w tej mierze mogła istnieć jakakolwiek wątpliwość, usuwa ją ustęp drugi artykułu XIX, który wyraźnie uznaje równouprawnienie języków. Wszelkie tego rodzaju zastrzeżenia hr. Mannsfeld zbijał oświadczeniem: „Tak pojęte równouprawnienie narodowości, nie jest czém inném, jak tylko komunizmem narodowości” ⁴⁾.

W podobnym duchu hr. Scharschmidt wykładał: „Jeżeli pod względem językowym przyznano wszystkim narodowościom prawa, nie zapominajmy, że istnieje także prawo państwa i że także liczyć się trzeba z tém prawem i z interesem państwa. Otóż zdaje mi się, że na

¹⁾ „Sten. Prot.” str. 2573.

²⁾ Ibidem, str. 2620.

³⁾ Ibidem, str. 2707.

⁴⁾ Ibidem, str. 4915.

ujmę państwa w wykonaniu artykułu XIX zaszczyli już za daleko tak w urzędach, jako i w szkole." Potem znowu poseł Sturm powrócił do teorii hr. Mannsfelda, twierdząc, że artykuł XIX odnosi się tylko do obywateli różnych narodowości, i dodając, że ponieważ język niemiecki i tak jest de facto językiem państwowym, przeto prawica nie ma żadnego powodu opierać się wnioskowi hr. Wurmblanda. „My, rzekł, taką kodyfikacją uważamy jako warunek pożądanego usinierzenia sporów narodowościowych. Bo nie w naszym interesie, lecz w interesie państwa domagamy się uznania języka niemieckiego jako państwowego. Z natury rzeczy język niemiecki w Austrii przed wszystkimi posiada wyższość, ponieważ nietylko jest językiem krajowym, lecz językiem monarchii całej i językiem światowym, a nie jest to zaiste wina języka niemieckiego, że inne nie są mu równymi, a zatem też nie mogą być stawiane z nim na równi ¹⁾." Tak więc widzimy, jak w stosunkowo krótkim czasie na mocy śmiałych rozumowań i sylogizmów, nawet sami twórcy artykułu XIX, jak dopiero co wymieniony dr. Sturm, który nawet w r. 1867 był sprawozdawcą wydziału konstytucyjnego i jako taki bronił owego artykułu w izbie, doszli do wniosków, wręcz sprzecznych z dziejami, duchem i brzmieniem tego artykułu.

Wszystko to streściło się ostatecznie w wniosku hr. Wurmblanda który opiewa:

„Wysoka izba raczy uchwalić: „Wzywamy rząd, aby w wykonaniu artykułu XIX ustawy zasadniczej z dnia 21 grudnia r. 1867 o powszechnych prawach obywateli, przedłożył (wypracował) ustawę, któraby, przy zachowaniu języka niemieckiego jako państwowego (Staatssprache), uporządkowała używanie języków krajowych w urzędach, szkole i w publicznym życiu.”

Najzręczniejszy stylista nie byłby świetnie wywiązał się z zadania swego, jak tu uczynił hr. Wurmbland. Najprzód bowiem wnioskowi swemu nadał niewinną formę nie uchwały parlamentarnej, lecz wezwania rządu do przedłożenia ustawy. Do uchwalenia ustawy parlamenta przystępują zawsze z większą rozwagą, aniżeli do uchwalenia rezolucyi, która nie staje się tem samym obowiązującą ustawą, lecz tylko wyraża jakieś życzenie. W danym razie nie jeden z posłów prawicy parlamentarnej wobec wniosku hr. Wurmblanda mógł rozumować tak: „i cóż, jeżeli uchwalimy ten wniosek? Wszakże rząd ma wypracować ustawę. Rząd zaś, to uasz rząd; przecież gabinet hrabiego Taaffego nie wypracuje i nie przedłoży ustawy językowej, naruszając prawa narodowości. Uczyńmy więc lewicy ustępstwo, przychylając się do jój wniosku, a ufajmy, że ustawa, którą opracuje rząd, nie będzie dla nas szkodliwą.” Z początku też wielu posłów prawicy, biorąc rzeczy powierzchownie, rozumowało w ten sposób, a nawet jeszcze w ostatnich dniach przed rozprawami parlamentarnymi jeden z urzę-

¹⁾ „Stenogr. Prot.” str. 5063.

dowych dzienników wiedeńskich („Presse”) występował z takim tłumaczeniem rzeczy.

Następnie wnioskodawca główną myśl równie zręcznie ukrył w zdaniu nawiasowém: „unter Festhaltung der deutschen Sprache als Staatssprache.” Zdania nawiasowe kładziemy w środku zaczętego zdania czy to celem objaśnienia wyrazu, co tylko wyrzeczonego, czy też celem podania czytelnikowi jakiejś wiadomości, nie należącój wprawdzie do rzeczy, ale jak dla niego jednak potrzebnej do zrozumienia dalszego toku opowiadania.—Tak uczy nauka o zdaniu złożoném. Tymczasem w wniosku hrabiego Wurmbranda, słowa wtrącone w nawiasie, stanowią główne zdanie i zawierają najniebezpieczniejszą treść wniosku. Z podanych powyżej objaśnień artykułu XIX konstytucyi, przekonali się czytelnicy, że nietylko nie uznaje on żadnego języka państwowego, lecz nadto, uznawając wyraźnie równouprawnienie wszystkich języków monarchii, tém samém legalnie wyklucza język państwowy. Mówiąc więc o wykonaniu artykułu XIX „przy zachowaniu języka niemieckiego jako państwowego,” hr. Wurmbrand pod niewinną formą zdania nawiasowego, nie objaśnił owego artykułu, jakby się to wydawać mogło nieobeznanym z nim dokładnie, lecz wypowiedział zasadę, wręcz mu przeciwną. Uchwalając zaś wniosek w tój formie większość autonomistyczna byłaby uznała tę sprzeczną z artykułem XIX zasadę o istnieniu (legalném) języka państwowego, który ma być tylko „zachowanym.” Mniejsza o to, jakby potém wypadła ustawa, opracowana stosownie do życzenia lewicy przez rząd; sam fakt uchwalenia wniosku z owém zdaniem nawiasowém, byłby na zawsze zniósł zasadę bezwzględnego uprawnienia języków monarchii i zawierałby uznanie niemieckiego języka państwowego. Stronnictwo centralistyczne, po uchwaleniu swego wniosku, nie potrzebowałoby wcale domagać się natrętnie przedłożenia przez rząd ustawy językowej; owszem, Niemcy zaprzestaliby może domagać się takiego prawa, bo oparci na uchwale parlamentarnój, oznaczającój język niemiecki jako państwowy, w praktyce mogliby ztąd wyprowadzić wszelkie następstwa germanizacyjne, przed którymi właśnie strzeże nas artykuł XIX konstytucyi.

Ale wniosek hr. Wurmbranda zawierał jeszcze trzeci nader niebezpieczny haczyk. Oprócz „zachowania niemieckiego języka państwowego” domaga się bowiem od rządu przedłożenia ustawy „porządkującój używanie języków krajowych w urzędach, szkole i życiu publiczném.” Ustawę taką, przedłożoną przez rząd, miałaby uchwalić rada państwa; a zatém wniosek przypisuje jej prawo uporządkowania, aby się wyrazić krótko, stosunków językowych i narodowościowych—zawsze niybo „w wykonaniu artykułu XIX.” Owóż i to znowu wręcz się sprzeciwia konstytucyi austryackiej. Konstytucya z r. 1867 składa się z kilku tak zwanych praw zasadniczych (Staats-Grundgesetze) o reprezentacyi państwowej (rada państwa), o sprawach spólnych (austryacko-węgierskich), o powszechnych prawach obywateli i t. d.

Prawo o reprezentacji państwowej (Reichsvertretung) bardzo dokładnie określa kompetencją rady państwa. I tak artykuł XI tego prawa orzeka: „Do zakresu działania rady państwa należy: zbadanie i uchwalenie traktatów handlowych, wszelkie sprawy, dotyczące uporządkowania obowiązku wojskowego, roczne uchwalenie budżetu, prawodawstwo o stosunkach wyznaniowych“ i t. d. Następny zaś artykuł XII opiewa: „Wszelkie inne przedmioty prawodawstwa, nie przyznane w tém prawie wyraźnie radzie państwa, należą do kompetencji sejmów krajowych i w drodze konstytucyjnej będą załatwione w tych sejmach i z niemi.” Otóż w artykule XI pomiędzy sprawami, należącymi do kompetencji rady państwa, nie są wymienione sprawy językowe i narodowościowe, a zatem téż uchwalenie praw językowych „w wykonaniu artykułu XIX“ nie należy do kompetencji rady państwa, lecz do kompetencji sejmów krajowych. Wprawdzie centraliści rozumują tak: tém samym prawem, na mocy którego rada państwa uchwaliła ustawy poszczególne w wykonaniu artykułu XIV: ustawy o powszechnych prawach obywateli (artykuł XIV zabezpiecza swobodę wyznania), tém samym prawem może téż uchwalić ustawy poszczególne w wykonaniu artykułu XIX teje ustawy. Tymczasem artykuł XI prawa zasadniczego o reprezentacji państwowej wyraźnie przypisuje radzie państwa prawodawstwo w sprawach wyznaniowych (artykuł XI, litera h), więc rada państwa była i jest kompetentna, uchalać ustawy wyznaniowe albo interkonfesyjne, natomiast, jak już zauważyliśmy, artykuł XI pomiędzy przedmiotami, należącymi do prawodawczego zakresu rady państwa, nie wylicza spraw językowych i narodowościowych.

Chociażby jednak konstytucya nie przyznawała wyraźnie sejmom prawa uporządkowywania kwestyi narodowościowych i językowych, byłoby zawsze rzeczą niewątpliwą, że tylko tam w odpowiednim sposób rozwiązane być mogą. W radzie państwa zmienia się większość parlamentarna, często zawisła od kilku głosów tylko. Natomiast narody, zamieszkujące różne prowincje austriackie są trwałym wyrobem przyrody i dziejów. N. p. w Tryeście i okolicy mieszka 130,000 ludzi, z których około 50,000 zalicza się do szczepu słoweńców, reszta do szczepu włoskiego. Wobec tych dwóch ścierających się narodowości, państwo austriackie nie może uczynić nic innego, jak uznać zasadniczo ich równouprawnienie. Gdyby zaś rada państwa uchwaliła ustawę językową, któraby w szczegółach „porządkowała” stosunek dwóch narodów, zamieszkujących Tryest i okolice, a zatem np. wymieniała liczbę szkół włoskich i słoweńskich, orzekała, w jakim razie w radzie miejskiej tryestyńskiej, która jest zarazem sejmem krajowym dla Tryestu i terytoryum, ma się używać język włoski, a w jakim słoweński, ilu urzędników krajowych mają otrzymać włoski, a ilu słoweńcy i t. d. — natenczas taka ustawa choćby nawet w teoryi najsprawiedliwsza, w praktyce jednak okazałaby się z pewnością szkodliwą, niewykonalną i nie zabezpieczyłaby pokoju pomiędzy dwie-

na narodowościami Tryestu, lecz przeciwnie rozogniłyby spory. Zupełnie sprawiedliwej ustawy tego rodzaju po parlamencie ani nawet spodziewać się nie można. Większość bowiem centralistyczna ułożyłaby ją niezawodnie na korzyść włochoń, większość autonomistyczna zaś na korzyść słoweńców, których postowie zasiadają na prawicy — swoją drogą Niemcy na zasadzie „duobus litigantibus tertius gaudet” niezawodnie dowodziliby, że ponieważ włosi spierają się z słoweńcami, przeto będzie dla obu najzbawienniejsz, jeżeli w Tryeście jedynie język niemiecki stanie się językiem krajowym. Wszakże to według tej teorii, Bach w r. 1854 prowincjom, choćby zupełnie wolnym od znaczniejszego żywiołu niemieckiego, narzucał język niemiecki!

Nie pozostaje więc, jak poprzestać na wygłoszonej w konstytucyi zasadzie równouprawnienia narodowości, zresztą zaś przyznać sejmom wolność uporządkowania stosunku narodowości według praw, zwyczajów i potrzeb krajowych. I tak, aby jeszcze raz użyć przykładu Tryestu, rozumie się samo przez się, że naród o tej świetnej przeszłości dziejowej, co włosi, szczącący się tak wyrobionym językiem i piśmiennictwem, które zajmowało często i dziś też zajmuje pierwszorzędne stanowisko, że naród, który wydał Danta, Petrarke i Boccaccia w wieku, kiedy w Niemczech taki Hartmann von d. Aue albo Wolfram von Eschenbach jękali się w języku, który dziś filolodzy germańscy muszą dopiero przekładać, aby go zrozumieli Niemcy, że, powiadamy, naród włoski w „urzędach, szkole i publicznym życiu” w praktyce zdoła sobie zapewnić zawsze przewagę nad narodem słoweńskim, który nie miał żadnej przeszłości dziejowej, nie może się wykazać świetną literaturą, ani nawet nie posiada pono dostatecznego zasobu książek szkolnych dla wyższych zakładów naukowych. Zepchnąć więc włochoń na poziom słoweńców za pomocą ustawy państwowej pozostanie na zawsze równie daremnym usiłowaniem, jak podnieść nagle słoweńców na te wyżyny narodowe, na których stoją włosi. Zbyteczna przypomnieć, że i w niektórych innych prowincjach istnieją podobne stosunki, że obok wysoko wykształconego narodu stoi mniej oświecony i młodszy. Stosunek ten w sposób pożądany może być uporządkowany w sejmach krajowych i to przy wyrozumiałości narodu dojrzałego i starszego a zarazem przy należytem uwzględnieniu przez naród młodszy i mniej dojrzały, że nie może nagle żądać tego wszystkiego dla siebie, co sobie drugi zasłużył może tysiącletnią pracą. Uchwalona zaś w myśl wniosku hr. Wurmbraunda ustawa, porządkująca odrazu stosunki narodowościowe we wszystkich krajach monarchii, sprawadziłaby tylko albo chaos, albo germanizacyą.

Widzimy więc jak ten wniosek w trzech czy czterech wierszach zawierał najdonioślejsze rzeczy, potraçał o najżywotniejsze zagadki monarchii austriackiej, był niejako ową puszką piękną, ale zesłanej na zgubę śmiertelników Pandory, z której wszelkie nieszczęścia rozsypały się pomiędzy ludźmi, a tylko kwiat nadziei, włożony przez Jowisza, utkwiał na dnie.

Uzasadniając swój wniosek dnia 4 grudnia r. 1880 hr. Wurmbbrand w sposób mistrzowski odegrał rolę poczciwca, istnego niewiniątka, o którym z hrabią von Savern można było powiedzieć: „Dies Kind, kein Engel ist so rein!“ Najprzód, aby sobie zjednać konserwatystów i czarno-zółtych lojalistów, zasiadających na prawicy, rzekł: „My mężowie postępu, lub jeżeli panowie przy tej nazwie obstajecie, mężowie liberalni, w tej kwestyi stoimy na gruncie zachowawczym i to wyłącznie na tym gruncie, pragniemy bowiem utrzymać to, do czego zdążali wielcy monarchowie nasi (Józef II) i przy czem obstawali najznakomitsi austriacy mężowie stanu (Metternich, Schmerling, Bach!). Wy zaś panowie przyjęliście do waszego programu zasadę narodowości, będącą nowożytnem pojęciem demokratycznym, a domagając się dla niej równego prawa, zapomnieliście, jak to często czynią stronnictwa demokratyczne, że takie oderwane pojęcia w życiu praktycznym posiadają tylko wartość względną. Tak stanęliście w sprzeczności z tradycją tego państwa i popieraliście zachcianki, które osłabiają potęgę państwową i mogą się stać bardzo niebezpiecznymi, ponieważ w dalszej konsenkwencji muszą doprowadzić do decentralizacji, jakiej nie zniesie żadna monarchia.“ Popierając tedy wniosek swój z „zachowawczego“ stanowiska, hr. Wurmbbrand przypomniał przede wszystkim znane germanizacyjne rozporządzenia cesarza Józefa II-go, zapominając oczywiście, że gdyby konserwatyzm zależał na zachowaniu wszystkich instytucji, które istniały przed 100 a może przed 200 laty, wszelki postęp i rozwój stałby się niemożliwym. Następnie mówca za pomocą tych samych naciąganych interpretacji, któreśmy powyżej objaśnili, usiłował wykazać domniemaną niejasność artykułu XIX, twierdząc mianowicie, że ten artykuł tylko innym językom zabezpiecza równouprawnienie pomiędzy sobą, nie odnosi się zaś wcale do języka niemieckiego, który jako język państwowy (petitio principii) stoi po nad wszystkimi innymi tylko krajowymi językami monarchii. Język niemiecki jest de facto językiem państwowym, przeto też legalnie musi być uznany jako taki: oto główna treść tych wywodów. Nakoniec słuszność swego wniosku uzasadniał niebezpieczeństwami, na jakie nibyto narażonym jest teraz język niemiecki:

„Czyliż, rzekł, nie odpychają nas na każdym kroku? Czyż nie widzimy, jak nasz najbliższy sąsiad (Węgry), choć tam każdy wykształcony mówi po niemiecku, gdzie tylko może, usuwa i uciska język niemiecki, i jak tam w prasie obelgi przeciwko nam stoją na porządku dziennym („bardzo trafnie,“ po lewicy). Czyliż mam panom odczytać artykuły dzienników peszteńskich i lwowskich w sprawie niemieckiego teatru ¹⁾, (głosy z prawicy: „To tu nie należy“) albo też o położeniu Niemców na wszechnicy prazkić (głosy z lewicy: „bardzo dobrze“)? Albo czy mam przypomnieć, że w delegacji austriackiej poseł

¹⁾ Pojawił się wtedy w „Gazecie Narodowej“ artykuł ognisty przeciwko otworzeniu teatru niemieckiego we Lwowie.

dalmacki (dr. Klaič) zmusił spólnego ministra, który jest madziarem (był to Szlavy) wystąpić w obronie języka niemieckiego?“

Po tój mowie hr. Wurmbranda, wystawiającego śmiały zamach na konstytucyą i na prawa wszystkich narodów monarchii, jako rzecz najnaturalniejszą i najniewinniejszą w świecie, zabrał głos w imieniu prawicy były prezes gabinetu z r. 1871 hr. Karol Hohenwart. Mówca oświadczył, że on sam wprawdzie najchętniej byłby wniosek ten odrzucił zaraz w pierwszym czytaniu, że nie obawia się bynajmniej, aby ludność w odrzuceniu wniosku dopatrywała się pogwałcenia mniejszości parlamentarnej, że jednakże, ponieważ lewica zdaje się przywiązywać do wniosku tak wielką wagę, prawica przeto z grzeczności będzie głosowała za odesłaniem go do specjalnej komisji. Tak się też stało, wyznaczona zaś do zbadania wniosku hr. Wurmbranda komisya (Sprachen-Ausschuss), na pierwszym swém posiedzeniu dnia 2 kwietnia 1881 r., wybrała p. Kazimierza Grocholskiego marszałkiem, na drugim zaś dnia 22 stycznia 1883 r. p. Madejskiego sprawozdawcą.

Komisya „językowa“ odbyła więc w ogóle tylko 2 posiedzenia. Rozprawy na pierwszym zaczęły się od tego, że kilku członków zwróciło się do wnioskodawcy z zapytaniem, co on rozumie przez język państwowy? Wszelako hr. Wurmbrand oświadczył, iż przedewszystkiem pragnie się dowiedzieć, co rząd sądzi o jego wniosku? Odpowiadając na to pytanie, hr. Taaffe rzekł: „Trzeba rozważyć, czy przedłożenie żadanego projektu ustawy byłoby na czasie? Otóż rząd sądzi, że to dopiero wtedy byłoby na czasie, gdyby poprzednio nastąpiło porozumienie pomiędzy różnymi narodowościami i stronnictwami. Projekt rządowy bowiem, któryby w parlamencie mógł zostać zmieniony lub też uchwalony szczupłą większością głosów, nie byłby zbawionym ani dla państwa, ani dla krajów. Czy owo porozumienie już przyszło do skutku, osądzicie sami panowie. Dalej zachodzi pytanie, czy można wniosek hr. Wurmbranda wyprowadzić z artykułu XIX-go konstytucyi i co wnioskodawca rozumie przez język państwowy? Jeżeli to jest język, którym się posługują urzędy, a zatem służbowy, to odnośnie rozporządzenia przysługują władzy wykonawczej; rząd starał się uczynić zadość praktycznym potrzebom, to też powstały rozmaite rozporządzenia i w różnych krajach różne języki służbowe, jak np.: w Galicyi, w południowym Tyrolu, Istrii i t. d. Czy może wnioskodawca ma na myśli język, w którym obradują ciała parlamentarne? W radzie państwa, pomimo artykułu XIX, wszyscy posługują się językiem niemieckim; ale zamienić ten zwyczaj w prawo, nie wydaje mi się słusznym. Jeżeli zaś chodzi o sejmy krajowe, to oczywiście byłoby rzeczą niemożliwą narzucić wszystkim niemiecki, jako język obrad. Przedewszystkiém więc muszę wezwać wnioskodawcę, aby wyjaśnit, co rozumie przez język państwowy i do których korporacji chce go zastosować?“

Na to hr. Wurmbrand odpowiedział, że skoro rząd nie uznaje

à priori potrzeby prawnego uporządkowania języka państwowego, wszelka definicya byłaby zbyteczną, jakoż ani na pierwszym, ani na drugim posiedzeniu hr. Wurmbbrand tój definicyi nie dał. Dlaczego? Czy może pojęcie języka państwowego nie było dotąd ściśle określonym? Czy trudno powiedzieć, czém jest i jakie prawa posiada język państwowy we Francyi, albo w Niemczech, gdzie przed kilku laty został legalnie wprowadzony? Czy konstytucya węgierska, wprowadzając madziarski język państwowy, nie orzekła wyraźnie, że będzie wyłącznym językiem obrad parlamentarnych rządu we wszystkich gałęziach i autentycznego tekstu praw węgierskich? Nareszcie wystarczało zajrzeć do wielce gruntownego dzieła d-ra Gumpłowicza ¹⁾, albo po prostu wyliczyć te prawa, których język niemiecki dziś w Austrii używa, nie na mocy ustawy, lecz na mocy dobrowolnego ustępstwa ze strony innych narodów, aby odpowiedzieć, co rozumiemy przez język państwowy. Ów napozór dziwaczny upór hr. Wurmbbrand i jego przyjaciół politycznych tłómaczy się jednak tém, że wahali się zakreślić pojęciu języka niemieckiego zbyt ciasne granice, aby nie zrazić sobie fanatyków germanizacyi; z drugiej strony zaś wzdrygali się też zakreślić mu zbyt szerokie granice, aby tém samém nie naruszyć zbyt wyraźnie konstytucyi i nie wywołać rozpaczliwej opozycyi ze strony zagrożonych w swych prawach i interesach narodów. Najwygodniój było przeto wprowadzić tylnemi schodami (owo zdanie nawiasowe wniosku hrabiego Wurmbbrand) język państwowy do uchwał parlamentarnych, późniój zaś według nadarzającej się sposobności, „von Fall zu Fall,” aby użyć znanego oświadczenia hr. Andrassego, z przyjętego i utartego znowu wyrazu języka państwowego wyprowadzać coraz to donioślejsze następstwa kierunku germanizacyjnego.

Jeżeli więc powody, które wstrzymały hr. Wurmbbrand i jego towarzyszy od sformułowania pojęcia języka państwowego, są nam zupełnie jasne, to też rzecz naturalna, że tak hr. Taaffe, jakoteż autonomistyczni członkowie wydziału językowego, obstawali przy zdaniu, że dopóki nie będzie przedłożona dokładna definicya języka państwowego, nie można przystać na wniosek hr. Wurmbbrand. Z tego więc powodu, jakoteż z innych, któreśmy powyżej wyłożyli nieco obszerniej, aniżeli to uczynił w swém sprawozdaniu komisji językowej dr. Madejski, autonomistyczna większość słusznie proponowała: przejść nad owym wnioskiem do porządku dziennego, czyli odrzucić go sans phrase.

W imieniu centralistycznej mniejszości komisji zalecał dr. Sturm przyjęcie wniosku, twierdząc, że radzie państwa przysługuje prawo uchwalenia prawa wykonawczego lub dodatkowego do artykułu XIX ustawy o ogólnych prawach obywateli; dalej, że ten artykuł nie odnosi się wcale do języka niemieckiego, lecz tylko do innych języków krajowych; nakoniec, że ponieważ język niemiecki, używany w radzie pań-

¹⁾ Das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn. Innsbruck, 1879, str. 239.

stwa, w wojsku, w władzach centralnych, w traktatach międzynarodowych, na obligacjach austriackich, jest de facto językiem państwowym, przeto też musi być wyraźnie uznany jako państwowy.

Sprawozdania komisji językowej ¹⁾, ogłoszone 9 marca r. 1883, dopiero dnia 24 stycznia r. b. stanęły na porządku obrad izby poselskiej.

3. Rozprawy w radzie państwa.

Pomiędzy ogłoszeniem sprawozdania komisji językowej w marcu r. 1883 a rozpoczęciem rozpraw parlamentarnych 24 stycznia r. b., zaszyły wypadki, zmieniające poniekąd położenie w radzie państwa. Jak wiadomo, większość autonomistyczna izby poselskiej składa się z 4 klubów: polskiego, czeskiego, hohewartowskiego i centralnego, którego prezesem jest książę Alfred Lichtenstein ²⁾. Ten ostatni klub składa się wyłącznie z postów niemieckich, konserwatystów, wybranych w Górnej Austrii i Styrii. W komisji językowej konserwatyści niemieccy, mianowicie hr. Hohenwart i baron Hayden przemawiali dobitnie przeciwko wnioskowi hr. Wurmbranda i głosowali za prostym przejściem do porządku dziennego, czyli za odrzuceniem wniosku sans phrase.

Tymczasem nie tylko lewica rozwinęła wielką agitacją, nie bardzo zresztą niebezpieczną, ponieważ w kołach wyborców konserwatywnych mało posiada wpływu, ale co ważniejsza, wystąpił także w obronie wniosku hr. Wurmbranda hofrath Lienbacher. Były prokurator wiedeński za rządów Schmerlinga i znany z tych czasów jako gorliwy prześladowca prasy, usunięty z urzędu za czasów p. Herbsta, p. Lienbacher w r. 1873 wszedł do izby poselskiej, wybrany w Salzburgu. Przystąpił wtedy do klubu hr. Hohenwarta i odznaczył się zdolnościami krasomówczymi, prawda, że pewnego sofistycznego kierunku. W nowowybranej izbie poselskiej (1879) znowu należał z początku do klubu hr. Hohenwarta, był nawet wiceprezesem klubu i członkiem złożonej z 15 delegatów tak zwaną „komisji wykonawczą“ prawicy. W dwa lata później jednak, przyprowadził do skutku secesyą około 20 postów niemieckich, którzy wystąpili z klubu hr. Hohenwarta, mieszczącego w sobie także postów słoweńskich, dalmatyńskich, rumuńskich (z Bukowiny) i włoskich, i założyli czysto niemiecki klub konserwatywny, którego marszałkiem obrano księcia Alfreda Liechtensteina. Ale i tu p. Lienbacher nie długo wytrwał. W rok po założeniu nowego klubu opuścił go z dwoma kolegami, wybranymi w Salzburgu i stał się, jak to nazywa żargon parlamentarny, „dzikim“, to jest postem nie należącym do żadnej frakcji.

Owóż w zeszłej jesieni p. Lienbacher rozpoczął śmiałą agitacją

¹⁾ Bericht des Sprachenausschusses. Wiedeń, drukarnia rządowa.

²⁾ Bliższe szczegóły o składzie stronnictw w radzie państwa, podaliśmy w artykule: „Czterolecie rządów hr. Taaffego“, „Bibl. Warsz.“ 1883, t. II.

za uznaniem języka państwowego. Najprzód wystąpił w jego obronie w wydanej bezimiennie broszurze: „Otwarte słowo,“ potem wygłaszał mowy na zgromadzeniach ludowych w Salzburgu, nakoniec krótko przed zebraniem się rady państwa oświadczył, że będzie głosował i przemawiał w izbie za wnioskiem hr. Wurmbraunda. Podobna ewolucja posta, który przez lat kilka zajmował wybitne stanowisko pomiędzy koryfeuszami prawicy i który, choć „dziki,“ posiadał pewien wpływ w gronie niemieckich postów konserwatywnych, położenie prawicy czyniło trudnem. Obliczano, że wynik głosowania nad wnioskiem hr. Wurmbraunda, będzie zależał od kilku tylko głosów. Gdyby się udało panu Lienbacherowi przeciągnąć choć tylko pięciu niemieckich postów konserwatywnych na stronę owego wniosku, lewica mogła uzyskać większość. Chodziło więc o to, aby koniecznie skłonić wszystkich tych konserwatystów niemieckich do głosowania przeciwko wnioskowi.

W tym celu wytrawny mąż stanu, marszałek koła polskiego, dr. Kazimierz Grocholski zaproponował najprzód w Komisji wykonawczej prawicy, a przyjętą tam, w pełnej izbie rezolucją, czyli tak zwany „motywowany porządek dzienny“ téj treści:

„Zważywszy, że uchwalenie ustawy do przeprowadzenia postanowień art. XIX ustaw zasadniczych o ogólnych prawach obywateli, w myśl brzmienia paragrafu 11 ustaw zasadniczych o reprezentacji państwa nie należy do kompetencji rady państwa; „zważywszy ustępnie, że pomijając kwestyą kompetencji, podług trafnych wywodów sprawozdania komisji, znaczenie języka niemieckiego w dziedzinie wspólnych interesów, w życiu publicznem jak i w administracji państwa, o ile jedność państwa tego wymaga, nie jest przez nikogo zaprzeczane, a w skutek prawnopolitycznego połączenia królestw i krajów, w skutek wspólności interesów ludów monarchii i w skutek dobrowolnego uznania i wykonywania dostateczną ma gwarancją; „przechodzi izba nad wnioskiem: „Wzywa się rząd aby w wykonaniu art. XIX ustaw zasadniczych z dnia 21 grudnia 1867 r. o ogólnych prawach obywateli, przedłożył projekt do ustawy, któraby ustanawiając język niemiecki, jako język państwowy, uregulowała stosunki języków w kraju używanych, w urzędzie, szkole i życiu publicznem” — do porządku dziennego.“

Jak wykazaliśmy powyżej, wniosek hr. Wurmbraunda zawierał dwie równie niebezpieczne rzeczy: 1) przypisywał radzie państwa prawo do uchwalenia ustawy, porządkującej wszystkie narodowościowe i językowe stosunki monarchii; 2) domagał się uznania języka niemieckiego jako państwowego. Rezolucya p. Grocholskiego w pierwszej części waruje stanowisko autonomistyczne, zgodne w tym razie z konstytucją, że radzie państwa nie przysługuje prawo uchwalania ogólnej ustawy językowej; w drugiej zaś części, choć odrzuca język państwowy, zaspakaja jednak Niemców, zapewniając, że prawica nie zamierza targnąć się na te pozycye, które obecnie język niemiecki zajmuje w Austrii, nie na mocy prawa, lecz na mocy zwyczaju, po-

trzeb praktycznych i dobrowolnego ustępstwa ze strony słowian. Zapewnienie takie, wypowiedziane w uroczystej formie uchwały parlamentarniej, mogło istotnie zaspokoić tych wszystkich uczciwych Niemców, którym zależy jedynie na utrzymaniu faktycznej przewagi języka niemieckiego w Austryi, a którymu nie chodzi o upokorzenie narodów drugich przez narzucenie im języka niemieckiego jako państwowego.

Rezolucya p. Grocholskiego wyznaczyła więc rozprawom od razu dwojaki cel: wyjaśnienie kwestyi kompetencyi rady państwa, powtóre zaś znaczenia, zakresu i potrzeby języka państwowego. Pierwszą kwestyą, nadzwyczaj doniosłą ze stanowiska formalistyki konstytucyjnej, zupełnie wyjaśnili najpoważniejsi mówcy prawicy, hr. Hohenwart, Grocholski, Rieger i hr. Henryk Clam-Martinic tudzież Madejski. Wykazali oni z brzmienia konstytucyi z r. 1867, że radzie państwa nie przysługuje prawo uchwalenia ustawy wykonawczej do artykułu XIX i że swego czasu Niemcy autorowie konstytucyi byli tego samego zdania, gdyż ówczesny wydział konstytucyjny wyraźnie oświadczył, że rada państwa nie ma prawa uchwalać ustaw wykonawczych (Ausführungsgesetze) do artykułu XIX, ponieważ to należy częścią do władzy wykonawczej (o ile chodzi o język służbowy), częścią do sejmów krajowych, o ile chodzi o uporządkowanie wzajemnego stosunku narodowości w pojedynczych prowincjach. Jakkolwiek jednak ta kwestya kompetencyi jest bardzo ważną ze stanowiska konstytucyi austriackiej, wszelako narody, wchodzące dziś w skład monarchii habsburskiej, istniały długo przed konstytucyą z r. 1867, i miały swe przyrodzone, historyczne i zagwarantowane różnemi przyrzeczeniami monarchów prawa. Chociażby więc konstytucya pozwalała radzie państwa uchwalić prawo, porządkujące stosunki narodowościowe, to z innych względów zasadniczych i praktycznych trzebaby się uchwałom takim oprzeć! W tym względzie bardzo trafnie zauważył hr. Clam-Martinic: „Chociażby jednak dostawało radzie państwa kompetencyi, zachodzi tu według mego przekonania przeszkoda niepodobieństwa. Uważam jako niepodobieństwo, aby wszelkie skomplikowane stosunki narodowościowe pod względem szkoły, urzędów i publicznego życia mogły być uporządkowane na mocy jednolitej, uchwalonej tu ustawy. W różnych krajach monarchii istnieje taka rozmaitość stosunków, że podobna ustawa musiałaby się rozpaść na tyle rozdziałów, ile jest prowincyi, a jednak przez to, że tu uchwalimy, iż żądamy takiej ustawy, trudność nie będzie rozwiązana. Prócz tego bardzo słusznie podniesiono niewczesność takiej uchwały. Są kwestye, których rozwiązanie często właśnie dla tego staje się tak trudnem, ponieważ poruszono je zbyt wczesnie albo na miejscu niewłaściwem. Wtedy dopiero sprzeżności dobitnie występują na jaw, i co było zamierzonym w celu porozumienia się, właśnie zupełnie rozdwaja“¹⁾.

¹⁾ „Stenogr. Protocol,” str. 16, 163.

Pomijając więc dalsze wywody mówców prawicy, dotyczące kwestyi kompetencyi rady państwa, co po wyjaśnieniu, podaném powyżej i tak dla czytelników naszych nie będzie wątpliwém, zaznaczymy tylko, że żaden z mówców lewicy nie usiłował na seryo dowieść owęj kompetencyi, lecz wszyscy porzestali na samych ogólnikach. Przechodzimy więc do drugiego przedmiotu walki parlamentarnéj. Tu rozprawy dotykały mianowicie trzech pytań: 1) Co to jest język państwowy? 2) W imię jakich praw lewica domaga się utwierdzenia języka niemieckiego jako państwowego? 3) Dlaczego tego teraz się domaga?

Pierwsze pytanie poruszyli wszyscy mówcy prawicy i wszyscy mówcy lewicy nibyto odpowiadali. Z tém wszystkiém kwestya ta nie została zupełnie wyjaśnioną. I tak poseł Lienbacher szumnie zapowiedzianą definicyą języka państwowego dał w sposób następujący: „Język państwowy, panowie, to język państwa (powszechna wesołość). Sumienny profesor odpowie mi na to: bardzo pięknie, mój drogi, powiedz mi teraz jeszcze, co jest język a co państwo, a wtedy będziemy mieli definicyą języka państwowego (wesołość). Czyż rzeczywiście mamy sobie dopiero wyjaśnić znaczenie języka i państwa?... Państwo jest tak samo osobą, jak każda inna osoba w pojęciu prawniczém, i tak samo nie można mu zaprzeczać języków jak osobie prywatnéj. Mógłbym powiedzieć, że język państwowy jest językiem macierzyńskim (Muttersprache) państwa:“ i t. d. Jeden z mówców prawicy hr. Clam-Martinić definicyą tę nazwał „zdumiewająco naiwną“ (von verblüffender Naivität). I tak jest rzeczywiście. Bo najprzód państwo można wprawdzie z wielu względów porównywać z osobnikiem, ale nie można go z nim identyfikować¹⁾. Gdyby zaś państwu, tak samo jak jednostkom język był przyrodzony, jak twierdzi p. Lienbacher, dlaczegoż w Austrii tym językiem przyrodzonym miałyby właśnie być język niemiecki? Dlaczego nie węgierski albo czeski, skoro Węgry i Czechy stanowiły potężne królestwa, zanim Austrya powstała?

Poważniéj rzecz tę traktował poseł Tomaszczuk, profesor wszechnicy czerniowieckiej, jeden z najzdolniejszych mówców lewicy. Rzekł on: „Kwestya języka państwowego może być poruszona jedynie w państwie mieszaném. Bo gdzie państwo a naród są tém samém, tam nie potrzeba dopiero wyraźnie ogłaszać języka państwowego, którym być może tylko język narodu (np. we Francyi). Ale państwo, zamieszkałe przez kilka narodowości, nie może istnieć bez świadomości politycznéj wspólności. Warunkiem takiej świadomości jest łatwe i zupełne porozumienie się wzajemne we wszystkich kierunkach publicznego życia, ku czemu służy język. Z tych przesłanek wynika, że właśnie mieszane państwa potrzebują języka, któremuby jako pierwszemu inter

¹⁾ Jak to np. czynił prof. Schaeffle w uozononém i zajmującym, ale jednak opartém na błędnych podstawach dziele: „Bau und Leben des socialen Körpers.“ Tomów 4, wyd. nowe w Tybindze, 1883.

pares przyznano pewne przywileje i którego nauka w całym państwie byłaby obowiązkowa." Tymczasem o to chodzi, jakie granice mamy zakresić przywilejom języka państwowego, aby uczynić zadość potrzebom państwa, a równocześnie nie naruszać przyrodzonych praw innych języków?

Posel Beer, także jedna z naukowych znakomitości obozu niemieckiego, oświadczył: „mógłbym wymienić długi szereg dzieł, traktujących o tym przedmiocie (o języku państwowym). Przed kilkunastu laty znakomity niemiecki statysta (Mohl?) napisał dzieło o kwestyi narodowościowej, uwzględniając przedewszystkiem Austryę. Wprawdzie nie używa on wyrazu: „język państwowy,” lecz wyrazu „powszechny język krajowy” (allgemeine Landessprache), lecz te wyrazy w pojęciu autora są identyczne. Zresztą możemy wskazać na polaka, który dokładnie wyjaśnił znaczenie wyrazu „język państwowy.“ Jest to profesor Gumpłowicz. Nie potrzeba jednak wcale odwoływać się do literatury o tym przedmiocie, wystarczy bowiem zajrzeć do dziejów Austryi.” Czegoż jednak dowodzą dzieje Austryi? Dowodzą, że inaczej pojmował język państwowy cesarz Józef II, inaczej następca jego cesarz Leopold II, inaczej rok 1848 i znowu inaczej system roku 1867.

Jeden tylko z posłów lewicy i to ten, który do tego był przed innymi zobowiązany, wnioskodawca hr. Wurmbbrand, wystąpił z definicyą dokładną: „Nie żądamy niczego innego, jak zachowania stosunków istniejących. Jakież są te stosunki? Język niemiecki jest językiem władz centralnych (ministerya) w służbie wewnętrznej i w znoszeniu się z wyższemi władzami krajowemi, najwyższego trybunału, dziennika ustaw państwowych, wojska, jest służbowym językiem pro foro interno wszystkich władz państwowych, wyjąwszy Tyrol południowy, Dalmacyę i Galicyę, podania w języku niemieckim przyjmują wszystkie władze, wyjąwszy Tyrol południowy i Dalmacyę. Oto są stosunki faktyczne. Szerszych granic nie zakreslamy. Czyż skodyfikować to jest rzeczą tak bardzo trudną i czyż tak wytrawni mężowie stanu nie mogą pojąć, że w wniosku domagamy się zachowania status quo?” Zawsze jeszcze nasuwałoby się pytanie, czyli wobec artykułu XIX można językowi niemieckiemu przyznać w drodze prawodawczej takie przywileje; definicya jednak byłaby dostateczna, ścisła i jasna, gdyby jój mówca nie był wyprzedził wstępem téj treści: „Sądzę, że przemawiam w imieniu całej lewicy, więc proszę o uwagę, bo nie ścierpię, aby w przyszłych latach wyrzucano mi to, co dziś powiem. Takie granice języka państwowego zakreslamy dziś, i tylko dziś i to w ramach wniosku naszego; jutro albo pojutrze oświadczenie dzisiejsze nie będzie nas obowiązywało. A zatem panowie (prawica) macie dziś jeszcze bardzo korzystną sposobność, bylebyście z niej skorzystali.” Tak więc i ta definicya traci wszelką praktyczną wartość, jest warunkowa, odnosi się do pewnej chwili, jutro lub pojutrze Niemcy dla niemieckiego języ-

ka państwowego mogliby się domagać wszelkich innych praw z ujmą innych języków ¹⁾.

Pod jednym atoli względem kwestya języka państwowego została dokładnie wyjaśniona, pod względem, aby się tak wyrazić, terytoryalnym. Wszyscy bowiem mówcy lewicy zapewniali, że wprowadzenie niemieckiego języka państwowego nie ma naruszać praw, których języki krajowe używają obecnie w Galicyi i Dalmacyi. Oświadczył to wnioskodawca hr. Wurmbbrand w przytoczonym powyżej ustępie swój mowy. To samo powtórzył prof. Tomaszczuk, podnosząc, że już ze względu na położenie geograficzne, Galicya i Dalmacya mogą otrzymać odrębne stanowisko. Z swój strony trzej mówcy czescy: dr. Rieger, hr. Clam-Martinić i dr. Gregr, z tych oświadczeń wyprowadzali wniosek, że lewicy nie chodzi o jedność państwa, lecz o zgermanizowanie pewnej tylko części państwa. Wreszcie najdokładniej wyświecił rzecz poseł Plener, generalny mówca lewicy. Zaznaczywszy, że lewica nie myśli naruszać stosunków, istniejących w prowincjach włoskich, tudzież w Galicyi, gdzie w r. 1869 uznano język polski jako język władz krajowych, dodał: „Ze inaczej obchodzimy się z włochami, dalmatyńcami i polakami, aniżeli z czechami i słoweńcami, to prawda. Ale to nie jest naruszeniem logiki, lecz tłómaczy się względami historycznymi i geograficznymi. Kraj czeski leży w środku ludności niemieckiej, ze wszystkich stron niemcy otaczają czechów, najdalej wysuniętych na zachód słowian. Tym więc Austrya, jeżeli w ogóle chce istnieć, nie może przyznać odrębnego stanowiska, jak Galicyi, Dalmacyi i południowemu Tyrolowi, leżącym na periferyi państwa. Nie wynika to z nienawiści do narodu czeskiego, lecz z warunków bytu Austryi, która nie może zezwolić, aby w jej sercu powstał organizm słowiański, któryby klinem wbił się w środek ludności niemieckiej.” P. Plener, syn byłego ministra skarbu, uchodził dotąd za jednego z najgorliwszych centralistów i popisywał się zawsze pewną nienawiścią do Galicyi. Jeżeli teraz nawet ten mówca przyznawał jej pewną odrębność, świadczy to, że lewica, czyli stronnictwo niemieckie, wreszcie oswoiło się z myślą wypuszczenia Galicyi z pod żelaznej obręczy germanizacyjnego centralizmu, byle zjednoczonymi siłami zgnieść czechów i słoweńców. Że p. Schönerer wystąpił nawet z odpowiednim wnioskiem („wzywa się rząd, aby z wykluczeniem Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi, przygotował

¹⁾ Hr. Wurmbbrand oświadczył wyraźnie, że nie domaga się ogłoszenia języka niemieckiego jedynym językiem obrad rady państwa. Tak poważny dziennik, jak „Allgemeine Zeitung” (dawniejsza augsburska, a teraz monachij-ska), mocno się tém gorszy i zapewnia, że w takim razie niebawem nastanie chaos, bo wszyscy posłowie w radzie państwa będą przemawiać w swych językach ojczystych. Oczywiście „Allg. Zeitung” nie wie, że i tak wolno jest posłom w radzie państwa przemawiać w języku ojczystym, że jednak z powodów praktycznych z tego prawa nie korzystają. Oświadczenie więc hr. Wurmbbrandu w tój mierze w niczém nie zmienia status quo ante.

ustawę o niemieckim języku państwowym w tych granicach, w których w Węgrzech jest językiem państwowym madziarski“), mniejszą ma doniosłość, bo p. Schönerer od lat 14-tu działa w tym duchu; ale jako daleko wysunięta naprzód wedetta stronnictwa niemieckiego, na teraz nie posiada jeszcze wpływu na bieg spraw parlamentarnych. Bądź jakbądź, z rozpraw o kwestyi językowej wynika, że stronnictwo centralistyczne w miarę, jak się zamienia w stronnictwo czysto niemieckie, coraz to wyraźniej godzi się z myślą przyznania Galicyi (i Dalmacyi) odrębnego stanowiska. Dopóki istnieć będzie autonomistyczna większość rady państwa, odnośne propozycje Niemców nie mają praktycznej wartości, to też poseł Hausner słusznie odrzucał je, „ponieważ przyjmując je, wyrzeklibyśmy się naszych wiernych sprzymierzeńców w walce o autonomią i równouprawnienie.“ Gdyby jednak albo rząd hr. Taaffego wszedł na tory centralizmu, albo też stanął u steru państwa nowy rząd centralistyczny, wtenczas niezawodnie owe kombinacje, naznaczone przez hr. Wurmblanda, p. Plenera i t. d., stanęłyby ponownie na porządku dziennym.

Po tém zбочeniu powracamy do drugiego pytania, stanowiącego jedną z nici czerwonych rozpraw językowych: W imię jakich praw lewica dla języka niemieckiego domagała się tytułu państwowego? Nasamprzód w imię rzekomych praw historycznych. Wszyscy mówcy lewicy dowodzili, że język niemiecki był i jest państwowym, że więc dziś chodzi tylko o to, aby go uznać jako stan legalny. Wszyscy też naturalnie powoływali się na Maryą Teresę i Józefa II. Uczony poseł Beer sięgnął jednak w odleglejszą przeszłość: „Można powiedzieć, rzekł on, że skoro się państwo austriackie narodziło i zaczęło jękać, jękało się po niemiecku. W r. 1528, a zatém w dwa lata po wyborze Ferdynanda na króla Czech i Węgier, zjawilo się pierwsze rozporządzenie o niemieckim języku państwowym. W r. 1548 trybunał apelacyjny prazki otrzymał rozkaz, aby przyjmował podania w języku niemieckim. Dnia 5 sierpnia r. 1555 cesarz Ferdynand polecił sądom czeskim używać w potrzebie języka niemieckiego, równocześnie w austriackich sądach w miejsce łaciny wprowadzał język niemiecki. Że te usiłowania w następném stuleciu zostały wstrzymane, tłómaczy się ówczesnemi wypadkami (wojna 30-letnia, wojny tureckie i francuzkie). Od chwili jednak, gdy w Austrii powstały władze centralne, posługiwały się językiem niemieckim, tak mianowicie Hofkriegsrath. Rzecz uwagi godna, że właśnie dyplomaci pierwsi zalecali większą jednolitość administracyi. I tak znajduję niedrukowaną dotąd depeszę, przesłaną r. 1712 z Utrechtu do cesarza, której autor podnosi potrzebę zrobieńia z tyłu pięknych krajów jednolitéj, (t o t a m) Austrii. Marya Teresa dopiero to przeprowadziła...“¹⁾ Wszystkie podobne reminiscencye, uzasadniające nibyto niemiecki język państwowy względami historycznemi, nie odnoszą się ani do Galicyi, ani do Dalmacyi. Najdobi-

¹⁾ „Stenogr. Protocoll,” str. 11, 139.

tniej zasadę, objaśnioną przez posła Beera historycznymi przykładami, wypowiedział poseł Rechbauer, twierdząc: „Państwo austriackie powstało pracą niemieckiego szczeputu.” Brzmi to bardzo uroczyście. Pominąwszy jednak pytanie, czy Ferdynand I był Niemcem, a nie raczej Hiszpanczykiem, jak jego brat, Karol V, rzecz jasna, że gdyby w r. 1526 Węgrzy i Czesi nie byli (pod warunkiem zachowania swych praw i swobód narodowych) wybrali Ferdynanda swym królem (po zgonie Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem), Austria, t. j. wielkie państwo austriackie, nie byłoby wcale powstało. A zatem tym samym prawem, którym poseł Rechbauer Niemców nazywa twórcami Austrii, możnaby ten tytuł reklamować dla Węgrów lub Czechów.

Powtóre zaś uzasadniono potrzebę uznania języka niemieckiego jako państwowego wrodzoną wyższością języka niemieckiego. Dr. Rechbauer oświadczył: „Pominąwszy względy historyczne, język niemiecki dla tego powinien być uznany jako państwowy, ponieważ jest jedynym w Austrii językiem światowym; języki innych narodów austriackich mają ograniczony zakres działania, i nie są znane w obcowaniu światowym.” Poseł Beer dowodził: „Pytanie, dlaczego właśnie język niemiecki był wybranym na język państwowy, rozwiązuje się łatwo, skoro sobie przypomnimy stan innych języków ludowych w zeszłym stuleciu. Ani czeski, ani słoweński wówczas nie święcili swego odrodzenia. Aż do końca tego stulecia nie było ani czeskiej, ani słoweńskiej literatury. W takich okolicznościach nie pozostawało, jak uciec się do języka niemieckiego.” Tu możnaby wszelako nadmienić, że i literatura niemiecka w Austrii nie wydała w w. XVIII bardzo świetnych owoców. Na takie argumenta dowcipnie odpowiedział poseł czeski dr. Edward Gregr: „Nikt więcej odemnie nie szanuje płodów duchowego życia narodu niemieckiego i wiem, że ten naród wystawił sobie duchową pracę wysoką świątynię chwały. Ile jednak przyczynili się do tego Niemcy z Bukowiny, nie wyczytałem w żadnych dziejach oświaty (wesotość na prawicy), a ile się przyczynili nasi Niemcy współobywatele w Czechach, to wiemy doskonale. Nie przemawiajcież tak dumnie panowie, jak gdybyście byli wydali Goethego, Schillera, Humboldta, gdy zaś ciągle powołujecie się na wielki naród niemiecki i jego kulturę, zawsze to przypomina mi ubogich krewnych, którzy się przechwalają bogatym stryjem” (powszechna wesotość). I co do tej kwestyi jednak, lewica uznawała wyjątkowe stanowisko Galicyi i prowincyi włoskich. I tak zaraz pierwszy mówca, prof. Tomaszczuk oświadczył: „Uznawając uzdolnienie wszystkich języków monarchii, trzeba przecie przyznać, że z nielicznymi wyjątkami nie dostąpiły tego stopnia rozwoju, na którym stanął niemiecki. Powiadam, z niektórymi wyjątkami. Każdy z nas szanuje wysoką wartość literatury włoskiej. Nie było potrzeba przypominać nam, jak się to stało w tych dniach, Danta i Petrarke, bo i bez tego naród włoski uznajemy jako naród oświecony pierwszego rzędu. Nie mniej też uznaję, że w piśmiennictwie polskim wciela się starożytna i samo-

dzielna oświata. To też jest rzeczą bardzo pomyślną, że i włoskie i polskie pola językowe pod względem geograficznym są tak położone, iż tym językom można było przyznać pewną odrębność, której nie naruszamy, która jednak pozostawia jeszcze dosyć miejsca dla języka państwowego¹⁾.

Co nareszcie dotyczy trzeciego pytania: dlaczego właśnie teraz Niemcy domagają się legalnego zabezpieczenia przywilejów języka niemieckiego?—rozumie się, że wszyscy mówcy lewicy odpowiadali na to pytanie. Pierwszy, prof. Tomaszczuk, wyliczywszy różne niebezpieczeństwa, które obecnie grożą językowi niemieckiemu, pomiędzy temi polonizacją Bukowiny, rzekł: „Czyliż panowie nie widzicie w tém żadnego niebezpieczeństwa dla jedności państwa, że teraz u nas można już odbyć wszelkie nauki od szkoły ludowej aż do wszechnicy bez znajomości języka niemieckiego? Prawda, że tak daleko posuwają się tylko czesi; bo w szkołach średnich (gimnazyach) galicyjskich pielęgnują naukę języka niemieckiego. Skoro jednak się uda, do czego w Czechach zdąża znaczne stronnictwo, aby tam dorosło pokolenie wykształconych ludzi, nie znających języka niemieckiego, wtedy język niemiecki będzie wprawdzie wyparty; ale jak to zawsze się dzieje u narodów mniejszych, okaże się potrzeba oparcia się na inną, większą kulturze“ (rosyjskiej) i t. d. Hrabia Wurmbrand ubolewał, że narodowość niemiecka, zamiast czynić postępy w Austrii, coraz to więcej traci grunt pod nogami i dodał: „Jeżeli dziś zdejmiecie wyższy wieńiec aparatu administracyjnego, który się musiał germanizować, ponieważ język niemiecki był państwowym, jak dawniej, za czasów przewagi łaciny, latinizował się, i jeżeli nie zaliczycie do Niemców wykształconych mieszczan, którzy rozumieją po niemiecku, wtedy znajdziecie, że właściwy lud niemiecki dziś jeszcze znajduje się w tych samych granicach, co przed siedmiuset laty.“ To świadczy tylko o daremności usiłowań germanizacyjnych, ale czyliż ze stanowiska sprawiedliwości i międzynarodowego prawa wypada ubolewać nad tém, że naród niemiecki w Austrii pozostał jak twierdzi hr. Wurmbrand, w swych pierwotnych, naturalnych granicach? Dr. Rechbauer rzekł: „Kiedyśmy w r. 1867 obradowali nad artykułem XIX konstytucyi, poruszono pytanie, czyliby nie należało zabezpieczyć praw języka państwowego? Zapewniano atoli, że to całkiem zbyteczne, ponieważ nikt nie podaje go w wątpliwość. Ubiegło lat piętnaście, a jakże ta myśl powszechnego uznania praw języka niemieckiego została w tył usunięta! (a wniosek Grocholskiego?). Kodyfikacya może nie byłaby potrzebna, gdybyśmy nie musieli się obawiać, że owo uznanie języka niemieckiego coraz więcej zniknie. Zwłaszcza w najnowszych czasach i pod rządem obecnym obawy takie wzmagają się. Przypominam rozporządzenia językowe, usunięcie urzędników niemieckich z wyższych posad. Nawet generałowie i gubernatorowie wystawieni są na namię-

¹⁾ „Sten. Prot.“ str. 11—110.

ne zaczepki, skoro popierają język niemiecki (generał Wranowicz, namiestnik Dalmacyi). Jakie to namiętne protestacye wywołało rozporządzenie naczelnego generała w Czechach (Filipowicz), aby oficerowie używali języka niemieckiego?“

Jako zamachy na język niemiecki, poseł Plener wymienił pamiętnik postów czeskich z r. 1879, domagający się, aby w Czechach język czeski był służbowym władz sądowych, dalej projekt profesora Kwiczały, który się domaga od sejmku czeskiego prawa, zabraniającego rodzicom czeskim posyłania swych dzieci do szkół niemieckich i t. d. Następnie przypomniał, że poseł Gregr, który w radzie państwa uznaje zalety języka niemieckiego, niedawno temu wydał broszurę, w której słowa Riegera, że każdy wykształcony czech powinien umieć po niemiecku, nazwał słowem złowrogim („Osudne słowo“), i zamachem na honor i byt narodu czeskiego. Dalej mówca zauważył: „Znacie panowie listy proskrypcyjne takich osób, które w Czechach kupują u Niemców, a takie rzeczy nie wydarzają się w żadnym innym kraju, chyba w południowej Ameryce. To gorsze, niż rozporządzenie językowe, bo to czuje każdy obywatel, każda niewiasta, każda osoba prywatna, kiedy widzi się obrzucanym obelgami jedynie dlatego ponieważ jest Niemcem, i że w ulicach Pragi, kiedy się odezwie w języku niemieckim, wołają: „zabijcie go, Niemca. Takim sposobem stosunki w Czechach stawają się nieznośnymi.“ Pominąwszy fakt, że z pojedynczych zająć nie można przecież, jak to czyni pan Plener, robić zaraz metody i że w istocie nikt nie słyszał, aby w ulicach Pragi zabijano Niemców, pominąwszy to, trzeba się jednak zapytać, czyliż owa, dość zresztą naturalna i usprawiedliwiona długim uciskiem niechęć Czechów do Niemców, ustanie w skutek — ogłoszenia języka niemieckiego jako państwowego? Czyliż przeciwnie czesi nie uważaliby tego za nową niesprawiedliwość i za nowy zamach na zagwarantowane sobie w konstytucyi prawa narodowe i czy wtedy nie staraliby się tym energiczniej i wbrew ustawie niesprawiedliwej, krzawić swęj narodowości? A potem, czyliż Niemcy Austriacy pod względem tolerancyi narodowej, mniejszym narodom Austrii przyświecają dobrym przykładem? Czy stronnicy i organa p. Plenera nie podburzają mas niemieckich przeciwko Polakom i Czechom przewrotnemi insynuacyami? Bardzo trafnie oświadczył poseł Hausner: „Nie pochwalam, gdy niektóre polskie dzienniki w niemieckim napisie lub stampilii jakiego banku polskiego, dopatrują się zaraz zachcianek germanizacyjnych. Ale można to wytłómaczyć sobie, że narody długo uciskane i zagrożone w swych zasadniczych prawach, nawet pod konstytucyą wolnomyślną, nie wyrzekną się odrazu podejrzliwości i obaw. Niepojętym zaś jest, że reprezentanci narodu, który zawsze zajmował stanowisko panujące i też dziś je zajmuje, powodują się taką lekkością i taką nieufnością w swą siłę, jakgdyby naród niemiecki mógł zginąć wskutek nominacyi Polaka lub Czecha ministrem, albo nawet generalnym

dyrektorem kolei żelaznej (wesołość), polskiego rozkładu jazdy, czeskiego wyroku sądowego, lub słoweńskiej instrukcyi szkolnej.“

Słowem, na twierdzenie prof. Tomaszczuka: „Za czteroletnich rządów hr. Taafego, używanie języka niemieckiego z każdym dniem więcej zostało ścieśniane,“ mówcy lewicy nie umieli przytoczyć innego dowodu, jak tylko jedyne rozporządzenie rządowe z kwietnia r. 1880, które w myśl artykułu XIX konstytucyi, wprowadza równouprawnienie obu języków krajowych w sądach czeskich. Natomiast najpoważniejsi mówcy prawicy, mianowicie hr. Hohenwart, dr. Kazimierz Grocholski, dr. Riger, hr. Clam-Martinić, ks. Jerzy Czartoryski i t. d., zapewniali w imieniu prawicy, że o ile używanie języka niemieckiego okazuje się potrzebném w interesie państwa i administracyi, słowianie pomimo artykułu XIX konstytucyi o równouprawnieniu narodowości i języków, uznawają przywileje języka niemieckiego i nie myślą ich naruszać. Odrzucenie wniosku hr. Wurmbranda, niczém nie usprawiedliwionego przez mówców lewicy, zostało więc jaknajdokładniej uzasadnione przez mówców prawicy.

Rzeczywiście téż wniosek ten upadł w imienném głosowaniu dnia 29 stycznia: 186 posłów głosowało przeciwko niemu, 155 za nim. Cała prawica, ministrowie, którzy posiadają mandat poselski (Dunajewski, Ziemiałkowski, Prażak, Pino, Falkenhayn), oraz klub hr. Coroniego, złożony przeważnie z posłów włoskich, głosowali przeciwko wnioskowi hr. Wurmbranda, za nim głosowała zjednoczona lewica, do której przyłączył się poseł Lienbacher z dwoma kolegami salzburskimi. Tak więc usiłowania stronnictwa niemieckiego wprowadzenia manowcami języka niemieckiego do prawa publicznego Austrii spełży na niczém—na teraz.

Dodajemy na teraz, albowiem równocześnie upadł téż wniosek Grocholskiego, uzyskawszy tylko 167 przeciwko 174 głosom, co tłómaczy się tém, że ministrowie wstrzymali się od głosowania, zaś klub hr. Coroniego głosował z lewicą przeciwko wnioskowi Grocholskiego. Wniosek ten, odmawiający radzie państwa kompetencyi do uchwalenia ustawy językowej, gdyby się był stał uchwałą parlamentarną, byłby tém samém zagroził drogę nowym zamachom niemieckim na artykuł XIX konstytucyi. Wszelkie odnośne propozycye w duchu wniosku hr. Wurmbranda, możnaby było w przyszłości odrzucić zgóry, powołując się na uchwałę parlamentarną, wykluczającą te kwestye z zakresu działania rady państwa. Wniosek Grocholskiego miał więc na celu utwierdzenie autonomistycznych pierwiastków konstytucyi, i z tego względu, uchwalony przez izbę, byłby oznaczał prawdziwą zdobycz dla zasad autonomistycznych. Powtóre, zaznaczając dobrowolne ustępstwa, czynione przez słowian na rzecz języka niemieckiego, wprowadzić nie przygotowywał, jak to twierdzili wszyscy mówcy lewicy, zamachów na język niemiecki, bo, jak zauważył poseł Hausner, nie chcemy ani niemieckiego, ani słowiańskiego języka państwowego, ani téż, jak twierdził np. p. Plener, nie opierał się na zdaniu: „tolerantur, sed non ap-

probantur,“ ale — w sposób pożądany zaznaczał zasadę równouprawnienia, choć w praktyce narody nie-niemieckie gotowe czynić ustępstwa.

Odrzucenie więc wniosku Grocholskiego jest dotkliwą porażką obozu autonomistycznego a zarazem rządu, który nie śmiał poprzeć go stanowczo. Stronnictwo niemieckie może teraz lada dzień ponowić pod jakąbądź forną wniosek hr. Wurmbanda. Najmniej w tym względzie zagrożone Galicya i Dalmacya. Natomiast—a rozprawy wyjaśniły to dostatecznie—stronnictwo niemieckie zdąży teraz wszelkimi siłami do zgniecenia Czechów i Słoweńców.

1 lutego, 1884 r.

PIERWSI ORYENTALIŚCI I ARCHEOLOGOWIE POLSCY ¹⁾.

NAPISAL

Ludwik Dębicki.

Moda oryentalizmu.—Wpływy Wschodu na Polskę.—Stosunek księcia generała Adama Czartoryskiego z baszą chocimskim.—Oryentalista Pougens w Paryżu.—Wiesiołowski i Broniewski w Petersburgu.—Józef Hamid w Wiedniu.—Jan Potocki.—Wacław Rzewuski.—Aleksander Sapieha.—Zoryan Chodakowski.—Michał Bohusz.—Ks. Żukowski w Krymie.—Ruś.

Pod koniec XVIII i na początku naszego stulecia, zapanowała powszechna w Europie moda Wschodu, badań, studyów i podróży oryentalnych. Podróże do Lewantu, jak wówczas mawiano, wabiły swoją niezwykłością umysły, żądne świeżych wrażeń i nadzwyczajnych przygód. Od Chateaubrianda aż do Byrona, cały zastęp znakomitości zwracał się w te nieznane strony. Akademie i towarzystwa uczonych, zaczawszy od Akademii francuskiej aż do tych gniazd erudycji, jakimi były drugorzędne nawet stolice książąt niemieckich, zajmowały się pilnie nauką języków wschodnich, badań geograficznych, przyrodniczych i ciekawości archeologicznych Wschodu. Była w tej niejasnej początkowo ciekawości pewna chęć nieposkromiona szukania świeżych pierwiastków nowszej kultury i cywilizacji, ponieważ obfita dotąd puścizna oświaty i kultury klasycznej zdawała się już być wyczerpaną. I rzeczywiście, obok zwrotu do wieków średnich, poznanie fantastycznego Wschodu, miało stać się ważnym czynnikiem w przygotowywującym się zwolna nowym zwrocie, powiedzielibyśmy nieomal, w przygotowującej się nieznacznie rewolucji w mniej drapieżnej, ale bardziej stanowczej formie w dziedzinie poezji i literatury europejskiej.

¹⁾ Artykuł niniejszy stanowi ustęp z obszerniejszego dzieła, osnutego na materyałach rodzinnego archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie.

Dla Polaków nie był Wschód już oddawna światem obcym, nieznanym. Od wieków mierzyli się z nim w różnych zapasach: wojna, jasyr i poselstwa, stawiały ich w bezpośredniej i ustawicznej styczności tak z islamizmem przez Stambuł i przez Turcyą Europejską, jak w dalszym postępie z samém wnętrzem Azji przez hordy tatarów nogajskich, zapuszczających swe zagony i szlaki z dalekich pustyń azyatyckich w samo serce Rzpltej. Czy skorzystała z tych zapasów nauka i cywilizacya? Czy z tego zetknięcia, zawsze obronnego, wynieśliśmy i zachowaliśmy jedynie bogate stroje, tkane złotem materye, haftowane złotem tyftyki, zbytkowne namioty, imponujące chorągwie i nieco łupów wojennych? Lubo nie dla zaspokojenia ciekawości badawczej jeżdżono w poselstwa do „Turek,“ to jednak nauka języków wschodnich była niezbędną kwalifikacyą dyplomatów polskich, łączyła się z zawodem rycerskim tych, co jeździli „do Turek.” Naukę języka tureckiego zaleca na pierwszym miejscu w instrukcyi dla swoich synów Jakób Sobieski. Wśród takiego położenia i sytuacji historycznej, wzięliśmy od Turków i tatarów znaczny zapas słów i wprowadziliśmy tych jeńców do języka polskiego; z postępem czasu przyznaliśmy im indygenat zupełny w literaturze naszej—i szanujemy nawet dziś tych młodszych obywateli na niwie wyobrażeń cywilizacyi i oświaty zachodniej. Stało się to tém łatwiej, że towarzyszyły im imponujące formy zewnętrzne: kontusz polski czerkieskie ma pochodzenie. Tą drogą dostaje się do Polski wiele pojęć i przedmiotów nieznanych na Zachodzie, a jak bierzemy krzywą karabelę aż z Damaszku, a pasy przetykane złotem z wzorów wschodnich tkanin, tak przenosimy od Turków dla pokojowych szlachty otia ulubioną lulkę z długim cybuchem. Nietylko w stroju i obyczajach, ale i w literaturze są ślady tego sąsiedztwa z Wschodem: wszak poezye poetów Irauu, jak Saadi, równie wzorzyste jak perskie kobierce, poraz pierwszy dostają się do Europy w przekładach polskich Otwinowskiego. Straż od ściany tureckiej nie ustawała, choć już powódź tatarska wstrzymana u źródła skonsolidowaniem się cesarstwa moskiewskiego i choć potęgę islamu w Europie złamał Sobieski pod Wiedniem. „Mohort” Wincentego Pola nie jest poetyczną fikcyą; ale typem historycznym naszej sytuacji dziejowej: Mohort, to rycerz skamieniały, do końca nieruchomie stojący na kresach, choć zkądinąd wiszą nad Rzpltą groźne chmury. Jestto wier-na postać gasnącej w narodzie rycerskości, która wśród gnuśniejącej społeczości nie przenikając gromów największego niebezpieczeństwa, szła z przyzwyczajenia na ową straż graniczną od pochańców. Obok poczucia obrony, wabiła w tę stronę także pewna rycerska fantazyja, o czém świadczy między innymi Stanisław Poniatowski, ojciec króla, który oddawszy swój oręż i swoje umysłowe zdolności w usługę Karolowi XII, gdy zwyciężony znalazł się w granicach państwa ottomańskiego — okazuje taką znajomość języka, charakteru i obyczajów wschodnich, że swym osobistym wpływem jedna zwyciężonemu krolo-

wi opiekę i pomoc baszów i sułtana i odgrywa nader wpływową rolę w Stambule.

Coś podobnego spostrzegamy także i u księcia Adama Czartoryskiego. Potrójny, rzecz można, pociąg wabił księcia generała ziem podolskich w stronę orientu: tradycja panów polskich, przewidywania polityczne i współczesna ciekawość głośniejszych uczonych świata europejskiego. Ilekroć przedsiębrał objazd dóbr swoich na Podolu i Ukrainie, a zarazem lustracją wojsk, będących pod jego komendą, zwykł był zwiedzać najpierw fortecę polską Kamieniec, gdzie major Orłowski komenderował załogą i był zarazem plenipotentem księcia, następnie zaś odwiedzał zwykle baszę w Chocimiu. Jedną z takich wizyt, w której wzięła udział także księżna generałowa, opisuje Niemcewicz: „Basza przyjął nas otoczony całym swym dworem. Między urzędnikami dworu tego był także i błazen, śmieszna, niepocieszna figurka, dziko ubrana, z mnóstwem małych młoteczków za pasem. Wykrzywania się atoli jego nie rozrywały posepnego baszy, nie prawie nie mówił: dano kawę i lulki, rozdano każdemu po chustce ze złotemi brzegami; gdyśmy się oddalali, zapytała księżna znajomego tatarskiego, mówiącego po polsku, dlaczego basza tak smutny; „nic to, rzekł, wczoraj przywidziało się baszy, że jedna z żon jego jest mu niewierna, więc kazał ją obszyć w wór, wrzucić w Dniestr i utopić; dziś rano przekonał się, że była niewinna, jest więc trochę markotny, ale to przejdzie.” Odwiedziła księżna seraj baszy, wysokim parkanem ogrodzony, znalazła w nim z tuzin żon, wszystkie tłuste i białe, w tém bowiem piękność u turków zależy. Zaproszeni byliśmy na obiad: dla każdego był osobny stolik niski przy samej prawie ziemi, usiadłszy na dywanie ze skurczonemi nogami, przyniesiono ze czterdzieści potraw drobno siekanych, jedna po drugiej tak prędko, że ledwo skosztować było można, tak wraz odnoszono napowrót.”

Tragiczna anegdotka, o której wspomniął Niemcewicz, nie przeszkodziła księciu wejść w bliższe stosunki z baszą chocimskim. W archiwum rodzimém Czartoryskich pozostały ślady luźnej korespondencji baszy pismem tureckim. Jakiéj natury jest ta korespondencya, czy dotyczy spraw politycznych lub wojskowych, czy mieści także szczegóły odnoszące się do studyów orientalnych, którym się książę z wielkiem oddawał zamiłowaniem,—odstąpić może tylko znawca języka tureckiego, których nie brakowało na dworze puławskim. Książę miał młodego turczynka, którego powołaniem była obsługa fajczarni, on to po obiedzie podawał i zapalał fajki księciu i zebranyim gościom. Był i drugi poddany padyszacha do koni wschodnich; ale nie był to muzulmanin, choć nosił zawój, lule, fez. Pijał przytem swobodnie wino, napój wzbroniony przez proroka, a nadto jako gorliwy chrześcianin ilekroć był w stanie nietrzeźwym, co w późniejszych latach często się mu zdarzało, zwykł był pałaszem rąbać chwasty lub jarzyny w ogrodzie, tłómacząc sobie że ścina głowy niewiernych żydów, którzy zamordowali Chrystusa Pana. Ów antisemita puław-

ski był ormianinem katolikiem, nosił się po turecku, mówił i pisał kilkoma językami wschodnimi. Nie trzeba było tak wielkiego dworu, jakim był dwór książęcy w Puławach, aby wśród służby najrozmaitszego stroju, pajuków, hajduków, kozaków i węgrzynów, mieć także i turczynka do koni lub fajek, bo jak dziś moda każe czasem na murzyna poczernić, którego z chłopców kredensowych, tak zdarzało się wówczas, iż szlachta przebierała po turecku miejscowego pachółka. Te szczegóły z dworu puławskiego, dowodzą wymownie, do jakiego stopnia i ludzie i rzeczy wschodnie były w powszechnym w owoczesnej Polsce zwyczaju, jak niemi lubiono się otaczać nawet w codziennym życiu.

Książę Czartoryski, dzielący te gusta, zajmuje się kwestyą wschodnią także i ze względów politycznych: utrzymuje stałą korespondencją z posłami, których Stanisław August wysyła do Stambułu, i informuje się od nich o usposobieniach panujących w Dywanie i u wielkiej Porty, śledzi widoki Stanisława Augusta, zamierzającego wspólnie z Rosyą wydać Turcyi wojnę, rozważa znaczenie polityczne tego faktu, gdy sułtan, jedyny z mocarstw europejskich oprócz papieża, nie uznaje dokonanych w środkowej Europie przeobrażeń politycznych, gdy wychodźcy polscy doznają w Turcyi nie tylko opieki, ale i otuchy. Podejrzewany przez dyplomacyą o intrygi z dostojnikami tureckimi Czartoryski, zajmuje się jednak w daleko wyższym stopniu Wschodem z pobudek naukowych niż politycznych, bo godłem jego było owo klasyczne: *homo sum, nihil humanum a me alienum esse puto*. Zapalony do studyów lingwistycznych i hipotez etymologicznych, zna języki: hebrajski, chaldejski, syryjski, zajmuje się literaturą perską, w języku indyjskim koresponduje z jednym lordem angielskim i zabiera się do studyów nad sanskrytem.

Paryżki stały korespondent księcia, p. Pougens, członek Akademii, jest z powołania orientalista: jako biegły znawca sanskrytu, układa dykeyonarz etymologiczny. Z Puław otrzymuje ciągle zamówienia dzieł dotyczących Wschodu, jakie się wówczas pojawiały, jak dzieła uczonego włoskiego Viscontego i słynnego profesora Sorbony, Sylwestra de Sacy, o Egipcie; Brahma, posła holenderskiego, o Chinach. Książę dziękuje mu za nadesłanie przekładu poezyi perskich Hafis'a, którego mieni perskim Horacym i zapytuje: „czy nikt nie przełoży słynnej pieśni o kruku, śpiewanej w serajach?” W innych listach zasygnuje p. Pougens pytaniami w rzeczach porównawczej filologii, jak np.: „czytając opis miasta Benares, spotkałem opis wyspy na Gangesie: *Nowai Vispa*, jakgdyby Wisła zrobiła nową wyspę?” To znów przesyła do odczytania napis w nieznanym języku, prawdopodobnie arabskim, wyryty na świeżo nabytym do zbiorów puławskich lapis lazuli: „orientaliści paryżcy niechaj oznaczają.” Najusilniej się domaga zakupna przedmiotów muzealnych, mających związek ze Wscho-

dem, a gdy Pougens to uskutecznił, największą sprawił przez to księciu przyjemność.

Gdy po upadku Rzeczypospolitej stosunek ze Stambułem przerwany lub utrudniony został, staje się Petersburg najlepszym punktem do zbierania informacji o rzeczach dalekiego Wschodu. To też w Petersburgu ma księżę swego korespondenta naukowego w osobie Krzysztofa Wiesiołowskiego, który poświęcał się specjalnie nauce orientaliów. Poczynając od r. 1796, regularnie przesyła Wiesiołowski do Puław wiadomości o wyprawach naukowych i o stosunkach politycznych Rosyi ze Wschodem. Z polecenia księcia podejmuje sam podróż do kraju Kurdów w r. 1811. Poseł francuzki przy dworze petersburskim, Aleksander de Ribeaupierre, zaprzyjaźniony z domem Czartoryskich, donosi księciu o dwóch jego synach; ale znając upodobania księcia, zbiera dlań wszelkie wiadomości, odnoszące się do Wschodu. Z tych relacji dowiadujemy się zajmujących szczegółów, w jaki sposób zawiązała Rosya poraz pierwszy stosunki z Japonią. Stało się to skutkiem dobrego przyjęcia, jakiego doznało w Jeddo dwóch rosyjan, ocалonych z rozbitego wśród burzy okrętu rosyjskiego. Gorzej atoli powiodło się generałowi Łazarewowi z królową Gruzji. Wschodnia ta Lukrecya kazała zamordować przedsiębiorczego dyplomatę za zbyteczną jego galanterya.

Równocześnie z Krzysztofem Wiesiołowskim przebywa w Petersburgu inny orientalista, polak Broniewski, będący w służbie dyplomatycznej rządu rosyjskiego. Broniewskiego wysłano z Ołomuńca w roku 1806 do Konstantynopola dla spisania ratyfikacji traktatu między Rosyą a Turcyą. Broniewski, nie poprzestając na swojej misji dyplomatycznej, zakupuje w Stambule słowniki tureckie, arabskie, perskie i wysyła je wraz z burkami kaukazkimi do Puław, w dowód swęj osobistęj dla księcia generała wdzięczności. Oprócz tego, zajmuje się Broniewski z polecenia księcia sprowadzeniem koni perskich, jako najodpowiedniejszych do odświeżenia ginącej już w kraju rasy koni polskich. Wreszcie przesyła z dalekiego Wschodu via Petersburg do zbiorów puławskich: plan miasta Pekinu, oraz sześć malowideł chińskich. Broniewski, korespondujący z księciem generałem w przedmiotach dotyczących orientu, dochodzi w Petersburgu do wysokiego urzędu, a następnie obejmuje ważne posady na Kaukazie i w Krymie.

Gdy przez swoje stosunki w Rosyi stara się księżę generał zbierać informacje z dalekiego Wschodu i przedmioty muzealne drogą lądową, nie zaniedbuje w tym samym celu dawnych swych przyjaciół z lat młodych w Anglii. Sir Henry Grey zajmował wysokie urzędowe stanowisko w Indyach, z czego księżę nie omieszkał korzystać. Koresponduje z nim w języku angielskim, powołując się na cytaty oryginalne indyjskie, a w odpowiedziach otrzymuje od Sir Greya obszerne relacje z jego podróży, przedsięwziętęj w głąb Indyi, oraz różne przedmioty, mające zdobić świątynię Sybilli. Korespon-

dencją angielską prowadzi także książkę o rzeczach Wschodu w ostatnich latach swego życia (1819—20) z majorem Begg.

W Wiedniu zaś następuje się księciu inny pośrednik do rzeczy wschodnich, osobistość nieco zagadkowej postaci. Obyczajem, strojem, a nawet nazwiskiem wydaje się być synem Wschodu i wyznawcą proroka; ale wykształcenie, ogładę i naukę ma europejską. Jakaś awanturnicza przygoda rzuciła go za młodu do Turcyi, z kąd powróciwszy do stolicy cesarstwa austriackiego, nie zdjął już fezu i zachował przez resztę życia przybrane nazwisko: Józef Hamid. Kim on był pierwotnie, nie wyjaśniają nasze źródła; mówią tylko, że Hamid otoczył się w Wiedniu orientalnem przepychem i zachował tę pohopność do bogatych podarków, która charakteryzuje wschodnich Nababów. Hamid łączy uczoność z ekscentrycznością, bogactwo i zbytek z poezią, wysokie poczucie honoru z pewną tajemniczością i awanturniczością. Hamid używa wielkiego wzięcia w Wiedniu, zaprzyjaźnia się z gromem polaków i pisuje częste do księcia generała listy między r. 1810—1815. Wróciwszy z jednej ze swoich licznych wypraw na Wschód, przesyła do Puław gościniec: sześć pudełek z kości słoniowej z sześcioma farbami: czarną na oczy surme, z aloesu na rzęsy wesme, na włosy boja, a l h e m a na paznogie, r u z m ę na lica, u g m e n na brodę. Listy Hamida pisane po francuzku, ale w stylu orientalnem, pełne przenosiń i poetycznych obrazów, jak np. zakończenie jednego z nich: „piasek tego listu mieszam z prochem pod Twemi stopami.”

Nie zatrzymywalibyśmy się tak długo nad tą stroną naukowych predylekcyi księcia do orientu, gdyby z nią się nie wiązała osobna szkoła czy grupa ludzi wyższego umysłu, bujnej fantazyi i niepodległego usposobienia, którzy, idąc za tym prądem orientalizmu, na Wschodzie szukać mieli zapomnienia doli kraju i téj wolności, której już nie było w ojczyźnie.

Pierwsze tu miejsce w tym zastępie orientalistów polskich, zajmuje Jan Potocki, syn Józefa Potockiego krajczego koronnego i Teresy z Ossolińskich. Wychowany wraz z bratem Sewerynem w Szwajcaryi, zaciąga się za młodu do wojska austriackiego i odbywa kampanią bawarską w r. 1778, poczem wczesnie rozpoczyna szereg podróży, które chwilowo przerywa w r. 1783 małżeństwo z słynną, czarującą pięknoscią Julią ks. Lubomirską, córką marszałka koronnego a rodzoną księcia generała siostrzenicą. Do Warszawy powraca Jan Potocki po dwuletnim pobycie w Stambule w r. 1788, aby jako poseł poznański zasiąść na wielkim sejmie. Należąc do stronnictwa patryotycznego, do którego wiedzie go duch postępowy, dążący do reform społecznych, z dwoma szwagrami Ignacym i Stanisławem Potockimi, zbliża się i do swego wuja księcia generała; w czasie sejmu zasiada w sądzie sprawy Ponińskiego. W wyższym atoli daleko stopniu aniżeli sprawy polityczne zajmują Jana Potockiego kwestye naukowe i filozoficzne. Jan Potocki przedstawia jedną z najpotężniejszych organizacyi umysłowych swego czasu—i jeden z najbardziej ekscentry-

cznych typów epoki. Przedewszystkiem odznacza się niezmierną ła-
twością pióra: to co pisze, drukuje w własnej drukarni w swym pałacu
przy ulicy Rymarskiej, ale drukuje tylko po kilkanaście egzemplarzy,
tak, że znaczna część jego dzieł stała się rzadkością bibliograficzną,
lub przepadła bez śladu. Ekscentryczność i lekceważenie owych pło-
dów naukowych posuwa do tego stopnia, że wydrukowawszy raz dzieł-
ko treści naukowej, gdy ono nie zwróciło na siebie uwagi ludzi, na któ-
rych kompetencją liczył Potocki — kazał cały nakład wrzucić na gro-
bę, aby tym sposobem w czasie zimowych roztopów naprawić drogę.
Jedna to z licznych anegdot o dziwactwach tego męża uczonego i o je-
go fantazyjach wielkopolskich. Nie dość, że pierwszy odbywa wypra-
wy naukowe do krajów, gdzie dotąd stopa europejczyka nie powstała—
Potocki, chciwy wrażeń nadzwyczajnych, pragnie wzbiec się po nad
ten padoł ziemski i zadziwia gawieź warszawską, gdy z Blanchardem
puszcza się pierwszy balonem nad szczyty i wieże stolicy w podróż
nadpowietrzną. Wszystkie te przygody otoczyły postać Jana Poto-
ckiego urokiem nadzwyczajności.

Potocki rzuca myśli nowe, często mające piętno genialności—
i świadome o wszechstronności, właściwej epoce encyklopedyzmu. Zaj-
muje się literaturą klasyczną i teatrem, a kiedy dotąd w Théâtre
français w tragediach Racina i Corneilla przedstawiano greków
i rzymian w perukach pudrowanych i haftowanych frakach, on na-
mawia Talmę, aby występował w greckich chlamidach i tunikach rzym-
skich, co dało początek wielkiej rewolucyi w dziejach sceny nowożyt-
nej. Od greków i rzymian zwraca się do starożytnych scytów i sar-
matów. Pierwszy wśród słowian rozpoczyna badanie początków Sło-
wiańszczyzny, podejmuje w tym celu podróże, rozkopuje kurhany,
porównywa pisarzy greckich z podaniami miejscowemi, czyni studia
lingwistyczne i etymologiczne, ogłaszając je w licznych swoich bro-
szurach. Badawcza namiętność znajduje u Potockiego znakomite uła-
twienie w wielkiej fortunie i we fantazyi wielkiego pana niczém się
nie krępującego. Okrąża więc całą kulę ziemską. Pomiędzy pół-
wyspem Koreą a Chinami odkrywa nieznanne wyspy, które odtąd no-
szą nazwę archipelagu Jana Potockiego. W Wiedniu zaprzyjaźnia
się z wspomnianym już Hamidem i puszcza się z nim w nową podróż
naukową z końcem 1791 r. do Maroko, a przygody téj wyprawy spi-
suje w bardzo zajmującym dzienniku podróży. Gnany ciągle żądzą
odkryć i badań, z palących pustyń Afryki zwraca się do podbieguno-
wych stref, a po ostatnim rozbiorze Polski podejmuje podróż do Sy-
beryi, le pays vierge pour la science européenne, jak się
charakterystycznie wyraża. O ile wiemy dyaryusz téj podróży sybe-
ryjskiej nie był ogłoszony drukiem, lub też zaginął; dlatego sądzimy,
że nie będzie rzeczą zbyteczną, podać tu kilka ustępów z koresponden-
cyi syberyjskiej Jana Potockiego z księciem generałem. W obszernym
liście francuzkim datowanym z Tomska, podróżnik nasz zdaje szczegó-
łową sprawę z odbytej drogi.

Na wstępie oburza się na wyrażenie księcia, że ulega manii orientalnej, i powiada, że najszlachetniejszą namiętnością, to namiętność Wschodu. Następnie daje odpowiedź na kwestyonaryusz, przesłany mu przez księcia za pośrednictwem Matuszewicza, z którym spotkał się w Petersburgu na samém wyjeździe. Książę zapytywał: co się dzieje w Gruzji? jakie Rosya będzie mogła ciągnąć korzyści handlowe ze swych niekończących się dróg i granic wschodnich? Czy oświata ludności syberyjskiej jest możebna, jaka cywilizacyjna przyszłość tych krajów? Co się dzieje w Kandacharze? Którędy trakt z Rosyi do Tybetu? Czy prawda, że chińczyki tomów powypędzali? Kto panuje w Samarkandzie? Czy są mapy tych krajów? Gdzie się podział Gajos, archirej moźdzacki? Czy muzulman bej z małą hordą trzyma się za Wołgą?

Potocki odpowiada na niektóre z tych pytań w opisie podróży. Opisuje Permę, wspaniałą grotę pod Kungur, jak w Zawod zwiedzał fabrykę złotych wyrobów Kunfa, genialnego człowieka, będącą własnością księcia Strogonowa. Strogonow zaprowadził w Katyrenenburgu warsztaty obrabiania topazów. Najpiękniejsze wazony wyrzynają chłopcy syberyjscy z zielonego jaspisu niezmiernj twardości, według modelów nadsyłanych z Europy. Robota podobna do Kamei starożytnych. Kopalnie złota w Breskowie zajmują naszego turystę, nie tylko ze względu na ich niezmierne bogactwo, ale na dobry byt, w jakim znalazł tutaj skazańców zbrodniarzy. Był obecnym na koncercie dawany przez kryminalistów. Rozmawiał wiele z nimi i dowiedział się od nich, że doznają u swoich nadzorców ludzkiego obejścia. Ckliwy filantrop robi tu uwagę, że „zbrodnia u ludu jest najczęściej następstwem nędzy i że jest ostatnim wyrazem nieszczęścia.” W Tobolsku spotkał się z żądaniem gimnazjum i z pragnieniem oświaty. Krajowi temu potrzeba komunikacji i kanałów, a zakwitnie handlem. W Tobolsku spotkał kompanią geograficzną z Niemców złożoną, istnieje tam teatr, gdzie grywają komedye Kotzebuego na rosyjskie tłómaczone. Za Tobolskiem kończy się ziemia urodzajna i rozpoczynają się płaszczyny bezludne. Do tych relacji, które tu skreśliśmy, dodaje Potocki uwagi: „Filozofowie mówią, że Rosya nie powinna dążyć do rozszerzania swych granic, ale do zaludnienia swych olbrzymich pustyni. A jednak amerykanie, którzy są najmoralniejszym ludem (?) jaki znamy, zabierają ziemię dzikich, gdy im przypada. Zakupili oni świeżo Luizjanę od Francyi, ale gdy Francuzi ją zabrali bezprawnie hiszpanom, wygląda to tak, jak gdyby kpowali rzecz skradzioną. Ale wszelkie panowanie bierze swój początek w uzurpacyi. Moralność panujących zawisła na tém, aby przestrzeżać dobra swych poddanych z najmniejszą szkodą sąsiadów. Zwłaszcza zaś potrzeba mieć jakiś racjonalny i konsekwentny system, bez czego polityka staje się tylko grą namiętności!” Teorya to paradoksalna i niebezpieczna, którą z samj podróży wyprowadza nasz turysta, bo nie tylko że usprawiedliwia uzurpacyą, jako źródło wszelkie-

go panowania, ale nadto taką doktryną w polityce — można usprawiedliwić wszelkie bezprawie. Po powrocie odzywa się znów pan Jan do księcia generała z Antonina na Wołyniu w r. 1814.

„Otrzymałem miły list księcia, przypomniał on mi lata mojej młodości, gdy raczyłeś się mną zajmować. Gdy z wiekiem i wypadkami nauczyłem się porównywać, doszedłem do przekonania, że nikt z ludzi moich czasów nie okazywał tyle rozumu, wiadomości, zacności i przywiązania do swego kraju nad Ciebie, Książę. Mój syn, który ma już wiele krwi Czartoryskich w żyłach, bodajby jęj jeszcze więcej przełał w żyły swoich wnuków, a nie mógłby czerpać z lepszego źródła.” Ostatni ustęp jest aluzją do układającego się właśnie podówczas małżeństwa między Alfredem Potockim, synem Jana z księżniczką Józefą Czartoryską, córką ks. Józefa stolnika litewskiego.

Z wszystkich dzieł Jana Potockiego najwięcej znaną jest fantastyczna powieść jego sześciotomowa p. t.: „Rękopism znaleziony w Saragossie,” gdzie poza bujnością fantazyi, odkrywa nam się głębsza idea filozoficznego umysłu, wykarmionego za młodu mądrością francuzkich encyklopedystów. Umysł Potockiego nie znajdował jednak w nich zaspokojenia i równowagi i nie odnalazł drogi, wiodącej do prawd wiary, aż wreszcie niczem nie zaspokojony, kończy tę walkę samobójstwem.

Jeśli bujna ta natura, pochłaniająca w sobie świat cały wrażeń, badań, problematów, przypomina swém usposobieniem ów proces duchowy, który równocześnie Goethe przedstawił w „Fauście” — to inna współczesna postać, nad swą wartość i miarę upoetyzowana, postać Emira znajduje echo w wierszach o Farysie Mickiewicza i Bałńskiego.

Wacław Rzewuskiego, syna, wnuka i prawnuka trzech z rzędu wielkich hetmanów koronnych, nie można porównać ani pod względem nauki ani co do podniosłości umysłu z Janem Potockim. Była to bowiem tylko wybujała fantazyja młodego polskiego pana, goniącego jak Farys za słońcem i wolném powietrzem, za huryskami i rumakami wśród piasków Arabistanu. A jednak Rzewuski o wiele w kraju popularniejszy, przeszedł w poetyczną legendę. Czemu to przypisać? Jan Potocki jest erudytem i filozofem, jest jednym z ekscentrycznych objawów ducha wieku, tój próżni, jaką w duszach tój generacyi otwiera filozofia w jęj przełomie od wolteryanizmu do racjonalizmu Kanta; typ to bardziej kosmopolityczny. Potocki przesycony Zachodem i nie zaspokojony jego cywilizacją, przerzuca się na Wschód. Ekscentryczność i typowość Rzewuskiego miała zaś tło czysto rodzime: był to fantastyczny, błędny rycerz, który mógł wyrosć tylko u nas, wśród tragicznych warunków swego rodu i narodu. Rycerz ten przechowuje nawet przywary tradycyjne hulaszczego życia i polskiej egsageracyi, którą przystraja wschodnią fantazyją, a gdy ugania się z beduinami po pustyniach Arabii, czuć za nim jeszcze step ukraiń-

ski, przed nim zaś wśród tych przygód turysty rozściela się pole bitwy pod Daszowem, gdzie miał ponieść śmierć bohaterską.

Obie te postacie są zbyt odrębne, abyśmy je mieli zaliczać do grona tych mężów, którzy w Puławach znachodzili swoje ognisko, jednocząc się tam we wspólnej pracy, lub ztamtąd wynosząc inspiracje i kierunek. Ale w przeglądzie ludzi współczesnych, którzy z Puławami w blizkich zostawali stosunkach, pominąć ich nie należało. Łączył ich z księciem generałem blizki związek krwi, łączyło ich wspólne, lubo odmienne zamiłowanie Wschodu.

Emir Rzewuski należy już do młodszego pokolenia i jest synem siostrzenicy księcia generała, a siostry swój pięknej Julii Lubomirskiej, pierwszej żony Jana Potockiego. Listy jego pisywane do Puław, są bardzo lakoniczne i nie mają ani cechy naukowej ani głębszej treści, ale za to przedstawiają tę wartość, że zawiadamiają o przesyłce ogierów arabskich, sprowadzonych z puszczy, o przesyłce szalów tureckich i innych pamiątek orientalnych, przeznaczonych do zbiorów księżny.

Do tej grupy podróżników po wschodnich krainach, zaliczyby można mniej ekscentrycznego i więcej z krajem związanego księcia Aleksandra Sapiehę. Nie był to duch wykołejony, szukający drugiej ojczyzny gdzieś za morzami, ani też specjalista w rzeczach orientalnych, ale człowiek poważny. Podróżował wiele po Grecyi i Turcyi europejskiej, a zostawił nam bardzo cenny opis swjej podróży po krajach południowej Słowiańszczyzny. Jest to pierwsze studjum etnograficzne i obyczajowe, jakie posiadamy w literaturze polskiej o naszych współplemiennikach nad Adryatykiem i u stoku Bałkanów. Dziś jeszcze nie straciła na wartości i znaczeniu ta książka w tém, co podaje o Dalmacyi, Hercegowinie, Bośni, Czarnogórze, Serbii i Albanii. Aleksander Sapieha podejmuje podróż swoję, tak w owych czasach niezwykłą, w latach 1806 i 1807. Z Wiednia wyprawia się do Zagrzebia. Przypomnijmy sobie, że była to właśnie chwila, kiedy u Lindego w Wiedniu otwiera się z inicjatywy księcia generała i Ossolińskiego pierwsze ognisko, zbliżające między sobą wielu uczonych słowian. Sapieha nie mógł pozostać poza granicami starań i intencji rozbudzenia ruchu słowiańskiego w Wiedniu — a w relacyi swjej podróży, jedynę książkę, jaką drukował ¹⁾, złożył dowód tych usiłowań słowiańskich, wychodzących z Puław. Dodać należy, że księcia Sapiehę łączyła ścisła zażyłość z Puławami, zażyłość, która niebawem ma utrwalić małżeństwo Adama Czartoryskiego z jedynaczką Anną Sapieżanką.

Z Puław puszcza się z polecenia i na koszt księcia jeden z pierwszych w Polsce badaczy starożytności w naukową podróż po szerokiej Słowiańszczyźnie, mówimy o Adamie Czarnockim.

Adam Dołęga Czarnocki ur. w r. 1784, szlachcic ziemi

¹⁾ Opis tej podróży drukowany w Wiedniu, r. 1811.

chełmskiej, wychowany u Pijarów w Międzyrzeczu, potem w Lyceum krzemienieckim, odbywa kampanią 1812 r. w piątym pułku piechoty pod Macdonaldem; pojmany w niewolę przez kozaków pod Borysowem, i odesłany do gubernii czernichowskiej, zabiera się tam po raz pierwszy do rozkopywania kurhanów i grodynszcz, do zbierania legend i pieśni gminnych, i wnet przemieniwszy nazwisko zmienia naturę, rzechy można obleka się w innego człowieka, który pod imieniem Zoryana Chodakowskiego, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy światem naukowym polskim a uczonymi rosyjskimi.

Czarnecki jeszcze jako uczeń krzemieniecki zwrócił na siebie uwagę Tadeusza Czackiego i księcia kuratora; zaprzyjaźnił się zwłaszcza z Łukaszem Gołębiowskim, który z polecenia księcia generała odpisywał dla Biblioteki puławskiej część dokumentów historycznych z Tek Naruszewiczowskich i z młodym Lachem Szyrmą, który przenosi się następnie do Puław jako nauczyciel wnuka księcia generała. Przez te stosunki przechował się w korespondencji puławskiej obfity materiał dla mało dotąd znanej biografii głośnego badacza.

Chodakowski, bo pod tém przybraném nazwiskiem występować on odtąd będzie nie tylko jako autor, ale nawet w prywatnych stosunkach, z głębi Rosyi odwołuje się do Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego i przesyła na ręce Staszica plan badań przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny. Gdy nie znany dotąd w nauce jeniec rosyjski żąda funduszków dla podróży naukowych od Białego do Czarnego morza, Prezes Towarzystwa daje odmowną odpowiedź, w której przebija pewna nieufność do studyowania krajów, leżących po za obszarem historycznej Polski.

Z Puław przeciwnie nadchodzi zachęta i obietnica wnet czynem poparta: „Gdy to wszystko dojrzeje — pisze Chodakowski do Gołębiowskiego — i srebrne lub złote wiosło dadzą mi już w rękę dla kierowania się po rzekach słowiańskich, ruszę po ich krainach, a ta wędrówka długo pociągnie, aż nadejdzie ta chwila, w której będę mógł na brzegu Wisły w przysionku Sybilli, uścisnąć pana i do syta z nim pomówić.“

Jakoż, bez zwłoki książę generał przesyła pierwszą pieniężną subwencją w r. 1814, wezwawszy do udziału w niej ordynata Zamoyckiego. Chodakowski powraca z głębi Rosyi na Podole, a ztamąd podejmuje różne wyprawy i wycieczki archeologiczne, wspierany i zasilany stale przez księcia generała. Dopiero w r. 1818 publikacja kilku jego rozpraw zwraca nań uwagę niektórych uczonych. Książę kurator przedstawia uniwersytetowi wileńskiemu pismo Chodakowskiego o starożytnościach słowiańskich, oraz prospekt, jakie z tych badań mogą dla nauki spłynąć pożytki. Chodakowski rozwijał tu już naukową metodę. Do tego, co starzy pisarze, zaczawszy od greków i rzymian, aż do kronikarzy niemieckich, podają o ludach zamieszkujących północny wschód Europy, przykłada on próbierz tego, co dziś na tym przestworze z żywych wysłedzić się da świadectw, a więc z podań ludo-

wych, obrzędów, gusek, ze starych rozkopanych grodzisk, żalników i mogił; porównywając te dwa rodzaje źródeł, piśmienne i żyjące w etnografii krajów, dodaje do tego krytyczny rozbiór mitologii słowiańskiej, oraz badanie o początkach herbów, o ile one są czysto rodzime.

Prospekt ten badań na szeroką skalę przychylniejsze znalazł przyjęcie w gronie profesorów wileńskich, niż w kole uczonych warszawskich. Wsparty na zdaniu uniwersytetu książę kurator, przedstawia ów prospekt w Petersburgu, wysyła tam Chodakowskiego, zaoptatrywszy go w listy polecające do Rumiancowa i ks. Urusowa. Protekcya odnosi skutek: ministerjum oświaty postanawia udzielić nie tylko wszelkiego poparcia dla uczonego polaka, ale przyznaje mu roczną pensyą 2000 rubli i dodatek 1000 rubli na kosztą podróży i na pomocnika. W Petersburgu Chodakowski wchodzi w naukową styczność z Karamzynem, który za jego pośrednictwem sprowadza z Warszawy i Krzemieńca wiele źródeł do swęj historii państwa rosyjskiego, naodwrot udzielając odpisów niektórych nieznanych w Polsce dokumentów do naszych dziejów. Tu spotyka Tadeusza Bułharyna, który pisze powieści rosyjskie na tle dziejów polskich. Za pomocnika i towarzysza podróży nie chce wziąć uczonego filologa Fischera, aby niemcy się nie przechwalali, że w badaniu starożytności słowiańskich nie możemy się obejść bez ich pomocy i bierze młodego rosyjanina, z literaturą polską obeznanego, Kosselowskiego.

Życie tułaczce, które przez cały szereg lat aż do końca prowadzi Chodakowski, oddaje się z niezmiernym zapałem podjętym zadaniom, ma jednak urozmaicenie romantyczne. Na drodze z Połocka do Petersburga zjeżdża się na popasie Zoryan z młodą i urodziwą panną, która właśnie odwoziła swą kuzynkę do instytutu w Smolnym Monastyrze dla sierot szlacheckich: dalsza droga wypadła w jednym kierunku.

„Jechaliśmy razem, w jednym czasie zaprzęgano nam konie po stacyach i razem zatrzymywaliśmy się, kiedy było potrzeba jedzenia lub odetchnienia w przeciągłej drodze. Mieliliśmy czas poznać siebie, przywyknąć. Mnie, puszczającemu się w tę stronę, gdzie trzeba często przepościć się i różne mieć niewygody ztąd jedynie, że nie mam czasu myśleć o sobie, przyszyła myśl proponować tój pani wojaż nierozdzielny, wzajemną pomoc, słowem, wieczną družbę. Uważałem bowiem, że ta pani sposobem niemieckim cuda sprawnia na kuchni, zawsze pod ręką jakąś ma robótkę i w charakterze coś więcej, jak kobieta lękliwa. Tego mi było potrzeba. Nieodstępnie przez dni kilka błagałem ją, użyłem całej wymowy mojej i nakoniec otrzymałem zezwolenie, że Konstancya Fleming będzie Chodakowską. Psków z niedawnego czasu mając kościółek katolicki, uwieńczył nasz sojusz i odtąd droga ponad jeziorem Czudskiem do Petersburga była drogą przyjemności i pokazała, jaką ma być, gdy zapuszczę się w okolice Dżwiny północnej, nad Wołgę, Donem i Dunajem, lub za Karpatami. Przy-

bywszy nad Nowę, padliśmy do nóg dobrej matki, której błogosławieństwo było jedynie potrzebne do zupełnego szczęścia naszego."

W niezwykłych zaiste warunkach zawarte małżeństwo nie wstrzymało na chwilę dalszych naukowych wypraw, tylko odbywanych już we dwoje. Po roku wspólnych tych wędrówek donosi Chodakowski z Nowogrodu do Puław:

"Moja żona, nierozdzielna towarzyska moich podróży, oświadcza dzięki za łaskawą o niej pamięć i obwinia mnie, że nie piszę do Puław. W Ładodze powiła była mi syna; nazwaliśmy go Olesiem, bo protorej nie chciał chrzcić pod imieniem słowiańskiem, i oddawszy go w opiekę Horodniczynie Ankowskiej, która naczepiła się nam ze swoją rzadką wymową i przyjaźnią, utraciliśmy miłe dziecko. Optakaliśmy stratę jego i okropną myłkę naszą; odebrałem napowrót dziecę, żeby je w dni kilka własną ręką pogrzebać. Trudno polakowi rodzić się na cudzej ziemi! mówiłem to w żalu i zagrzebłem drogie dziecę wśród cerkwi starożytnej w zamku Stariej Ładogi."

Obfity plan tych ustawicznych peregrynacji Chodakowskiego po Litwie, w głębi Rosyi, w mniejszej stosunkowo części znany jest w Polsce; większą część swych sprawozdań pisze Chodakowski po rosyjsku i przesyła do Petersburga, do czego był zobowiązany, podróżując na koszt ministerjum oświaty. Mimo tego, wywiera on bardzo silny wpływ na młodszą zwłaszcza generacyą pisarzy naszych. Archeologia, jako umiejętność sięgająca do przedhistorycznej epoki, tam, gdzie kolebka narodów słowiańskich, uważa go słusznie za swego protoplastę, bo od Chodakowskiego i Surowieckiego zaczyna się u nas naukowe w tym kierunku badanie, zwłaszcza gdy pisma Jana Potockiego mało w kraju były znane. Chodakowski oddziaływa pośrednio i na poezyą, bo romantykowi wileńskiemu i ukraińskiemu, szukającym rodzinnych motywów, zbiory jego pieśni gminnych wskazują złotą żyłę poetyczności ludu, z której dotąd nikt nie czerpał. Młodzież pójdzie jego śladem, aby zbierać dalej to pokłosie klechd, pieśni, przysłów i podań, a w piersiach młodych poetów rozżarzy miłość, że tak powiemy, etnograficzną do pewnych dzielnic, zwłaszcza wschodnich. Wpływ ten znać w Krzemieńcu i jego uczniach, znać go w poezyach Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego; oddziała on również i na grono młodych literatów na uniwersytecie lwowskim, którzy ideą słowiańską i pieśnią gminną bronią się od ducha germanizacyi.

Nie był atoli ten kierunek bez niebezpiecznej jednostronności, a nawet skrajności. Chodakowski tak się zakochał w przedhistorycznej Słowiańszczyźnie, że nie rozumie i odpycha ducha historycznego własnego narodu, z taką czcią zbliża się do kamiennych bożków lub świętych drzew, o których przechowała się pogańska legenda, że kapłanom, którzy tu nieśli ewangelią, nie może nigdy przebaczyć, iż niszczyli pogańskie bożyszcza. Słusznie też w rozbiorze pism Chodakowskiego Surowiecki zarzuca mu co najmniej przesadę w tym względzie, twierdząc, że gdyby krzewiciele Chrześcijaństwa nie byli nam

w swych pismach zostawili świadectwa o tém, co zastali, nie bylibyśmy dziś mieli żadnych wiadomości o religii i obyczajach naszych pogańskich praocjów. Chodakowski zdaje się żałować Perkuna, Lelum, Polelum, Marzanny i całego słowiańskiego Olimpu, pała więc nienawiścią do duchowieństwa, a przyjęcie Chrześcijaństwa wydaje mu się być odstępstwem od pierwotnej idei słowiańskiej. Jak w religii ma on wyznaczenie archeologiczne, podobne są jego przekonania, a raczej uprzedzenia społeczne. Stan kmiecy, to prototyp słowiański, gmina najwyższym pojęciem socyologicznym; wszystko inne jest odstępstwem, naleciałością cudzoziemską według jego archeologiczno-słowiańskich pojęć. Gdybyśmy go chcieli chwycić za słowa, posądziłibyśmy go o ateizm i demagogią i dojrzelibyśmy w nim zarodu tego niebezpiecznego kierunku, który im głębiej w pierwotnym Słowiańszczyzny sięga, tém bardziej obojętnie dla rozwoju indywidualności dziejowych, a ciągłość cywilizacyjną, łączącą z całym światem, chce zastąpić braterstwem, plemieniem i niwelacją społeczną. Gdyby był myślicielem i politykiem, byłby niebezpieczny, jak ci wszyscy, którzy, zbyt ukochawszy wspólne kolebki, chcą do nich wtłaczać rozrosłych ludzi tytułem wspólności pierwotnego rodu.

A jednak pan Zoryan był to szlachcic i żołnierz, który zabrawszy się do archeologii, fantazyował sobie czasem, ale w gruncie kochał i wyznawał to wszystko, co go od dzieciństwa otaczało i za co walczył w młodości. To też w Puławach nie chwytało go za słowa; nie sądzimy, aby pani Chodakowska pochodziła z tego samego rodu, co księżna Izabela: ale dość już było, że miała to samo nazwisko, aby okoliczność ta zainteresowała fundatorkę Sybilli. Państwo Chodakowsy należą do szerokiej klienteli puławskiej. Sprawozdania naukowe wzbudzają coraz większe zajęcie księcia generała, a uczony turysta koresponduje już nietylko z Lachem Szyrmą i Łukaszem Gołębiowskim, lecz bezpośrednio z samym księciem.

W listach tych, dotąd nie drukowanych, uwydatni nam się ta charakterystyczna postać.

Książę sprowadza Chodakowskiego w r. 1817 do Puław i poleca mu poszukiwania archeologiczne w Małopolsce i ziemi krakowskiej. Nasz badacz zdaje sprawę z pobytu w Krakowie, nie kryjąc wcale swych uprzedzeń i przesądów. Zbytecznym byłoby tutaj prostować jego spalone poglądy i chorobliwe sądy o rzeczach i ludziach, o historii narodu i Kościele.

„Było chęcią domu Waszój Książęcój Mości, aby wyszukiwania Słowiańszczyzny były rozciągnięte do ziemi małopolskiej; jako polak, równie tego pragnąłem. Opieka Czarotoryskich ziściła te życzenia. Zasilony ich duchem i szczodrocią, trzeci miesiąc obliczam w mojej wędrówce: korzyść jej nie będzie wyrównywać naszym życzeniom i nakładowi W. Ks. Mości. Dwa stany zagubiły starożytną narodowość tego kraju. Smutną jest rzeczą dla rodaka winić swych ziomków. Prawda historyczna przez wszystkie wieki bytu naszego ukazuje, że duchowień-

stwo podległe obcej głowie, cudzą mową i nauką rządzące się, zbyt przeważne, wstrząsało nieraz tronem najlepszych królów naszych i widzialnie usposabiało nas na prowincję papieżką. Szlachta opanowana zupełnie przez duchowieństwo, wyrzekłszy się przez ośm wieków swojej mowy, ciągle przyjmowała obce zwyczaje, gardziła narodowością, bo nie chciała mieć nic wspólnego z pospółstwem i lekko dając się kołysać wszelkim zamarzeniom, nie już statego i odwiecznego dziś nam nie ukazuje. Lud wiejski pod ciężką ręką obu tych stanów nadto skaził się, praca jego nie zapewniona w prawie, igrzyska doroczne konfesyonał za grzech śmiertelny poczytywał, ognie sobótkowe ustały, bo wszelka gałąź jest pańską: wolno mu tylko bawić się w karczmie i kłać za drogo nabytą wesołość. Zginęła słowiańska tradycja między wieśniakami polskimi: ich myśl i pamięć nie zasięga już dalej za ojca. W zbieraniu śpiewów odniosłem pożytku w miarę południowej Rusi, jak i do 10-ciu. Całą zdobyczą moją jest poznanie kolosalnej Łysiej Góry u Ś. Krzyża, której planu na milę w okół bez dozwolenia rzędu mieć nie mogę. Zdjęcie rysunku z olbrzymiego bożyszczu w Chęcianach. Przejrzenie się w okolicy Lelowa. Wymiar z rysunków dwóch mogił pod Krakowem i zbiory rzeczy późniejszych dla JO. Księżnej. Listy do biskupa krakowskiego i do prezydenta przyniosły mi chlubną znajomość i rozmowy przy smacznych obiadach, lecz nic więcej. Biskup przestał być Janem Woroniczem, powaga, tytuły i prawa dawnych biskupów mocno go zniewalają, ich przesady są maszyną, Jezuici powinni sami tylko wychowywać dobrych polaków i przykładową moralność zaszczeniać; naostatek autor Sybilli Puławskiej, Lechiady i kilku pamiętnych kazań politycznych, wzniosł się do napisania historii obrazu ludowego w Częstochowie z wywodem aż do Ś. Łukasza. Zarzycki, przyjemny człowiek, lecz nie wyćwiczony w zasadach historycznych, nie wie nic o krytyce; wierzy w to wszystko, co powaga sześciu wieków przyznała zardzewiałemu Kadłubkowi. U biskupa na filarze historycznym myszy okropnie nacierają na Popiela. Kraków wpośród starych budowli zachowuje wszystkie opinie XVII wieku.

„Historja na krok nie postąpiła i duchowieństwo jeszcze teraz kłóciło Bandtkiego, że miał napisać w rozprawie jednej o Akademii tutejszej, że ta była nie przybytkiem naukowym, lecz zgromadzeniem klasztorńm. Bandtkie wielekroć żałuje, że opuścił Wrocław, skarży się na niedostatek w Krakowie uczonych, nie ma współpracowników, nie ma z kim żyć. Ilekroć wspomni sobie o W. Ks. Mości, zawsze to czyni z wysokim uwielbieniem osoby. Co do mnie, powinienbym jeszcze prędzej Kraków opuścić, niżelim go poznać. Lecz nie uczynię tego. Zbyt mocno upowszechnione bajki o jego początkach; należy dłużej zabawić, aby odkryć, jaki był stan jego w epoce przedchrześcijańskiej. Bo dotąd nie widzę śladu w samym Krakowie, aby w nim była przynajmniej parafia pogańska; jakże bez niej mogła być stolica? Mogiły na Lasocinie i nad Dłubnią, nie dowodzą w tém miejscu stale panujących; podobne i jeszcze większe są: dwie nad Słubną, w Kijow-

skim powiecie, Perepiata i Perepiatycha zwane; Soroka, mogiła niedaleko Werbiecza (Granowa), na Ukrainie; Igora pod Korostenun (Iskornia), w Owruckiem; są podobne nad Wołgą w Moskwie, pod Ładogą, są i w Szlązku, jak zapewnia Bandtkie. Wiem, że jest podobna, z kamieni wzniesiona, pod Lipskiem, w kraju Syrbów, czyli Saksonii dzisiejszj. Jest nakoniec znana mi dobrze Mendoga mogiła w Nowogrodku litewskim. Sypano je dla wodzów znakomitych w miejscach, gdzie którego śmierć spotkała, lecz nie koniecznie pod ich stolicami. Historia zmyślona liczy od Krakusa do Mieczysława niemały poczet panujących. Czemuż według tój liczby ich mogli nie widzimy; dwie tylko są i na miłę roztracone; widzimy, że przypadek wojny tём rządził. Dowiedziałem się, że w Olkuszu są dwa bożyszcza z marmuru wyrobione i niedaleko ztąd, w Rokitnie, wykopują się liczne żalki, albo popielnice; pojedę ztąd, aby zdjąć rysunki z pierwszych i otrzymać z drugich.

Kraków, 4 listopada 1817.

Zoryan Chodakowski."

Kraków tak mało słowiański, tak bardzo zachodni i katolicki, wzbudza wszystkie uprzedzenia i niechęci, a Chodakowski nie przebacza nawet Woroniczowi, z jednym tylko niemcem protestantem Bandtkiem rozumie się ten słowianofil.

Wnet powraca do ulubionych wycieczek wschodnich. W Płocku spotyka rektora OO. Jezuitów, ks. Brzozowskiego, który pyta go, czy nie zwiedził kaplicy św. Józefata w Witebsku. „Widziałem potrzebę objaśnić go, że nie jestem pielgrzymem, zwiedzającym miejsca święte, ale podróżnym, którego epoka bałwochwalstwa zajmuje. Długośmy rozmawiali, wzajemnie chcąc nawrócić siebie, ale bezskutecznie. Zapraszał mnie jeszcze dla widzenia gabinetów swoich, lecz ja wolałem pójść do magistratu, kanonika unickiego na Zadzwinię i innych osób, co mnie uczyły rzeczy wcale nie klasztornych.”

Inny list Chodakowskiego do księcia generała, datowany z Homla pod Bielicą 1819 r.—mieści pewien rodzaj usprawiedliwienia wobec zarzutów, jakie go spotkały w Wilnie i w Warszawie, lubo Towarzystwo przyjaciół nauk zaliczyło go już naówczas w grono swoich członków.

JO. i Miłościwy Księżę!

Przed rokiem miałem zaszczyt pisać do W. Ks. Mości z kraju, kędy przodkowie jego domu kilka wieków zliczyli i dla mnie było przyjemnością zwiedzić ich gniazda starodawne w Czartorysku, Kłewanu i Żukowie. Dziś odzywam się z Białej Rusi z domu pana Rumiancowa, który był w posiadaniu przedtém stryja W. Ks. Mości, W. Kanclerza Litt. i rycyło spodziewam się być w Pleskowie, który w. XV cieszył się swobodą i dobremi rządami jednego z przodków Księcia, jak o tём pisze Karamzin w VI tomie Ruskiej historii. Tak w moich podróżach często przypominę się imię szanowne Czartoryskich, i w do-

wód tego posyłam te myśli do Sieniawy. Ja kocham się w ubiegłych wiekach, mam wielkie dla nich uszanowanie, a błogi wiek Księcia jeszcze bardziej wznawia pamięć ich sędziwości. Często patrzę na zbliżone do Zachodu słońce, które mi wskazuje osobę i mieszkanie W. Ks. Mości, a choć mię przedświt uniósł daleko i w chłodniejszą strefę, ja jednak w myślach o Sieniawie znajduję miły jeszcze powiew tego ciepła. Niektórzy z moich ziomków przedtem łaskawych na mnie umilkli od téj pory, kiedy zaszedł na drugą stronę Dniepru. Dawnom mówił o potrzebie poznania téj strony, plan mój, czyli sam przedmiot słowiański tego wymagał i w czasie dowiodę, że za Donem i Wołgą można być lepszym polakiem jak w Warszawie słowianinem. Uniwersytet Wileński, odmawiając dla mnie pomocy, chciał dowieść, że on jest w ziemi herulów, obojętnych ku wszystkim. Mnie się to niezdawało i prosiłem Towarzystwa warszawskiego o sąd między nami. Wdzięczny jemu jestem za wcielenie mnie w poczet swoich korespondentów, lecz opinia w moim przedmiocie ukazała, że nie jest tak łatwo być słowianinem, i że nie zająwszy się sposobem podobnym mojemu, można sądzić nietrafnie. Zaprzeczyli mi niektóre szczegóły dla tego jedynie, że poczet wyrażonych przezemnie autorów, nie o nich nie wspomina, i zalecają mi temż autorami ograniczyć się, jakby nie do nich dodać już nie można. Ta ufność w starych do nas pisarzach, ta mówię, ostateczność zadziwia mię. Podług tego, na co grzebać się w zasypach Herkulanum, w Illiryi, w Egipcie i po drugich miejscach, wszak one zawierają się w opisach jeszcze dokładniejszych niż nasze. To zaprzysięgłe niewychodzenie nigdy z bibliotek w Warszawie, dalej za nimi nie pokaże. Przekonałem się tylko, że o całości i rodowitych cechach Słowiańszczyzny nie ma co rozprawić w Warszawie, bo ta jest częsteczką wielkiego ogółu i późną znakomością, nie łączy się z początkowem źródłem wszystkiego u nas. Z tych względów, nie mając co przedsięwziąć u młodych Lachów, obróciłem się na północ ku czcicielom Rusey Kosy. Moje pytania po polsku są w Charkowie, po rusku w Pleskowie, Kazaniu, Nowogrodzie siewierskim i licznych miejscach, a cały plan z kilku mapami u ministra oświecenia księcia Golicyna, do którego pisząc, zwróciłem uwagę na Karamzinie, gdzie ten Plutarch Newski, nie mogąc długo utrzymywać się w poprzedniczym okresie, chyba strasznie i mnie zawadza. Jeśli drugiej nie odniosę korzyści nad Newą, przynajmniej pohamuję historyografa i zrobię go względniejszym ku polakom, których on napastować zaczyna po nieprzyjacielsku od czasów Kazimierza Jagiellończyka, i gdyby moi spółbracia słyszeli, jak po ludzku wszędzie na Rusi występuję, mniej może wątpiliby o mnie. Słowem gotuję zmianę w dotychczasowych opisaniach naszych, nie mogę mieć spokojnych i dorazu przychylnych słuchaczów i tu nawet. Lecz czas jednych wytrzeźwi, drugich natchnie do pomocy mojej i mnie ubogaci w dowody i sposoby znakomitsze.

Panu Szyrmie dziękuję najczuliej za jego pamięć o mnie i opis

starożytnego Grodziska na pograniczu(?) Prus wschodnich koło Kalisza, życzyłbym jeszcze wiedzieć, jak krajowcy zowią ten usep ziemny i jakiej wsi jest on najbliższym, żebym podług kierunku słońca mógł ten punkt na mapie oznaczyć.

Polecam się łaskawym względom W. Ks. Mości i mocno życzę, aby promienie zachodzącego słońca Jego jeszcze przyświecały moim spółziomkom i mnie samemu, który pragnę z najdalszych krańców mojej wędrówki, jeszcze przez wiele lat dowodzić Sieniawie w hołdzie téj czci wysokości i wdzięczności, z którą zawsze jest

Waszój Książęcej Mości Dobrodzieja najuniżeńszym sługą

Zoryan Chodakowski.

Homel pod miastem Bielicą 19 sierpnia 1819 r.

Zoryan Chodakowski w sile wieku, bo licząc 41 lat umiera wśród jednej ze swych podróży naukowych w Twerskiej gubernii. Dzieła jego nigdy w całości nie zostały ogłoszone drukiem. Zbiór tylko pieśni i legend w dwu tomach i rozprawa o Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem ukazała się po polsku, część rękopismów znajduje się w zbiorach Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, większą atoli połowę wdowa przestała do Moskwy na ręce p. Polewoja.

Jeśli podziwiać wypada wielką wyrozumiałość księcia generała w stosunkach z Chodakowskim, że przez wzgląd na jego zdolność badawczą i zasługi naukowe daleko posuwał tolerancją dla opinii tak krańcowych, nie tylko pod względem religijnym, ale i społecznym, to znów zupełna zgodność zasad i poglądów łączyła naszego mecenasa z mężem zbliżonym doń wiekiem a poważnego w stanowisku, który także jeden z pierwszych doń zajmuje się naukowo archeologią i lingwistyką.

Mężem tym był ksiądz Ksawery Michał Bohusz, (ur. 1746 † 1823) były wizytator szkół na Litwie, prałat i kanonik kapituły wileńskiej, a rodzony brat podkanclerzego litewskiego i posła na wielki sejm. Uczony ksiądz Bohusz spełniał posługi publiczne i różne też spadały na niego w długim życiu dostojęstwa. Stanisław August odznacza go orderem ś. Stanisława, uniwersytet wileński mianuje go swym członkiem honorowym, a cesarz Paweł kuratorem szkół. Podeszły już w leciech, usuwa się z kapituły wileńskiej i przenosi się do Warszawy, gdzie należy do pierwszego grona założycieli Towarzystwa przyjaciół nauk i Towarzystwa gospodarskiego, a nawet pomimo sędziwego wieku, pełni obowiązki sędziego pokoju miasta Warszawy. Prałat ten wielkiej powagi i zacności charakteru, jest przedewszystkiem mężem naukowym. Litwin z krwi i kości, zajmuje się pierwszy z pośród uczonych naszych badaniem języka litewskiego, tak w samym źródłosłowie odrębnego, i pisze obszerną rozprawę „o początkach narodu i języka litewskiego.” (Wilno 1806 r. str. 207). Jak władał Bohusz językiem ludu, dowodzi tłumaczenie z Vergila Ziemianstwa na

język litewski, a praca ta pozostała w rękopiśmie wraz z wielu piśmami autora, które ukrywają do dziś dnia ważne materiały do konfederacji barskiej, trzy tomy. Akta kapituły wileńskiej i opis podróży zagranicę. Drukiem ogłosił ksiądz Bohusz piękną rozprawę, chrześcijańskim natchnioną duchem w obronie ubogich do żebractwa przymuszonych, aby ich nie zamykano i projekta budowli z niepalonej cegły, jako materiału trwałego a taniego na mieszkanie dla włościan. Od badania języka litewskiego zwraca się ksiądz prałat do pisowni polskiej i rozprawia się z Onufrem Kopczyńskim, którego uważano podówczas za niebezpiecznego nowatora. Od ruskich latopisów i najstarszych aktów litewskich, przechodzi do polskiego Kadłubka, broniąc go od krytycznego rozbioru Szelera, a wyprzedza tą pracą rozprawę Lelewela o Mateuszu herbu Cholewa.

Pisanie w różnych materyach stawało się koniecznością w czasach, kiedy piszących był tak nieliczny zastęp. Jeśli opracowanie przedmiotu nie zawsze na tém wypadało odpowiednio, to z téj wszechstronności zyskiwał umysł ludzi ówczesnych, bo uczoność niezamknięta w szufladzie jednej specjalności, dawała ogólniejsze poglądy. O ile ksiądz Bohusz wyprzedzał w poszukiwaniach archeologicznych Chodakowskiego i Surowieckiego, dowodzi list, pisany do księcia generała z Warszawy w r. 1808. Była to odpowiedź na pochlebną ocenę świeżo ogłoszonej drukiem książki Bohusza o języku litewskim, i na gorące słowa zachęty, do dalszych studyów w tym przedmiocie, jakie autorowi przesał książę generał.

„Widzę z zapału W. Ks. Mości, że wre w nim krew litewska — pisze ks. Bohusz — że czujesz się prawdziwie ksiązęciem litewskim. Ależ, mój książe, zgubiłeś mapę Litwy, w której już dawno byłeś. Ja przed kilku laty, będąc wizytatorem szkół w trzech guberniach, przejeżdżając zatem wszere i wzdłuż całą Litwę, już wtenczas ciekawie wszędzie wybadywałem, czy gdzie jakiego nie znajdę monumentu, jakiego rękopisu, jakiego nakoniec dokumentu litewskiego? Zupelną wszędzie znalazłem niewiadomość, obojętność, jakąś umysłową odrętwiałość i przesąd, że nie warto jest trudzić się rzeczą, która się na nic nie przyda. Kiedy zacząłem pisać moją rozprawę, napisałem do wszystkich w Litwie, od których spodziewałem się otrzymać jakąkolwiek informacją, a pisałem nie do uniwersytetu, nie do kapituł, bo wiedziałem, że się ztamtąd niczego nie nauczę, ale do tych, co uchodzili za umiejących najlepiej po litewsku, do kilku plebanów, do seniora w Kiejdanach, do mieszczan w Kownie, do Pijarów w Wiłkomierzu, do Bernardynów w Leleczach i tam dalej. Czy uwierzysz temu książe? żaden z nich nawet nieodpowiedział. Jeden Lachnicki marszałek, mój siostrzan, przysłał mi książeczkę litewską przez jednego plebana niedawno wydaną, a zatem makaronizmów polskich pełniuteńką o nauce chrześcijańskiej. Tak wszelkiej pozbawiony pomocy, postarałem się i w Królewcu z trudnością dostałem gramatykę i słownik litewski. Przez cały kwartał wpierrw uczyłem się języka litewskiego, nim do pisania rozprawy przystąpiłem. Zwalono w Wil-

nie zamek i pałac Jagiełłów, czy go wprzód przynajmniej przerysowano? Na jeziorze trockiém jest wyspa, na której było mieszkanie kilku ksiąząt litewskich. Byłże na niej literat który? Może nawet nie wiedzą, że tam książęta mieszkali? Znalazł nieboszczyk Kossakowski, wojewoda w Wojtkuszkach, czysty brans srebra w laseczki stopionego z napisami do kogo należały; darował ich kilka uniwersytetowi. Zrazu wielka ciekawość, co te laseczki znaczą? Teraz w gabinecie spokojnie leżą i nikt się nie pyta. Prałatem katedry wileńskiej będąc, chciałem przez ciekawość widzieć sklep, gdzie zwłoki są Witolda i Aleksandra. Nikt mi go pokazać nie umiał. Zakrystyan nawet nie wie, że tam są pochowani. Przecież to są fundatorowie katedry! Za panowania Stanisława Augusta miano w Nowogródku wykopać trumnę Mendoga, koronę, berło i pałasz. Wizytatorem będąc, znalazłem w Nowogródku tylko podanie, że spżizową trumnę na dzwon do parafii przelano, resztę miała szlachta między siebie rozobrać i potracić. Należałoby wpiერ oświecić ziomków, że poprzednicy byli to bitni ludzie, ale niezupełnie barbarzyńscy, że się naszego początku wstydzić nie mamy potrzeby, że język litewski nie był chłopskim, ale zupełnie polerowanym i tego moją rozprawą dowiodłem. Może ona teraz zachęci literatów litewskich do szukania pamiątek.“

Smutne to, ale pouczające szczegóły o ignorancyi i obojętności, jaka zalegała podówczas Litwę. Niebawem atoli za sprawą obu Czar-toryskich, ojca i syna, obudzi się tam ruch naukowy uniwersytetu, a z niego zakwitnie i zabyłnie literatura i poezya na całą Polskę. To, do czego Bohusz niezdolał współczesnych zachęcić, to znajdzie później pracowników i badaczy jak Teodor Korbut, Lelewel, Chodźkowie, Kraszewski, Eustachy Tyszkiewicz, Malinowski i Kirkor. Z korespondencyi powyższych widzimy tylko zwłaszcza w rzeczach badania starożytności i języków, że pobudka wychodziła z Puław od starego księcia generała. Nietylko, że z współczesnymi uczonymi utrzymuje rozciągłą zamianę myśli, planów, wskazówek, nietylko wśród młodzieży szuka przyszłych pracowników, ale zwraca się on i do klasztorów, utyskując, że kiedy w dawnych wiekach ztamtąd wychodziła nauka, dziś zalegała tam obojętność, ignorancya i podszuczwanie.

Za pośrednictwem swego ajenta literackiego, jakim był w Wilnie księgarz Zawadzki, odnajduje książę generał u Dominikanów wileńskich filologa ks. Sebastjana Żukowskiego. Skłania Żukowskiego, aby na dwa lata podjął podróz do Krymu na koszt księcia dla badań archeologicznych, filologicznych i etnograficznych starożytniej Tauryki. Żukowski przyjmuje proponowane przez księcia warunki i wyjeżdża do Krymu w roku 1809, zaopatrzony w listy polecające do rządców księcia na Ukrainie i do gubernatora Odessy. Czy przywiózł z tój wyprawy jakąś zdobycz i gdzie plan tych studyów Żukowskiego—niewiadomo.

Niemniejszą, jak w obec Litwy, objawia książę gorliwość i ciekawość naukową w rzeczach dotyczących Rusi. Na samój szlachecko-łacińskiej przeszłości nietyle cięży w obec Rusi grzech wielki, ile wiel-

ki, polityczny, społeczny, cywilizacyjny i religijny błąd lekceważenia i ignorowania wszystkiego, co się nie wcieliło w tę społeczność szlachty, a obok niej lub pod nią bytowało. W tém leży tajemnica, dla czego siła atrakcyjna i asymilacyjna zatrzymała się na téj granicy, do kąd sięgał szlachecki pargamin i obrządek łaćwiński. W epoce budzących się dążeń do wielkich reform, rozprawiano i pisano o wszystkim, o zbiorowych nobilitacjach, o przypuszczeniu miast do równych ze stanem szlacheckim przywilejów, o równouprawnieniu protestantów i żydów, o tolerancji dla dysunitów; najmniej stosunkowo zajmują się ci reformatorowie stanem ludu na Rusi. Prawda, że sprawę dysunitów przypomniaty świeże krwawe łuny rzezi hajdamackiej, że była tu najpotężniejsza podówczas protekcyja—jaką sprawa innowierców, protestantów i żydów, znajdowała gorliwego we dworze berlińskim społecznika. O polepszenie bytu biskupów i kleru rusińskiego, jeden tylko nuncyusz papieski Litta, czynił przedstawienia, ale pod koniec XVIII wieku na głos Rzymu mało kto zwracał uwagę. Episkopat unicki przywykł już do tego upośledzenia, które mu odmawiało przystępu do senatu, a kler do tego zaniedbania, że okrom kilku bazylińskich konwiktów na całym obszarze Rzpltej nie było jednego seminarjum unickiego, a młodzież ruska, chcąc się oddać kapłańskiemu zawodowi, szła po naukę do prawosławnego Kijowa lub Jas. Nie chcemy twierdzić, aby książę generał ziem podolskich wyróżniał się pod tym względem od współczesnych, aby ogarniał całą religijną, polityczną i społeczną doniosłość téj kwestyi, ale co pojmował wybornie, to naukowe znaczenie i potrzebę poznania zabytków języka ruskiego i jego starych zabytków.

Lingwistyka i archeologia, jak w Wiedniu za pośrednictwem Lindego zbliżyła go do kół słowiańskich, tak znów teraz skłaniała go do poszukiwań starych ruskich łapisów, do zbierania ksiąg cerkiewnych i do badania ludowego narzecza.

Wiemy już, jakie z polecenia księcia Chodakowski czyni obfite zbiory w wschodnich prowincjach kraju. Nie poprzestaje na tém puławski mecenas, ale niezmierną znajduje on trudność w wyszukiwaniu kogoś do odczytywania starych ruskich dokumentów. Szuka go w Wilnie przez Zawadzkiego i Żytomirzu przez Czackiego, we Lwowie za pośrednictwem Józefa Dzieszковского, mecenasa. Ciekawe pod tym względem szczegóły, znajdziemy w dalszej korespondencji. Z Biblioteki we Lwowie wydobywa kilka starych ruskich druków i odpisy aktów z przywilejami, ale daremnie szuka gramatyki i słownika. Z duchowieństwem unickim ma książę bardzo dobre zachowanie, a był we Lwowie znakomity podówczas arcybiskup u Ś. Jura, Piotr Bielański, który żyje w przyjaźni z kilkoma rodzinami panów polskich. Książę nie czyni żadnej różnicy w stosunkach towarzyskich z episkopatem i klerem obu obrządków. Równą hojność okazuje dla klasztorów łaćwińskich, co dla monasterów Bazyljanów i Bazyljanek, jak świadczą liczne podziękowania i gratulacye przełożonych klasztor-

nych. Ludzkością tą w obejściu i poszanowaniem sukni kapłańskiej jedna sobie tak gorącą sympatyą w duchowieństwie ruskiem, że na pogrzeb księcia zjeżdża do Sieniawy około stu plebanów unickich — a kondukt prowadzi będzie biskup unicki z Przemyśla. Ów pociąg do studyów oryentalnych, do lingwistyki i archeologii, który przeważał w wszechstronnem zamiłowaniu nauk, zwraca umysł księcia generała do zbadania tego najbliższego nas Wschodu. Sięga on i dalej, bo wchodzi w stosunki ze szczątkami unii w państwie ottomańskim. Brak nam danych do wyjaśnienia tego stosunku, ale napotykamy w zbiorze korespondencji księcia generała listy włoskie, pełne błogosławieństw i dziękczynień za opiekę, dobrodziejstwa i hojne dary, a noszące podpis Metropolity ormiańskiego w Konstantynopolu.

O WŁASNEJ SILE,

KOMEDIA W TRZECH AKTACH WIERSZEM,

ORYGINALNIE NAPISANA *).

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

AKT III.

Scena przedstawia pokój bardzo skromnie, ale z gustem umeblowany, na stole książki i dzienniki, drzwi w głębi i po bokach.

Scena I.

DRZYMSCY i dwie dziewczyny z warsztatu, jedna z trzewikami, druga z książką w rękach.

DRZYMSKI (*stoi na froncie sceny i mówi do dziewczyn, oglądając podaną mu książkę*).

Ależ mówię waćpannie, że to dyabło krzywo,
Trza poprawić... Antosia bierze się leniwo
Do pracy. Panna Wanda będzie nie kontenta.

(*Oglądając trzewiki*).

I to liche, pamdzieju, cierpliwości święta
Dopomóż!... Panny Maryi błąd ten nie ucieczy.
Poprawić!...

(*Dziewczyny wychodzą, zostawiając na stole, przez rozrządzenie, jeden trzewik.—
Drzymuski mówi do żony, patrząc na zegarek*).

Czas pomyśleć o łaknącej rzeszy,
Co z ochotą pracuje już od szóstej z rana.

(*po chwili stając przed żoną*).

Cóż u dyabła, pamdzieju, znówes zapłakana!

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b.

Powiedz-że mi nareszcie, kobieto, co tobie...
Gdzie kres twojej, pamdziej, desperacyi?..

DRZYMSKA (*siedząc zasepiona w fotelu*).

W grobie!

DRZYMSKI.

Otóż masz... jedno w kółko... śliczna mi pociecha!

DRZYMSKA.

Lepiej umrzeć, gdy życie już się nie uśmiecha...

DRZYMSKI.

A to rozpacz! i czegoż brak ci jest, kobieto?..
Nie jesteś zdrową, dobrze odzianą i sytą?..
Toż cię o nic, pamdziej, głowa nie zaboli.

DRZYMSKA (*placząc*).

O! w takich żyć warunkach, to konać powoli!

DRZYMSKI (*żywiój*).

I o cóż tobie idzie?..

DRZYMSKA (*ze łzami*).

Ha! upaść tak nisko!..

Żyć z zarobku, z rzemiosła, na wstyd, pośmiewisko...

DRZYMSKI (*coraz żywiój*).

Szlachetna praca wstydem?. Boże! odpuść winy!
Więc lepiej było chyba żyć nam z żebraniny,
Dławić się chlebem łaski, zaprawnym goryczą?
A toć niechże się słowa twe z rozsądkiem liczą.

DRZYMSKA.

To nad siły!.. krew w żyłach nie łatwo się zmienia!
Mogę znieść bez bólu te upokorzenia,
Którymi tak nas darzy dzieci naszych praca.
Kto nas szukał przed laty, dzisiaj się odwraca,
Prawie wszyscy znajomi boczają się i stronią,
Nawet moja rodzina...

DRZYMSKI (*silnie*).

A więc nie dbaj o nią.

Dla bezmyślnych, pamdziej, miej litość lub wzdargę!
Spójrz na mnie!.. miałem kiedy oblicze tak harde,

Choć pot zlewa je codzien źródłiskiem obfitém.
 Może chełpić się pracą, kto był pasorzytem!
 Dzisiaj szczęściu naszemu nic nie stawia tamy,
 Bo upadłszy, ratunek sobie zawdzięczamy.
 To też ja, miał się wstydić, co każdą niedzielę,
 Bez względu, czy tam dawni moi przyjaciele,
 Patrząc na mnie z podełba, krzywią się lub śmieją,
 Rżnę przez Saski, pamdzieju, środkową aleją.
 Niech się motłoch urąga mój szlachetnej dumie!
 Wziąć majątek po przodkach byle truteń umieć.
 Ale kto wśród dostatków spędziwszy pół wieka,
 Wszystko stracił, krom jednej godności człowieka,
 I w upadku, nie plamiąc czci ani na chwilę,
 Umiał dźwignąć się z nędzy sam, o w ł a s n ę j s i l e,
 Ten może światu jasne pokazywać czoło.

DRZYMSKA.

Szczęśliw, kto na niedzielę tak patrzy wesoło.

DRZYMSKI.

Kto spełnia obowiązek...

DRZYMSKA (*plącząc*).

Do szczęścia daleko!

DRZYMSKI.

Hamuj łzy, co ze źródła próżności twój cieką,
 Żeby cię Bóg nie skarał. (*po chwili*): Nieszczęściem jedy-
 [ném
 Dla nas—Alfred! Tak... płakać możemy... nad synem...
 To jest źródło udręczeń... i to mnie przestrasza,
 Torturą jest nam dzisiaj pobłażliwość nasza.
 A przekleństwem zbyt małe o dzieci staranie!
 Stało się: dość już o tém. (*patrząc na zegarek*): Kiedyż się
 [dostanie
 Uczta, pamdzieju, dziatwie piekielnie zgłodniałój?

DRZYMSKA.

Nie długo.

DRZYMSKI (*wypogadzając się*).

A i mnie też apetyt nie mały
 Wygwizduje po kiszka—toć to nie są żarty!
 Człowiek z betów, pamdzieiu, podniósł się o czwartój;
 Spać nie mogę, gdy wiele roboty zalega.
 Zawsze lubię na czysto... od brzegu do brzegu!

Na szczęście o zupełne o t i u m coraz trudniej.
 Ledwie z jednej roboty warsztat się wyludni,
 Jest druga, trzecia, czwarta, czasami dziesiąta.
 Człtek, pamdziej, jak mucha w ukropie się krząta,
 Byle trochę oszczędzić dwie młode majstrowe.
 A u was zamówienia już wszystkie gotowe?
 Przed świętami gwałt wielki.

DRZYMSKA.

Wszystko będzie w porę,
 Choć Józia i Małgosia nie przyszyły dziś...

DRZYMSKI.

Chore?

DRZYMSKA.

I bardzo, bo tyfusu podobno dostały,
 Dzieci nasze, przysmaczków wzięwszy zapas cały,
 Pobiegły je odwiedzić.

DRZYMSKI (*wzruszony*).

Anielskie to dzieci!

DZIEWCZYNA Z WARSZTATU (*wbiegając*).

Już jest obiad na stole.

DRZYMSKI (*wychodząc*).

To czas hyżo lecił

DRZYMSKA (*do Dziewczyny*).

Któraż z was zapomniała na stole trzewika?
 Tu nie warsztat—zabierz to (*wychodzi*).

Scena 2.

PASTERNAKCI. — DYDAK.

PASTERNAKCI (*wchodzi z prawej*).

Panienko! (*Dziewczyna wybiega*) to zmyka!..
 Pustki w domu!... (*Idzie naprzód w przekonaniu, że syn za nim*
postępuje). No, smyku, pomnij moje słowa,

Bądź roztropany. (*ogląda się*).

Nie ma go? gdzież ta ośla głowa?!

(*Biegnie ku drzwiom i otworzywszy je woła półgłosem*).

Pójdź mi zaraz w te pędy, bo ci kark nadkręcę.

DYDAK (za sceną).

Niech mi tata da spokój.

PASTERNAKI (zniecierpliwiony).

Wezmę cię na ręce!

Poczekaj, (wybiega i prowadzi przed sobą skrzywionego Dydaka).

To ty chcesz mnie wystrychnąć na dudka!

DYDAK (wyrwawszy się).

Oczywiście!...

PASTERNAKI.

Milcz trutniu, ze mną sprawa krótka.

Musisz się z nią ożenić!

DYDAK (z rozpaczą).

Zjem garniec szaleju,

Napiję się z gąsiora kantaryd oleju,

A potem wron na polu ułożę ze dwieście,

Ich oczy jak pigułki będę łykał w cieście,

A w końcu, oczywiście, w studni się utopię.

PASTERNAKI.

Ani mrumru, w te pędy! Oj drabie ty, chłopie,
Ja ci tutaj, nicponiu, sprawię kantarydy!...

DYDAK.

Tata mnie tak morduje jak Chrystusa żydy.

PASTERNAKI.

Dam ja ci tu, w te pędy, szalęj czy tam wrony.

DYDAK.

Co tata chce odemnie?

PASTERNAKI.

To łąb zatracony!

Słuchajże, procesując się z Drzymskim oddawna,
Przegrałem...

DYDAK (śmiejąc się głupowato).

Oczywiście... to mi rzecz zabawna.

I jabym tak potrafił!

O WŁASNEJ SIŁE.

PASTERNAKI.

Dwakroć sto tysięcy
Trzeba oddać tej pannie...

DYDAK.

Niech sobie zabiera
Niby to, oczywiście, tata nie ma więcój!

PASTERNAKI.

Czy kto widział, w te pędy, takiego frajera?
Gdzieżeś ty rozum podział, głupi poganinie?
Majątek ludziom oddasz, żeby pasać świnię?
Jeśli z nią się ożenisz, jak ci przykazano,
Te krocie, jako posag, przy nas się zostaną.

DYDAK.

Ja się tam kobiet wstydzę, ja nie chcę mieć żony.

PASTERNAKI.

A Wikta? kto jęj kupił kaftanik czerwony?
Mów mi zaraz, w te pędy?

DYDAK.

Historya nierówna.
Oczywiście, Wiktusia nie żadna szewcówna.

PASTERNAKI.

Gorzój jeszcze, hultaju, bo panna służąca.

DYDAK (*z zachwytem*).

Kto tam pozna!... jak księżna, taka czarująca.

PASTERNAKI.

Otóż ja ci, w te pędy, mówię tu wyraźnie,
Że jeśli się z tą panną nie ożenisz, błażnie,
Wikta precz... wygnam zaraz... niech idzie do czarta.

DYDAK (*przestraszony*).

Oczywiście, ach Jezu, ona więcój warta
Niżli wszystkie szewcówny!...

PASTERNAKI.

Tak? nie? bez gawędy!

DYDAK (*z rezygnacją*).

A no tak, oczywiście...

PASTERNAKI.

Więc słuchaj, w te pędy!

Jak się panna Maryanna w tej izbie pokaże,

Kwasy precz—ludzi straszą zasepione twarze.

I ot w takich emablach (*pokazuje komicznie podrygując*).

Jak właśnie przystoi

Dobréj szlachcie, w te pędy skłonisz się dziewoi.

DYDAK (*ponuro*).

Oczywiście!...

PASTERNAKI.

A potém, gdy będziecie sami,

Zaczniesz wzdychać siarczyście, przewracać oczami,

I powiesz: ja cię kocham, kocham Maryanno!...

DYDAK.

Ja tam nie chcę jój tykać!

PASTERNAKI.

Potém powiesz: panno!

Pragnę z tobą, w te pędy, złączyć się przez księdza.

DYDAK.

Złączyć się, oczywiście, może jaka jędza,

Sekutnica, straszydło...

PASTERNAKI.

Potém cmokniesz w rączkę.

DYDAK (*oburzony*).

Co znowu! oczywiście tata ma gorączkę.

Któż widział, żeby szlachcie całował szewcównę?

Oho! niedoczekanie!

PASTERNAKI.

Gdy skończysz rozmowę,

Ja wejdę z panem Drzymyskim... zrobim zaręczyny

I do domu w te pędy...

DYDAK (*z radością*).

Do Wikci jedynéj.

To mi raj, oczywiście...

PASTERNAKI.

Ciszej... ktoś przybywa.

(Marylka wchodzi z miarką w rękach).

Scena 3.

Ciż i MARYLKA.

*(Chwila milczenia, w czasie której Marylka przygląda się z zajęciem gościom komicznie wyglądającym, a Pasternacki daje znaki synowi, żeby się miał na baczności).*PASTERNAKI *(zbliżając się w podskokach ku Marylce, ciągnie za sobą opierającego się syna).*

Czy to panna Maryanna?

MARYLKA *(z uśmiechem).*

Tak!

PASTERNAKI.

Chwila szczęśliwa!

Mam honor się przedstawić... szlachcic o krwi laskiej,
Obywatel z pradziada... Szymon Pasternacki...*(Kłania się przesadnie).*MARYLKA *(wstrzymując się od śmiechu).*

A! słyszałam o panu!...

DYDAK *(n. s.—przyjrawszy się Marylce).*

Ho! nie straszna taka.

PASTERNAKI *(dając synowi znak żeby wyszedł naprzód).*W nim widzi pani syna mojego Dydaka,
Który do spadku po mnie jest dzieckiem jedynym.*(n. s. trącąc syna).*

Mówże co!

DYDAK *(gapiowato).*

Oczywiście... jestem taty synem.

MARYLKA.

Czy tu panów do ojca interes sprowadza?

DYDAK *(n. s. śmiejąc się głupowato).*

Myśli, że po trzewiki.

PASTERNAKI.

Nie! przyjaźni władza!
Czy pan Drzymski jest w domu?

MARYLKA (*zabierając się do wyjścia*).

Zaraz się tu zjawi.

PASTERNAKI (*powstrzymując ją*).

Przepraszam, Dyduś panią w te pędy zabawi,
Ja zaś sam, jeśli można, do ojca pośpieszę.

MARYLKA.

I owszem...

(*Pasternacki wychodzi z lewej, dając znaki synowi żeby się dobrze sprawiał*).

Scena 4.

MARYLKA i DYDAK.

DYDAK (*n. s.*).

Tata drapnął... o ja się powieszę.

MARYLKA.

Wszak panowie z podróży? (*Siada wskazując krzesło*) proszę
[spocząć chwilę.

DYDAK (*siadając bojaźliwie na krawędzi krzesła*).

Oczywiście... sześć godzin jazdy... cztery mile...
Kawał drogi... kasztanek spocił się niezdara
(*Wzdycha gwałtownie, zwracając oczami*).

MARYLKA.

Panowie jednym koniem?...

DYDAK.

Dwoma?... tęga para.
Bułany swego chowu, na świętego Jana
Skończy równe pięć latek (*wzdycha j. w.*)

MARYLKA.

A kasztan?...

DYDAK.

Kasztana

Kupiliśmy w Łowiczu przed dziesięciu laty.

MARYLKA.

Nie młody!...

DYDAK.

Oczywiście... stary i nosaty.

MARYLKA.

Cóż tu panów sprowadza?...

DYDAK.

Et! mówić nie warto!...

MARYLKA.

Jednakże...

DYDAK.

Wojnę z ojcem wieść muszę zażartą.

MARYLKA.

O cóż?...

DYDAK (*krzywiąc się*).

Chce mnie ożenić (*wzdycha*).

MARYLKA.

Czy to pana straszy?...

DYDAK.

Oczywiście, kobiéta zjadłaby mnie w kaszy.
Człowiek taki nieśmiały.

MARYLKA.

Przecież pan mężczyzna.

DYDAK.

Tak... chyba... oczywiście... każdy mi to przyzna...
Ale strach!..

MARYLKA.

Trzeba dobrój poszukać dziewczyny.

DYDAK (*n. s. z rozpaczą*).

Czy to czas?... Ratuj Panie mój w Trójcy jedyny.

MARYLKA.

Trza się starać, by wielki posag dostać za nią.

DYDAK (*robiąc komiczny wysilek*).

Oczywiście... dla tego mam się żenić z panią...

MARYLKA.

Co znowu?...

DYDAK (*przypominając sobie słowa ojca*).

Ja cię kocham, kocham Maryanno!...

MARYLKA (*oburzona*).

Jak pan śmiesz w taki sposób mówić do mnie!...

DYDAK.

Panno,

Pragnę z tobą, w te pędy, złączyć się przez księdza.

Cóż mam robić, gdy tata Wiktusię wypędza,

Jeżeli mnie pozbawią tej dziewczyny grackiej,

Oczywiście zmarnieje Dydak Pasternacki.

MARYLKA (*zrozumiałwszy sytuację, zapomniła o gniewie i mówi z uśmiechem*):

Nie trwóż się pan, choć jesteś partją pożądaną
Zwolnię cię od przymusu, którym go związano:
Ukochanej Wiktusi nie chcąc wchodzić w drogę,
Powiem ojcu, że pana zaślubić nie mogę.

DYDAK (*uszcześliwiony*).

Oczywiście, niech panią Matka Boska cieszył...

Teraz i kasztan raźniej do domu pospieszy,

Z radości dam mu w drodze batogów ze trzysta.

(*Zbliżając się nieśmiało do Marylki, całuje ją w rękę*)

Dziękuję...

Scena 5.

MARYLKA, DYDAK, PASTERNAKCI i DRZYMSKI.

PASTERNAKCI (*wchodzi w chwili, kiedy Dydak całuje Marylkę w rękę — zaciera rękę*).

A to urwis jak z czasu korzystysta. (*do Drzymkiego*)

Oto mój syn, w te pędy...

DRZYMSKI (*podając mu rękę*).

Witam, witam pana...

(*do Pasternackiego*)

Tęgi chłopiec, pamdzieju.

PASTERNAKI (*wskazując na młodych*).

To para cacana (*głośno*)
O czymże tam mówili teraz państwo młodzi?

MARYLKA.

O bardzo ważnych rzeczach...

DRZYMSKI (*do Pasternackiego*).

Siadaj pan dobrodziej.

(*wskazując krzesło Dydakowi*).

Proszę siadać. (*Dydak siada*).

PASTERNAKI (*wdzięczając się do Marylki*).

Czy można wiedzieć treść rozmowy?

MARYLKA.

Nie koniecznie... tu chodzi o przedmiot sercowy.

PASTERNAKI (*zadowolony*).

Spodziewałem się tego... młodość nie ma granic
Gdy krew pali, w te pędy,... to i rozum za nic.

DRZYMSKI.

Ho! ho! sąsiad, pamdzieju, jak młokos dowodzi.

PASTERNAKI.

Lacka krew, toć wie o tém pan sąsiad dobrodziej,
Nigdy się nie starzeje.

DRZYMSKI.

Oj krew by to była!

PASTERNAKI.

Mnie jeszcze młodość służy.

DRZYMSKI.

Mnie już opuściła...

PASTERNAKI.

Człowiek się tego trzyma z łaskawości Bożej.

DYDAK (*śmiejąc się głupowato*).

Niech pan Drzymski nie słucha... tata tak barłóży

Oczywiście, raz szliśmy przez łąkę sąsiada
 A tu rów!... trzeba skakać... pilno... trudna rada..!
 Ja się machnę, chlust w górę... i siedzę na płocie
 Tata za mną... fajt kozła... ugrzązł nosem w błocie...
(Śmieje się na całe gardło).

MARYLKA (*oburzona*).

I z ojca się pan śmieje?...

DYDAK.

Oczywiście, z taty (*śmiejąc się*).
 Zawsze młodość udają wszystkie stare graty,
 Prakseda się uważa za młodą kobietę,
 Choć ma dziurę bez oka... i zęby wybite... (*śmieje się*).

PASTERNAKI (*powściągnąjąc się w gniewie*).

A to urwis dowcipny!... Powiedz chłopcze śmiało,
 O czémże się z panienką tutaj rozmawiało?

MARYLKA.

Gdy pan taki ciekawy—ja wyręcę syna.
 Pan Dydak drży... by kiedy kłótniwa dziewczyna,
 Co jak ja wszystko w domu przebojem zwycięża,
 Nie była jego żoną... do słabego męża,
 Ja znów miałabym, panie, wstret niepowściągniony,
 A więc ja w nim małżonka, on zaś we mnie żony
 Znaléżbyśmy nie mogli... ot, cała rozmowa.

PASTERNAKI (*zdetonowany*).

Ale wierzaj mi pani... to jest ośła głowa...

MARYLKA.

Nie mam powodu przeczyć...

PASTERNAKI (*zapalając się*).

Na Chrystusa rany.

MARYLKA.

Wierzę... ależ ten przymiot najmniej pożądanym.

PASTERNAKI.

Jaki przymiot... w te pędy... syn mój ma przymioty...
 Dowcipny,.. zuch do jada!... tęgi do roboty,
 Tylko nie wié, co mówi, kanalia...

O WŁASNEJ SILE.

MARYLKA.

Nie sędę,
Pan Dydak jest rozważny...

PASTERNAKI (z rozpaczą).

(n. s.): Przepadły pieniądze
(głośno do Drzymskiego):
Cóż pan na to?...

DRZYMSKI.

Marylka niech sama stanowi.

PASTERNAKI.

Całe mienie, w te pędy, oddaję synowi;
Warto, panie szanowny, związać takie stadło.

DRZYMSKI.

Cóż pilnego, pamdzieju, toć nic nie przepadło.
Może zczasem Marylka odmieni swe zdanie.

DYDAK (n. s.).

Jabym miał puścić Wiktę... ho! niedoczekaniel... (głośno):
Oczywiście, niech tata głowy nie zawraca,
Czas jechać...

DRZYMSKI.

Cóż pilnego?...

PASTERNAKI.

Obowiązek... praca. (n. s. do syna):
Już ja ci chrzest wyprawię! (głośno): do stópek się ścielę.

DRZYMSKI.

Przykro mi, że upadły nasze piękne cele;
Ale cóż, trudno gwałcić...

PASTERNAKI (kłaniając się Maryli).

Nadziei nie tracę.

DRZYMSKI.

Szczęść Bożel...

DYDAK (kłaniając się).

Oczywiście!... (wychodzą).

Scena 6.

MARYLKA i DRZYMSKI.

MARYLKA (*śmiejąc się*).

To śmieszni pajace!

DRZYMSKI.

W tém coś jest, tak, pamdziej, wizyta ciekawa,
Kto wie, może znów teraz górą twoja sprawa.
Przy pracy człek o wszystkim jakoś zapomina.

(Patrzy na zegarek).

Do dyabła, niezadługo już pierwsza godzina.

(Po chwili wahania).

Nic nie szkodzi, pamdziej, trzeba pójść do miasta.

MARYLKA.

We mnie zgasła nadzieja.

DRZYMSKI.

Ale we mnie wzrasta. *(wychodzi).*

Scena 7.

MARYLKA i WANDA.

WANDA (*sposstrzegając, że nie ma gości*).

Już poszli?..

MARYLKA.

Już.

WANDA.

Nie poznam twego konkurenta.

MARYLKA.

Dzielny chłopak!

WANDA.

Doprawdy?..

MARYLKA.

Serdecznie zajęta...

WANDA.

Jeśli taki, jak ojciec!..

MARYLKA.

Egzemplarz ciekawy.

WANDA.

Godzien serca?...

MARYLKA.

Godniejszy rolniczej wystawy.

*(Za sceną słychać dzwonek).*WANDA *(zrywając się).*

Matka dzwonkiem do pracy przyzywa dziewczęta.

MARYLKA *(czyniąc to samo).*Biegnę... *(wybiega, zapominając o miarce, którą zostawiła na stole).**(Marylka wybiega pierwsza — w chwili, gdy i Wanda ma wyjść, wchodzi Alfred).*

ALFRED.

Marylka w domu?...

WANDA *(wybiegając).*

Tak, ale zajęta...

Scena 8.

ALFRED *(sam, chodząc po pokoju, widocznie czerns żywo zajęty).*

To nowina! niechże cię... czy dyabli skarali!
 Ale któż się spodziewał... co tu robić dalej!...
 Wygrała!... muszę chyba w Opatrzność uwierzyć,
 Gdy lada chwilę mógłby grom we mnie uderzyć,
 Gdy mnie czeka wstyd... hańba... o! gorzej... kajdany!
 Ratunek sływa z niebios, jak cud niespodziany.
 Wygrała... a bodaj cię... o nędzny idyoto!...
 Taką partya odepchnąć, w rękę trzymać złoto,
 I wypuścić... o! na to trzeba być bałwanem!... *(po chwili):*
 A gdyby też z obliczem w smutku wykapaném,
 Z miłosném drzeniem głosu i łezką w źrenicy,
 Staął przed nią pokornie Alfred bladolicy,
 I zdradzając miłości młodzieńczej otchłanie,
 O męczarniach swych takie wypalił kazanie,
 Jakie żądza jój krociów na język przyniesie.
 Myśl dobra... dotąd nie wię o swoim procesie,
 W jój sercu miłość z dawnym ozwie się zapalem.
 To psychiczne. Wszak nieraz w romansach czytałem!

Scena 9.

ALFRED i MARYLKA.

(Marylka wbiegając szybko, zabiera zostawioną na stole miarkę i ucieka).

ALFRED.

Witam panią.

MARYLKA *(najobojętniej)*.Dzień dobry! *(chce wyjść)*.

ALFRED.

Tak zimno, zdaleka...

MARYLKA.

Chcesz pan czego?...

ALFRED *(udając zakłopotanie)*.

Ja chciałem...

MARYLKA.

Prędzej... czas ucieka...

ALFRED.

Cóż tak pilno?...

MARYLKA.

Chcesz mię pan narazić na straty!..

Cóż tedy?...

ALFRED.

O! głos pani martwy... lodowaty...

MARYLKA *(śmiejąc się swobodnie)*.

Co takiego?.. powtórz pan!..

ALFRED *(patetycznie)*.

Ha! udęczeni tyle!..

MARYLKA.

Pan jesteś niewyspany... majaczysz... *(chce wyjść)*.ALFRED *(powstrzymując ją)*.

Na chwilę

Zostań jeszcze...

MARYLKA (*zniecierpliwiona*).

Lecz, panie, czas leci skrzydlaty...

Prędzej...

ALFRED.

Nie tak, o pani, mówiłaś przed laty...

Głos twój wtedy tak jęczał smętnie i grobowo...

Że... (*zawahał się, nie wiedząc co dalej powiedzieć*).

MARYLKA (*śmiejąc się serdecznie, chwytając małe lustro ze stołu i zbliżając je ku twarzy Alfreda*).

Widziałeś pan mnie śmieszniej romansową?

Przypuszczam, że już jesteś po drugim śniadaniu.

ALFRED (*deklamując coraz żywiej*).

Jam cię jeszcze w młodzieńczych dni moich zaraniu

Tak ukochał... że odtąd ni nędze żywota,

Ni jad zgnitych towarzystw... ni błędów sromota...

Obrazu twego, pani, z duszy mej nie starły.

Dziś, na wieki dla uciech światowych umarły,

U nóg twoich (*kłękając*) litości błagam z głębin serca.

O! ja czuję, że szczęścia waszego morderca,

Nie mam dzisiaj żadnego do litości prawa;

Lecz niechaj ubiegłego szczęścia wizya łzawa

Dawny kwiatek twych uczuć do życia powoła,

Niechaj z gniewu oczyści mojego anioła,

I uśmiechem okraśli twarzyczkę jej bladą.

MARYLKA (*śmiejąc się żywo*).

Mogę pana obdarzyć uśmiechów kaskadą,

Słuszność nawet do większej szczerości mnie skłania,

Przyznać muszę... Pan jesteś mistrzem udawania.

Nigdy chyba, jak kłamią wszystkie świata strony,

Głos fałszu nie był bardziej do prawdy zbliżony.

Pan się niepospolitą cieszysz dykcji władzą.

ALFRED (*z gestem rozpaczony*).

Ach!

MARYLKA (*surowo*).

Do czego te śmieszne komedye prowadzą?

ALFRED.

O, pani!... serce moje przesywasz jak grotem!...

MARYLKA (*zimno*).

Pan masz serce?... doprawdy nie wiedziałam o tém:
Winszuję... to nabytek ważny, co się zowie...
Teraz wartoby jeszcze pomyśleć... o głowie!

ALFRED.

Dość szyderstwa, o! mąk tych nie zniosę już dłużej.

MARYLKA.

I pójdziesz pan nareszcie...

(*Kłaniając mu się i zabierając się do wyjścia*).
Szczęśliwój podróży!...

ALFRED (*powstrzymując ją*).

Więc żeby pani moim słowom uwierzyła,
Trzeba...

MARYLKA (*przerywając—dobitnie*).

Mojój głupoty... żadna inna siła,
O prawdzie tych wynurzeń dziś mnie nie przekona;
Wiara, której pan żądasz, w mogile złożona
I już jój nie zmartwychwstać...

ALFRED.

O męko bez granic!...

MARYLKA.

Ta wiara-by się zresztą nie przydała na nic,
Daj mi pan zwierzeń swoich pewność niewzruszoną
I wtedy nawet pańską nie zostanę żoną.

ALFRED (*przechodząc w ton ironii*).

A jednak serce pani do mnie należało,
Wprzód było Wezuwiuszem — dzisiaj martwą skałą;
Ale pocóż szalony wznawiam dzieje stare...

MARYLKA.

Słusznie... i tak w nonsensach przebrałeś pan miarę.
Więc ja pana kochałam?... Śmieszność nad wyrazy!...
Pana?!... Bóg nie pozwoli upaść mi tak nisko,
Ten co żył w mojem sercu, młodzieniec bez skazy,
Miał tylko postać pana... i jego nazwisko!...
On nie żyje!... przed laty... nad jego mogiłą...
Serce się moje straszną boleścią krwawiło.

Wytrwałam... Bóg pozwolił dożyć odrodzenia.
 Z przeszłości nie zostało nic — okrom wspomnienia.
 Więc pan sądzisz — o pozwól, żebym była szczerą,
 Że można kochać lalkę bezmyślną... szulera...
 Człowieka bez honoru... bez czci... paserzyta...
 Czémże w waszém pojęciu jest dzisiaj kobiéta?

ALFRED.

Motylem!...

MARYLKA.

O, zapewne — jakież wasze miano?
 Kiedy z duszą, brudami żywota skalaną,
 Z próżnią w mózgu i serca zimnego strzępami,
 Upodleni przesytem stajecie przed nami,
 Żądając w nieskończonym próżności bezmiarze,
 Byśmy wam kwiaty serca przynosiły w darze...
 Popędy egoizmu dalej was zawiodyły!...
 Choćby przedmiot czci naszej okazał się podły,
 Musim kochać — wołacie — to psychiczne prawo...
 Zkąd wam taką teorię wytwarzać plugawą?!...
 Więzami pokrewieństwa, na arenie świata
 Honor z cnotą... występek z podłością się brata...

ALFRED.

Bywa często inaczej!...

MARYLKA.

Fałsz zrodzony z błota,
 Wyległa wśród książkowych skandalów ramota,
 Ku wygodzie zgnilizną przesyconej rzeszy.
 O niech pan tą pewnością swe serce rozgrzeszy
 Z uniesień i troskliwie nadal zapamięta:
 Że kobiéta, godnością swęj roli przejęta,
 Od dzieciństwa do myśli i czynu wdrożona,
 Nie rzuci się w mężczyzny podłego ramiona,
 Wyrzecz się własnego ogniska i domu,
 A rękę swęj wraz z sercem nie da byle komu.

ALFRED.

Więc...

MARYLKA.

Skończ pan!

ALFRED.

O! litości!...

MARYLKA (*z pogardą*).

Muszę się litować...

ALFRED.

Nie zabijaj...

MARYLKA (*zimno*).

Dość tego!...

ALFRED.

Do zguby nie prowadź!...

MARYLKA (*zabierając się do wyjścia*).

Zegnam.

ALFRED.

Zginę, gdy stargasz nic przyszłości złotą?...

MARYLKA.

Niech zginie, komu życie hańbą i sromotą (*wybiega*).

Scena 10.

ALFRED później HRABIA.

ALFRED (*z rozpaczą*).

Zgubionym!... trzeba skończyć... w łeb sobie wypalę...

HRABIA (*wchodząc—d. s.*).

W samą porę—ostatni los rzucam na szalę!...

ALFRED.

Hrabia! (*podając mu rękę*).

HRABIA (*zimno — nie przyjmując ręki*).

Witam!

(*Wyjmuje pugilares, a z niego ćwiartkę papieru, poczem pokazując papier Alfredowi, mówi spokojnie a zimno*):

Czy weksel ten panu jest znany?...

ALFRED (*n. s.*).

Piekło!...

HRABIA (*po chwili milczenia*).

Wiész co cię czeka za to?

ALFRED (z gestem rozpaczny).

A!...

HRABIA (kończąc).

Kajdany!...

ALFRED.

Panie hrabio, przysięgam zwrócić sumę całą
Dziś lub jutro najdalej!...

HRABIA

O nie, to za mało!
Fałszerz cudzych podpisów niech za kraty idzie!...

ALFRED.

Chcesz hańbą dom nasz okryć?...

HRABIA (z gorzkim uśmiechem i pogardą).

O! szlachetny wstydzie!...

(Drwiąc).

Oto rycerz, co hańby rodzinie oszczędzał!
To mi dbałość o honor!...

ALFRED.

Nie wiesz co to głęza.
Głodnemu nie uwierzy—kto jé z pełnej miski.

HRABIA

A ojciec — czy też z głodu fałszuje podpisy?...
Panna Wanda czy także...

ALFRED (przerywając coraz bardziej przygnębiony).

Widzę że pan hrabia...

HRABIA (kończąc).

Panna Wanda fałszerstwem na życie zarabia?...

ALFRED.

O! przez litość!

HRABIA.

Przepraszam. Powróćmy do sprawy.
Żądasz łaski?...

ALFRED.

O! błagam.

HRABIA.

Więc będę łaskawy.

ALFRED.

O! dzięki ci mój hrabio!

HRABIA.

Skończymy spór zgodnie:
Jeśli siostrze natychmiast wyjawisz twą zbrodnię.

ALFRED.

Co? Wandził?

HRABIA.

Tak!

ALFRED.

Szaleństwo!

HRABIA.

Musisz!

ALFRED.

Za nic w świecie!

HRABIA.

No! to ja rzecz policyi opowiem... w sekreciel...

ALFRED.

Ależ hrabio!

HRABIA.

Czy zgoda?

ALFRED.

I poco?

HRABIA.

Wyłożę
Żeś jest nędznik i zbrodzień—to wyznaj w pokorze
I powiedz, że ratunek spoczywa w jej dłoni;
Powiesz, że ją ubóstwiam, że wciąż myślę o niej.
Że jeżeli mnie rączkę swą powierzyć raczy,
Ciebie z kajdan, dom z hańby wyrwę i z rozpaczy.

ALFRED.

Nie przystanie.

HRABIA.

Tak sądzisz?

ALFRED.

Wiem, że nie ocali.

HRABIA.

Toć serce ma anielskie.

ALFRED.

Lecz duszę ze stali!

HRABIA.

Więc...

ALFRED.

Spróbuję... Zaczekasz hrabio w tej komnacie.

Scena 11.

ALFRED potem WANDA.

ALFRED.

Drzę jak listek! (*zbliża się ku drzwiom warsztatowym i wraca*).
Bodajesz przepadł stary gracie!*(Scena niema—na twarzy Alfreda znać widoczne pasowanie się wewnątrzne).*

Ha! naprzód, trzeba kielich ten spełnić aż do dna.

(Otwiera drzwi z prawej).

Wandziu, proszę na chwilę.

Scena 12.

ALFRED i WANDA.

WANDA (*zimno*).

Chwila niedogodna.

Mów prędko!

*(Milczenie—w czasie którego Wanda spostrzega niepokój na twarzy Alfreda).*ALFRED (*nieśmiało*).

Wandziu!...

WANDA (*spokojnie*).

Czekam. Żeś zwiastunem burzy,

To mi serce i twoja bojaźliwość wróży.
Mów prędzej—bo nieszczęście straszniejsze zdaleka.

ALFRED.

O Wandziu! jam zgubiony! Grom, hańba nas czeka!..
Widzisz w mojej osobie nędznego zbrodniarza.
Ja weksel sfałszowałem!..

WANDA (z okrzykiem rozpaczy).

Ach!

(Chwyta za krzesło żeby nie upaść — po chwili, zapanowawszy nad sobą, mówi głosem grobowym).

To cię przeraża?...

ALFRED.

Ach! siostrze, słowa twoje ranią mnie i bolą.

WANDA (wolno a dobitnie).

Komu cnotą występpek—hańba aureolą!..
Czego żadasz?

ALFRED.

Ratunku!..

WANDA.

Odemnie?

ALFRED.

Z twój dłoni.

WANDA.

Atoż jak dłoń cię moja od hańby zasłoni?

ALFRED.

Bo widzisz... (waha się).

WANDA.

Mów!..

ALFRED.

Hrabiego podpis sfałszowałem.

(Wanda wzdryga się, jakgdyby nagle odgadła jaka próba ją czeka).

On cię zawsze z jednakiem ubóstwem zapamięta.

Swój ideał najświętszy widzi w twój osobie.
Więc...

WANDA.

Cóż dalej?...

ALFRED.

Więc przyrzekł weksel zwrócić tobie,
Jeżeli...

WANDA.

Kończ... jeżeli wezmę go za męża (*z pozornym spokojem*).
Projekt dobry...

ALFRED (*z radością*).

Więc serce twe wstręt przewycięża?
Na wieki siostró moja...

WANDA (*przerywając zimno*).

Weksel jak wysoki?

ALFRED.

Tysiąc rubli.

WANDA.

Hrabiego chcę widzieć bez zwłoki.

ALFRED (*pokazując na drzwi*).

On jest tu...

WANDA

Proś... i zechciej opuścić te progi.

Scena 13.

WANDA, później HRABIA.

WANDA (*głosem wielkiej boleści*).

O! matko ukochana! ojczy ty mój drogi!
Wam tej hańby nie przeżyć...

(*Wchodzi Hrabia i kłania się w milczeniu. — Wanda posągowo zimna oddaje ukłon, poczem siada na kozetce, skinieniem wskazując Hrabiemu krzesło obok siebie*).

Czy hrabiemu na tém
Zależy, by rozprawił się sąd z moim bratem?

HRABIA.

Bynajmniej.

WANDA.

Czy pan hrabia słowo moje cenii?

HRABIA.

Nad wszystkie skarby świata.

WANDA.

Dziś, z własnej kieszeni
Oddam długu połowę, a z następną ratą
Za rok służę. Pan hrabia weksel zwróci—za to
Dam s w ó j rewers. Czy zgoda?

HRABIA.

Nie sądzę.
O! zgodziłbym się, gdyby szło tu o pieniądze.
Czy brat nie mówił pani?

WANDA.

Mówił wszystko szczerze;
Ale ja w ten warunek hrabiego nie wierzę.
Czyż kto kiedy w ten sposób małżonkę zdobywał!

HRABIA.

Jednak dla mnie sposobność to bardzo szczęśliwa,
Gdy wszystkie inne środki do celu nie wiodły.

WANDA.

Ależ środek ten, hrabio, jest...

HRABIA (*podchwytyjąc*).

Śmiały?

WANDA.

Jest podły!
Czemu rzeczy nie nazwać właściwém jój mianem?

HRABIA (*spokojnie*).

Pociski będę czołem odbijał miedzianém.
Już dziś woli méj żadne nie skruszą tarany.
Pani musisz być moją, albo...

WANDA (*zrywając się*).

Obłąkany!...

O WŁASNEJ SILE.

HRABIA (*kończąc*).Albo (*pokazuje weksel*) dowód ten, hańby okryje was piętnem,WANDA (*spokojnie*).Daleko w uniesieniu pan idziesz namiętném.
Ta mi groźba nie straszna.

HRABIA.

Lecz zapewniam panią..

WANDA (*przerywając*).Hańba spada na tego, kto zasłużył na nią.
Mogą trutnie i pszczoły być w jednej rodzinie,
Ale hańba złych dzieci na ojców nie spłynie,
Jeżeli ojciec nigdy nie splamił się niczém.

HRABIA.

Optyzmizmem się pani kierujesz zwodniczém.

WANDA.

Nie, hrabio, barbarzyński to przesąd i stary,
Któremu nikt rozumny dziś bytu nie przyzna.
Na dębu odwiecznego pan spojrzysz konary:
Jedne kwitną, gdy drugie już trawi zgnilizna!

HRABIA.

Lecz Alfred...

WANDA (*przerywając*).

Każdy losu własnego kowalem!

HRABIA (*kończąc myśl zaczęta*).

Zginiel

WANDA (*z uczuciem*).

Pan go nie zgubisz!

HRABIA.

Zgubię—choeby z żalem.

WANDA.

I pan mnie kochasz?

HRABIA.

Liczne złożyłem dowody.
Za lata mąk piekielnych chcę cienia nagrody.

WANDA.

Ta nagroda-by właśnie była panu piekłem.

HRABIA.

Już się wszelkich w tym względzie iluzji wyrzekłem.

WANDA.

Pomyśl pan, czémby zemną życie twoje było?
Całe lata udreczęń żyć z martwą łez bryłą
I méj duszy złamanéj odczuwać męczarnie.
Że téż obraz ten zgrozą pana nie ogarnie!

HRABIA.

I owszem, wprost przeciwnie, ten obraz mię krzepi.
Ja kocham, a ci przecież, co kochają, ślepi.
Chcę panią mieć przy sobie i wszędzie i zawsze.
A ta żądza, to moje słońce najjaskrawsze,
Ono mi zachód życia oblewa purpurą.
Mogę z myślą téj straty zgodzić się ponurą?!

WANDA (*przybierając obojętny ton głosu, jakgdyby zmieniła nagle przedmiot rozmowy*).

Panie hrabio! jak nazwiesz postępek Alfreda?

HRABIA.

Nikczemnym!

WANDA.

Tak, inaczej określić się nie da.
A w tym jego występku co jest złem jedyném?

HRABIA.

To, że fałszu wyrazy poparł fałszu czynem.

WANDA.

Rzecz prosta. A pan czego dziś żądasz odemnie?

HRABIA (*zmieszany*).

Ja... pragnę...

WANDA.

Bym, jak Alfred, działała nikczemnie?
Że bratu hańba grozi—by go zbawić od niej,
Własną zbrodnię do jego mam dorzucać zbrodni?!
Gdzież zdrowego rozsądku podziałeś pan skalę?

HRABIA.

Przepraszam, ten argument z łatwością obalę.

WANDA.

Ależ, hrabio, nas przepaść w poglądach rozdziela.

HRABIA.

On fałszerzem jest względem swego wierzyciela,
Gdy pani szczerze, z własnych uczuć się spowiada.
Tu otwartość—tam podstęp: tu szczerokość—tam zdrada.
Ja panią z tym jej wstrętem biorę bez obawy.

WANDA (*z siłą*).

Ależ takie małżeństwo to związek plugawy!...

HRABIA.

Nie dla mnie!...

WANDA.

Gdybyż tylko chodziło o pana!...
Ale jam już i słowem i sercem związana:
Hrabia o tém zapomniał!...

HRABIA.

Za nawias to kładę.

WANDA.

Łamiąc słowo, popełniam nikczemność i zdradę.

HRABIA.

Ależ pani fikcyjne skrupuły wytwarza!...

WANDA.

Czy fikcją także kłamstwo u stopni ołtarza?...
Przestań się pan urągać méj duszy prostaczej!...

HRABIA.

Ależ świat dziś przebacza...

WANDA (*żywo*).

Bóg mi nie przebaczył!...
A toż słodka pociecha, że świat nie obwini!...
Pomyśl, hrabio, mam stanąć przed Bogiem w świątyni...
By wobec uczestników ślubu i kapłana
Przysięgnąć, że m hrabiemu uczuciem oddana,

Gdy kto inny jest moim życia ideałem!...
Czyś pan kiedy pomyślał o tém?...

HRABIA.

Pomyślałem

I twierdzę: ślub—to forma.

WANDA.

Forma?... Jak dla kogo.

Kobięta tak jest w źródła pociechy ubogą,
Że pan jęj niczém inném nie zastąpisz wiary.
Dla was może już błędną te uczuć sztandary,
Może wiedza wam starczy za wszystko—ja nie wiem.
Lecz w nas wiara przy wiedzy jest cnoty żarzewiem.
Co sierotę młodziuchną od upadku chroni,
Gdy świat—wdzięków czarami uśmiecha się do nięj?
Co matkę od szaleństwa broni i rozpaczy,
Kiedy skarb swój najdroższy w trumience zobaczy?...
Co ją strzeże od hańby, gdy rzeszy swych dziątek
Łzą skropionych okruszyn rozdziela ostatek?...
Co ją dźwignie, gdy nieszczęść przepełni się miara?...
Przewodnikiem jęj—wiedza, ale tarczą—wiara!...

HRABIA.

Któż żąda, żeby pani z nią była w rozterce?...

WANDA.

Wszakże teraz pan żąda, bym zabiła serce,
A wiara jest najczystszym serc ludzkich wykwittem.
Co dla mnie treścią życia, to dla pana mitem!...

HRABIA (*zdumiony*).

Zjawisko!...

WANDA (*stanowczo a z uczuciem*).

Ależ dosyć. Zakończmy raz przecie.
Panie hrabio, przysięgam ci na wszystko w świecie,
Jak mi ojciec mój, matka i miłość jest droga,
Przysięgam ci na czystość méj duszy, na Boga,
Że nic zgoła nie skłoni mnie do związku z panem;
Więc nie drażnij się z sercem boleścią targaném,
Na głowę brata mego rzuć ohydy znamię:
Cios taki może zabić mnie, ale—nie złamię!...

HRABIA (*silnie wzruszony—jakby do siebie*).

Dziwnych wrażeń doświadczam... aniół nie kobięta!...

WANDA (*z żywym uczuciem*).

Ale... na twarzy pana jest dobroć wryta.
Coś mi szeptuje, że kroku pan nie zrobisz tego,
Że mi twoje wspomnienia na pomoc przybiegą,
Kiedyś jeszcze żył sercem w rodziny swój gronie,
Ja nie mówię tu przecież w Alfreda obronie
I nie o mnie też idzie—o, pan wie najlepiej!...
Ale rana się serca mego nie zasklepi,
Jeżeli ten grom straszny w rodziców uderzył!...
O nich to błagam, hrabio, z serca... jaknajszczerzej!..

HRABIA (*coraz bardziej wzruszony*).

Zobaczemy... być może...

WANDA.

Błagać nie przestanę.
Rodzicom hrabia zadać chcesz śmiertelną ranę?
Pomyśl pan, gdzie się skryjesz przed sumienia żmiją,
Jeżeli oni tego ciosu nie przeżyją!...
Czy chciałbyś ich zabójcą być, hrabio, ich katem?...

HRABIA (*który w ciągu ostatnich słów Wandy okazywał silne wzruszenie, klęka przed nią i mówi z uczuciem*).

Dosyć!... Korzę się przed twym, pani, majestatem.
Zwyciężyłaś!... Patrz, nawet martwą pierś cynika,
Głos twego bohaterstwa do głębi przenika,
Druzgocząc w nią cudownie mój upór zwierzęcy.
O! gdyby takich kobiet było u nas więcej,
Mniej występków i zbrodni dręczyłoby ziemię.
Oto weksel (*podaje papier*).

WANDA (*odbierając mówi radośnie*):

Więc spada z nas niedoli brzemię.
(*ściskając ręce hrabiego*).

Wdzięczność moja bez granic!

(*Wchodzi Henryk niepostrzeżenie i staje w głębi, słuchając ostatnich słów Wandy*).
I już do mogiły

Zaniosę to uczucie...

S c e n a 14.

Ciż i HENRYK.

WANDA (*spostrzegłszy Henryka*).

Henryk!... (*Hrabia wstaje*).

HRABIA (*n. s.*).
Gość nie miły!...

HENRYK.
Może przyjąć nie raczy mnie przyszła hrabina?...

HRABIA (*wyniośle*).
Panie!...

HENRYK (*żywo*).
Pół tonu niżéj!...

WANDA.
Henryku!...

HENRYK (*surowo*).
Gadzina!...

WANDA.
O Boże!..

HENRYK (*drwiąco*).
Śliczna para!...

HRABIA.
Pan śmiesz...

HENRYK (*drwiąco*).
Trochę skromniej,
Wszakże pan hrabia spadek odziedziczył po mnie!...

HRABIA.
Kto tak mówi, nie godzien jest tego anioła.

HENRYK (*z przekąsem*).
Może ktoś znów po panu godniejszym być zdoła.

HRABIA (*gwałtownie*).
Ha! dość!...

WANDA (*hamując hrabiego*).
Hrabiol!... (*do Henryka z godnością i spokojem*).
Zkąd takie do obelgi prawo?...

HENRYK.
Niechaj ci serce własne da odpowiedź krwawą.

WANDA (*spokojnie*).

Me serce? Oto jego odpowiedź najczystsza:
W tej chwili już swojego nie poznaję mistrza
W człowieku, który depta niewinnych zniewagą.

HENRYK (*z ironią*).

Niewinnych! Wszak widziałem rzeczywistość nagą.

WANDA.

Ludzie panu podobni sięgają w głąb rzeczy.

HENRYK.

Czyż i temu, com słyszał tu, pani zaprzeczy?

HRABIA.

Pozory!

WANDA.

Któż uczciwy swych słów się wypiera?

HENRYK.

O! jesteś pani równie występna, jak szczerą!

HRABIA.

Tego nadto!...

Scena 15.

Ciż i DRZYMSKA.

DRZYMSKA (*blada i zapłakana—nie spostrzegając Henryka stojącego na uboczu, biegnie wprost do Hrabiego i ściska gorączkowo jego ręce*).

O! niechaj Bóg wielki nagrodzi!
Tyś, hrabio, nasz wybawca szlachetny, dobrodziej...
Nie dopuścisz więc wstydu nas wszystkich i syna?

WANDA (*przerażona*).

Więc mamie...

DRZYMSKA.

Już wiadoma ta z piekiel nowina!
O! tak! Alfred rozmowy tu wysłuchał waszój,
Jak się anioł ten broni (*wskazuje na Wandę*) i pan hrabia
[straszy.

Wreszcie, widząc pomyślny rezultat narady,
Do nóg biegnie mi z płaczem, zgnębiony i blady,
Swoją występki z dziecięcą wyznaje pokorą,
A twoją, Wandziu, pomoc uwielbiając skorą,

Woła: „matko, to święta—jam w obec niej zwierzę.
W potęgę cnoty, nędznik, dziś dopiero wierzę.
Odtąd inne, przysięgam, chcę rozpocząć życie.
Da Bóg, może mnie lepszym kiedyś zobaczycie *(ze łzami)*:
Przebaczcie—ja na długo już dla was umarłem;
Mogę wcale nie wrócić, ale nigdy—karłem.“
I zniknął *(ociera łzy)*.

WANDA *(ze łzami w głosie)*.

Biedny chłopiec.

HRABIA.

Ten wstyd go ocali.

DRZYMSKA.

Wiedząc, że tu oboje rozmawiacie w sali,
Przybiegłam, by podziękować swej żonie hrabiemu.

HRABIA.

Dziękujecie, ale tylko aniołowi swemu *(wskazuje Wandę)*.
I mnie także potęga jej cnoty złamała.

DRZYMSKA.

Wandziu! *(tuli ją w objęciach)*.

WANDA.

Matko!

DRZYMSKA.

Jam potwór—wstydem płoną cała.
O! przebacz, wszystkie chwile łez mych i goryczy.
Wiem, że próżność tę moje Pan Bóg mi policzy,
By mnie wznieść—aż takiego gromu trzeba było:
Teraz wiem, jakim pracą jest skarbem i siłą.

WANDA *(zwracając się do Henryka, na którego twarzy malowała się w ciągu sceny ostatniej głęboka boleść, mówi z uśmiechem)*

Mnie tej prawdy pan Henryk nauczył przed laty.

DRZYMSKA *(sposstrzega Henryka)*.

Co? Pan Henryk?

HENRYK *(w milczeniu całuje rękę Drzymskiej, potem klęka przed Wandą)*.

Niegodzien dotknąć twojej szaty.
Straszne bielmo już spadło z mych źrenic w tej chwili:
Możesz gardzić mną, pani!

WANDA (*wesoło*).

Ależ pan się myli.

DRZYMSKA (*zdziwiona*).

Co to znaczy?

WANDA (*z uśmiechem*).

Niewinny spór z panem Henrykiem.

(*Do Henryka*).

Gniew pana był prawdziwej miłości wynikiem;
A więc łatwo przebaczyć grzech, który nie plami.

HENRYK (*wstając*).

Zwłaszcza temu, kto lata przeżył z indyanami,
Śród przygód, których gruba księga nie pomieści!

WANDA.

Ach! jak straszne tu o was przychodziły wieści.

HENRYK (*całując jej rękę*).

A ja nic o najdroższych sercu nie wiedziałem,
Dziś dopiero...

(*Hrabia z widoczną boleścią na twarzy wychodzi ostrożnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi*).

Scena 16.

WANDA, DRZYMSKA, HENRYK i MARYLKA.

MARYLKA (*wchodząc*).

Pan Henryk!

HENRYK (*ściskając jej rękę*).

Witam sercem całym.

MARYLKA.

Więc nareszcie pan wrócił!

Scena 17.

Ciż i PASTERNAKI z synem.

PASTERNAKI (*wchodząc, półgłosem do syna*).

A pójdźże, w te pędy...

Stój przy mnie!

(*Przez cały ciąg rozmowy Dydak ani na chwilę nie odstępuje ojca*).

(*głośno*) Padam do nóg! (*całuje Drzymską w rękę*).

DRZYMSKA.

Witam!

PASTERNAKI.

Wstąpiłem, żeby z panem pomówić słów kilka.. Idąc tędy,

DRZYMSKA.

Męża nie ma...

PASTERNAKI.

Nie szkodzi, skoro jest...

(Wskazuje na Marylkę, nie mogąc przypomnieć sobie imienia).

DRZYMSKA.

Marylka?...

PASTERNAKI.

Tak!... w te pędy... lecz możeby nie wypadało...
Tyle osób... na boczkę może...

MARYLKA.

Mów pan śmiało.

Wszyscy, jak tu jesteśmy, to rodzina jedna...

PASTERNAKI.

To, co powiem... w te pędy... może też przejedna
Uporek panienczki... *(całuje Marylkę w rękę).*

DYDAK *(śmiejąc się gapiowato).*

Ehe! cmoknął tata!...

MARYLKA.

Słucham pilnie...

PASTERNAKI.

Ot, wielka grozi jemu strata.
(pokazując na syna).

DYDAK *(zdziwiony).*

Co, mnie?...

PASTERNAKI *(do syna n. s.).*

Milcz!...

DYDAK.

Oczywiście!...

O WŁASNEJ SILE.

PASTERNAKI.

Nieszczęsny chłopczyzna!
Za panią już, w te pędy, dziś szaléc zacznyna.

DYDAK.

Ja?...

PASTERNAKI (n. s.).

Cicho!...

DYDAK.

Oczywiście...

PASTERNAKI.

Rozstawszy się z wami,
Cztery chustki... w te pędy... oblał biédak łzami.

DYDAK (*śmiejąc się na całe gardło i pobudzając wszystkich do śmiechu*).

Oczywiście ten tata...

PASTERNAKI (*kopiąc go nieznacznie—n. s.*).

Ani mrumru... bydle!

DYDAK (*podskoczywszy z bólu*).

Aj!...

PASTERNAKI.

Biedzi się jak srokosz zaplątany w sidle.

DYDAK (*śmiejąc się*).

Jak srokosz!...

PASTERNAKI. (*szczypie syna*).

Może biédak nawet rozum stracić...

I...

WANDA.

To jest nie możebne...

PASTERNAKI.

I życiem przypłacić.

MARYLKA.

Czy podobna!...

PASTERNAKI.

Ten zawód—niech sam Dyduś powie...
Na zdrowie mu nie pójdzie (*trąca syna, żeby mówił*).

DYDAK (*bezmyślnie*).

Nie pójdzie na zdrowie!

DRZYMSKA.

Więc...

PASTERNAKI.

Jak ojciec, ratować przychodzę chłopaka!
Otl pani dobrodziejko! przyszła mi myśl...

DRZYMSKA.

Jaka?...

PASTERNAKI

Możeby ot, w te pędy, przez małżeństwa drogę
Proces skończyć... ustępstwo jakieś zrobić mogę.
Krótko mówiąc, ot zaraz, z owój sumy spornój
Połowę pani spłaceę... (*wskazując na Marylkę*).

WANDA (*do Henryka*).

Interes wyborczy!...

PASTERNAKI.

Jeśli panna Marylka...

MARYLKA.

Chęć do zgody dzielę.

PASTERNAKI.

Przyjmie mego Dydusia...

HENRYK (*do Wandy*).

Jest drugie wesele...

PASTERNAKI.

Czy zgoda?...

MARYLKA.

Ależ panie...

PASTERNAKI.

W te pędy, znów ale...
Biedny chłopiec się strawi w miłosnym zapale...
Patrz pani jaki smutny (*trąca go*) na płacz mu się zbiera.

DYDAK (*duszac się od śmiechu*).

Nie wytrzymam od śmiechu...

O WŁASNEJ SIŁE.

MARYLKA (*wesoło*).

Co za boleść szczerą!

PASTERNAKCI.

Przez łzy patrzy na panią spojrzeniem tak miłym (*n. s.*).
Weź chustkę...DYDAK (*do ojca*).

Oczywiście, w domu zostawiłem...

PASTERNAKCI.

Więc czy zgoda?...

MARYLKA.

Nie!

PASTERNAKCI.

Czemu?... (*n. s.*). Bierze mnie choroba!...

MARYLKA.

Syn mi się nie podobał... (*Dydak śmieje się*).PASTERNAKCI (*zdumiony*).

On się nie podoba?...

Czyż jemu co brakuje?... Pani spojrzeć raczy...
(*n. s. trącając syna*).

Mówże ty!...

DYDAK (*głupowato*).Nie brakuje mi nic... (*śmieje się*).

MARYLKA.

Pan wybaczy,

Ale...

PASTERNAKCI.

Cieszy się szczęściem do kobiet szalonym!

DYDAK (*oburzony*).

Do Wikty, nie do kobiet!...

PASTERNAKCI (*n. s.*).Milcz! (*d. s.*) Śmierć z tym ga-
[wronem.

MARYLKA.

Nie zaprzeczam.. lecz dla mnie... różne obyczaje...

PASTERNAKI.

On nie jest taki głupi, jak tu się wydaje.
 Że nie śmiały, w te pędy... lecz zuch do kobiety!
 O! nie bity on w ciemność! *(do syna n. s.)* Mów!...

DYDAK *(śmiejąc się)*.

Nie w ciemność'm bity.

PASTERNAKI.

Więc nareszcie?...

MARYLKA.

Nie mogę.

PASTERNAKI *(n. s.)*.

To kuta dopióro!

S c e n a 18.

Cią i DRZYMSKI *(za sceną)*.

Wygraliśmy, pamdziejcu, znikło dawne zero!...

PASTERNAKI *(n. s.)*.Trzeba zmykać!... *(głośno)* Więc żegnam!

DRZYMSKA.

Mąż właśnie nadchodzi *(wchodzi Drzymski)*.PASTERNAKI *(do Drzymskiego)*.

Mam termin.

DYDAK.

Oczywiście!...

DRZYMSKI.

A gdzież pan dobrodziej?

Mam nowinę...

PASTERNAKI *(n. s.)*.Żebyś pękł!... *(gł.)* Ja tu wrócę, panie!DYDAK *(n. s.)*.

Tata sapie ze złości!...

(Pasternacki idzie od Drzymskiego do Marylki i Wandy, całując każdą w rękę. — Dydak robi to samo, ustawicznie zachodząc mu drogę).

PASTERNAKI *(odpychając syna—n. s.)*.

A idź-że bałwanic!...

DYDAK *(śmiejąc się)*.

Zły, jak chrzan, oczywiście!...

PASTERNAKI.

Żegnam.

(Wychodzi, dając skinieniem znak synowi, żeby się zbliżył do niego — lecz Dydak obawiając się ojca, wychodzi za nim w przyzwolonej odległości, kłaniając się kilkakrotnie towarzystwu).

DRZYMSKI *(znacząco)*.

Do widzenia! *(zacierając ręce z radości)*.

A to żeśmy, pamdzieju, zdusili szerszenia!...

(Spostrzegając Henryka).

A to co?... czy żrenica moja zażawiona?...

Indyanin, pamdzieju, a pójdźże w ramiona!

(Przyglądając mu się).

Nie wyglądasz mi jakoś, chłopcze, zbyt różowo.

Ale... ale... wiadomość przynoszę wam nową:

Marylka jest już panią!...

DRZYMSKA.

To miła nowina!

DRZYMSKI.

Pasternacki dla tego chciał ożenić syna,

Że rozstać się z majątkiem nie było ochoty.

MARYLKA *(n. s.)*.

Biedny Alfred i jego minęły banknoty!...

HENRYK *(biorąc Wandę za rękę)*.

A ja czy wygram sprawę?

DRZYMSKI *(rozrzewniony)*.

Na pewno, mój bracie;

Lecz podobno, pamdzieju, wzajem wygrywacie.

(Do Wandy, tuląc ją).

Ten indyanin cię porwie, córo moja droga.
Cóż robić, skoro serca wam biją tak żywo;
Przyszłość waszę, pamdzieju, składam w ręce Boga!
Oby zawsze promienną była i szczęśliwą.

DRZYMSKA.

Niech wam Bóg dopomoże!

DRZYMSKI.

Pomoże pewnikiem! (*do Henryka*).
Życzę ci, żebyś prędko został czeladnikiem;
Łatwo się téj godności dobić taką głową!

HENRYK.

Na nieszczęście, gdy teraz zabieram majstrową,
Warsztaty zwinąć trzeba.

DRZYMSKI (*smutno*).

Chłopcze mój jedyny,
Wstrzymaj się, muszę swoje sprawić wyzwoliny,
Już niedługo!...

WANDA (*smutno*).

Więc warsztat zwinie my i czemu?...

HENRYK.

Trzeba się zawodowi poświęcić innemu.
Przy rodzinném ognisku dla rozumnej żony
Roztwiera się świat czynów wielki... nieskończony.
Gwiazda świeżych tryumfów błysnie u jej czoła,
Gdy nowym obowiązkom szlachetnie podoła.
Wiem, że gdyby mi losy klęską zagroziły,
Albo śmiercią,—rachując na ducha jej siły,
Mógłbym umrzeć spokojnie, mocno przekonany,
Że jej łatwo nie złamię życia uragany.
Ta pewnośc—to bogate corki waszjej wiano.
Nim to kiedy nastąpi... dziś moje zasoby
Dla nas wszystkich wystarczą.

MARYLKA.

Prócz mojej osoby
I rodziców, co także przy mnie się zostaną.
Czas ziścić me pragnienia—zwinąwszy warsztaty,
Do wioski rzemieślnicze przeniesiem penaty,
By działalność rozwinąć między maluczkiemi.

DRZYMSKI (*oglądając się dookoła*).

Przykro będzie się rozstać z księgami mojami.

WANDA.

Czas wam spocząć, by odtąd przypominać mile:
Najszczęśliwszy na świecie byt—o własnej sile.
(*Zasłona spada*).

K O N I E C.

PILTYŃ I ARCHIWUM PILTYŃSKIE *).

PRZEZ

br. Gustawa Manteuffla.

VI.

Najważniejsze miejsce w historii Piltyńia zajmują bezwarunkowo postanowienia sejmikowe, tak zwane „Landtagsschlüsse” („lauda”) i pozostające z nimi w ciągłym związku liczne relacye postów piltyńskich.

Akta sejmowe piltyńskie znajdujemy tu w zupełnym komplecie z lat 130-tu, a mianowicie od r. 1652 do r. 1783. Wszystkie zachowane są w oryginale, obok którego częstokroć dołączono i kopie nader staranne. Sprawy sejmikowe najwyraźniej tu odsłaniają niewymowną nędzę, w jaką groźna wojna północna pogrążyła nie tylko Kurlandya, ale i Piltyń. Kraj, pozbawiony obrońców i opiekunów, był przez długi czas teatrem wojny zażartej. Zajmowali go z kolei już-to szwedzi, już-to polacy i rosyanie, nakładając coraz to nowe kontrybucye, którym nie było końca; kto chciał, pustoszył i niszczył kraj, w wysokim stopniu już wycieńczony i zrujnowany. Aż do r. 1705 gospodarowali w nim samowolnie szwedzi, potem opanowali go rosyanie. Gdy Karol XII po zawarciu pokoju Altransztackiego pociągnął na Litwę, uszli rosyanie z ziemi piltyńskiej, a dzierżyli ją szwedzi aż do nieszcześniejszej dla króla szwedzkiego bitwy pod Pottawą, poczem znowu ustąpili miejsca wojskom rosyjskim. Pustki i ruiny zalegały tam, gdzie dawniej wrzało bujne życie, chwasty i zielska zarastały pola, na których złociły się przedtém obfite kłosa. Dobra zupełnie zniszczone i porujnowane, chłopci uciekają do lasów, a pozostałych i zdziczałych niepodobna nakłonić do pracy, nie ma zatem komu uprawiać pól, a obawa przed zarazą dopełnia miary udręczenia. Poszukiwania źródłowe archiwalne najwyraźniej odsłaniają niewymowną nędzę, w jaką wojna północna pogrążyła to małe państewko. Wspominałem już wyżej, iż kontrybu-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b

cyom nakładanym na ziemię piltyńską, już-to przez wojska szwedzkie, już-to przez polskie i rosyjskie, nie było końca. Daremnie usiłowano je usunąć za pomocą najpokorniej redagowanych petycyi, których minuty przechowują się dotąd w archiwum piltyńskim. Państwko już najzupełniej wyniszczone musi płacić, musi dostarczać żywności i ludzi, dopóki w kraju istnieje choć jeden talar, dopóki został przy życiu choć jeden mężczyzna mogący broń dźwignąć; „so lange noch Geld und Mannschaft überhaupt vorhanden sind,” są słowa jednej z licznych relacyi o ówczesnym prawdziwie opłakanyim stanie tego kraiku. Nic więc dziwnego, iż nakoniec nędza i wyludnienie ziemi piltyńskiej dosięga stopnia, o którym obecnie zaledwieby można powziąć niejakieś wyobrażenie. Gdy po kilkunastoletniem ostatecznym wycieńczeniu zniszczonego już kraju wypisywano nową kontrybucyą w r. 1717, ziemia piltyńska dowiodła faktycznie niepodobieństwa wypłacenia chociażby jednego talara, przedstawiając władzom miejscowym dokładne spisy ludności pozostałej przy życiu w pojedynczych dobrach owego niegdyś tak potężnego biskupstwa. Spisy te w archiwum piltyńskim całkowicie przechowane, wykazują nam najdobitniej ówczesne rozpaczliwe położenie państwka ¹⁾. Tę tylko dobrą stronę mają owe tak ciężkie lata, że w nich Piltyń zaczyna trzymać z ksiądzkami Kurlandyi ²⁾.

¹⁾ Pan Teodor Schiemann, porządkując w r. 1875 zbiory tego cennego archiwum, zwrócił szczególną uwagę badaczy przeszłości dziejowej na dane statystyczne, które wyraźnie uwydatnia w wykazach, o jakich tu mowa. W całej parafii neuhauzyńskiej liczono podówczas roboczej ludności męskiej nie więcej jak 95 ludzi, w dobrach Lieben 5, w Boyen 6, w Kalwen 10, w Perbohnen 10, w Kandeln 8, w Neu-Patzen 4, w Alt-Patzen 5, w Assiten i w Buszhofie, licząc razem te dwie obszerne majątności 15, w Wormsaten 7, w Bakhutzen 4, w Elkezem 1, w Apelnikach 3, w Raudenie 7, Rokajszu 3, w Dzeldegalu 4, w Neukracenie 9, w Muchach 1, w Lakszach 3, w Wartagu i Nodagu ogółem 19, w Winaushofie 4, w Ładyku nie było literalnie już ani jednego męskiego robotnika, w Altdorfie wielkim i małym ogółem tylko 6, w Cerrenden 4, w Nogalu 24, w Limboszu zaś w tymże czasie liczono zaledwie dwóch dobrych robotników. A więc w obrębie 34 dóbr mniej lub więcej rozległych, któreśmy na mapie ziemi piltyńskiej dokładnie oznaczyli, istniało w owym czasie nie więcej jak 238 włóścian, co w przecięciu na każdą z majątności stanowi nie więcej jak 6—7 robotników! Nie ma przeto komu uprawiać pól, rzecz oczywista. „Czytając daty powyższe — są słowa d-ra Schiemanna — przestałem już dziwić się, że straszliwe czasy pierwszej ćwierci zeszłego stulecia i dotąd jeszcze żyją w pamięci chłopów miejscowych.” T. Schiemann: uzupełnienia katalogu rękopiśmienne w archiwum piltyńskim, str. 5).

²⁾ T. Schiemann w „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 303 i w „Baltische Monatsschrift,” t. XXII, str. 138. Por. także „Przewodnik naukowo-literacki,” rocznik IX, str. 595—597, gdzie wszakże tylko o Kurlandyi jest mowa.

W tak oplakaném położeniu, serca mieszkańców zwracają się z utęsknieniem ku młodemu Fryderykowi Wilhelmowi Kettlerowi, bawiącemu od lat dziecińczych za granicą. Piltyńczycy zarówno jak kurlandczycy widzą w tym szlachetnym, poetycznym, książęcym młodzieńcu swego wybawcę, spodziewają się po nim ratunku, bo jego związek z rosyjską księżniczką łądzi wszystkich nadzieją walnej pomocy i opieki ze strony potężnego nadnewskiego cara. „Zdawało się marzycielom — powiada trafnie pan Klemens Kantecki w pracy powyższej już przytoczonej — że powrócą stosunki z pierwszych lat panowania Gotarga Kettlera, bo namiestnik carski w Rydze, generał Wrangel, oświadczył głośno, że Piotr zamierza nie tylko osadzić księcia w Kurlandyi, lecz także mianować go gubernatorem Infant 1).

Wiadomo wszakże, jak nieszczęśliwie skończył się związek Fryderyka Wilhelma z księżniczką Anną. W pare miesięcy po ślubie, w podróży z Petersburga do Mitawy wyzionął ducha ten szlachetny,

1) „Przewodnik naukowy i literacki,“ rocznik IX, str. 598. Teodor Schiemann „Friedrich Wilhelm Herzog von Kurland nach bisher ungedrucktem Material“ („Baltische Monatsschrift,“ t. XXII, str. 120—145), gdzie szlachetność i poświęcenie się dla kraju młodego księcia Fryderyka Wilhelma po mistrzowsku są odmalowane. Ukochał on pierwszą gorącą miłością przyjaciółkę swych sióstr, księżniczkę Karolinę z Wolfenbüttel. Ogłoszona przez d-ra Schiemanna korespondencya, jaką w tej porze prowadził z siostrami Fryderyk Wilhelm, i także oddrukowane liczne poetyckie utwory tego zakochanego a tak zdolnego młodzieńca, wskazują najlepiej jak trudno przychodziło mu się pożegnać z marzeniami osobistego szczęścia i poświęcać je dla politycznych celów. „Trzeba było jednak wybierać pomiędzy Karoliną a Kurlandją — zauważył dowcipnie pan Kantecki — księżę przeto, zadając swemu sercu gwałt, zdecydował się przyjąć narzucony sobie warunek.“ W każdym razie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na to jego postanowienie mniéj wpłynęły ambicya i żądza panowania, jak raczej chęć ulżenia krajowi, którego stan był prawdziwie rozpaczliwym. „Nik nie wiedział — mówi T. Schiemann w źródłowej biografii młodego księcia powyższej przytoczonej — kto właściwie w tych burzliwych czasach był panem kraju: Fryderyk Wilhelm, czy jego matka, księżna Elżbieta Zofia, książę Ferdynand czy najwyżsi radcy, August II czy Stanisław Leszczyński, Piotr I czy Karol XII? Każdy bowiem z tych władców wedle swego widzimisię rozdzielał posady, ogłaszał prawa, rozpisywał podatki. Którzy urzędnicy byli w prawném posiadaniu swych godności, które prawa należało uwzględnić i uznać, jakie podatki miały obowiązywać? Czy starostwo grobińskie, nadane przez starego księcia Ferdynanda Jerzemu Mirbachowi, należało do niego, czy też do kapitana Koszkuła, któremu je przysądziła księżna Elżbieta Zofia?“ (Porównaj T. Schiemann w „Baltische Monatsschrift“ t. XXII str. 138). Słowa powyższe najdosadniej malują rozpaczliwy stan kraju, którego rządy miał objąć szlachetny książę, wyrastający dopiero z lat pachołoczych.

poetyczny młodzieniec, zanim jeszcze naprawdę objął rządy nad swém księstwem ¹⁾.

Zasepił się przeto nanowo horyzont chwilowo wypogodzony, a pojawienie się w Mitawie księżnej Anny (która, ściśle biorąc, nie była wcale księżną kurlandzką, owdowiała bowiem w drodze, zanim ujrzała państwo świeżo zaślubionego księcia), oddało kraj cały w zupełną zawisłość północnego sąsiada ²⁾.

Przybywała księżna wdowa z uciążliwemi dla kraju pretensjami, żądając 40,000 rubli rocznie, a ponieważ tak wielkich wymagań niepodobna było zaspokoić ze szczupłych dochodów zrujnowanego państwa, przeto Anna wzięła w zastaw książęce dobra.

VII.

Widoczném było, że Kurlandya przez długie lata niezdoła wypłacić sum, jakich od niej żądano, że dla powstrzymania wierzyiciela, będzie się musiała stosować do każdego jego skinienia. Jakoż wpływ rosyjski stał się odtąd wszechwładnym w hołdowniczym kraju Rzplitej polskiej ³⁾. Od tego wpływu nie mógł się i Piltyń żadną miarą ochronić.

W roku 1735 deliberowano poraz pierwszy na sejmiku piltyń-

¹⁾ T. Schiemann „Herzog Friedrich Wilhelm von Kurland, nach bisher ungedrucktem Material” w czasopiśmie „Baltische Monatsschrift” t. XXII, str. 145. Porównaj także K. W. Cruse „Curland unter den Herzögen,” t. I, str. 236, gdzie autor o tym związku małżeńskim następująco podaje szczegóły: Obrzęd zaślubin odbył się na dworze cesarskim z całą okazałością w dniu 11 listopada r. 1710, w którym Fryderyk Wilhelm kończył dopiero lat 18. „Festlichkeiten reiheten sich an Festlichkeiten” powiada Cruse „unter andern die, bei der Hochzeit eines kleinen Fürsten an dem Hofe eines sehr grossen, fast sarkastisch aussehende berühmte Zwerghochzeit.” Odtąd następował bankiet po bankiecie, a na każdym wino lało się strumieniem. Młodziuchny książę nie przywykły do wybryków i libacyi, w jakich przychodziło mu tutaj uczestniczyć dla przypodobania się rozmiłowanemu w nich gospodarzowi, popadł w chorobę. Chory już wyruszywszy w drogę na początku stycznia następnego roku, dostał gwałtownej gorączki na pierwszej stacyi, oddalanej o sześć mil od Petersburga. Mimo to pragnąc jaknajprędzej powrócić do ojczyzny, już nazajutrz rano ruszył dalej; załedwie jednak dojechał do Kippingshofs (drugiej stacyi od nadnewskiej stolicy), tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać. Wyzionął ducha 10/21 stycznia r. 1711, zanim mógł ziścić nadzieje i zebrać owoce poniesionj dla kraju ofiary.

²⁾ C. W. Cruse: „Curland unter den Herzögen,” t. I, str. 236—238. T. Schiemann l. I. pag. 145.

³⁾ „Przewodnik naukowy i literacki,” rocznik IX, str. 695.

skim nad wysłaniem poselstwa do nadnewskiego grodu ¹⁾). Powoli bowiem zaczynano się oswajać z myślą, że ztamtąd może da się osiągnąć pomoc skuteczna przeciw grożącemu piltyńczykom tak zwanemu prozelityzmowi katolickiemu, zwłaszcza iż w roku 1745 ówczesny biskup inflancki, Józef na Kozielsku Puzyna, odnowił dawne, a zdaniem piltyńczyków, przez sprzedanie Szezbekowi dóbr Lehnen, Litzen i Murgerkaul, już poniekąd zagrodzone uroszczenia do byłego biskupstwa piltyńskiego.

W tej sprawie wydelegowano do Warszawy Erdmana Sackena i Derschau'a ²⁾), a przechowane w archiwum piltyńskim relacje obu panów posłów przedstawiają nie tylko wierny obraz ówczesnych stosunków na dworze królewskim, ale wykazują zarazem z jak wielką trudnością zdołali oni w stolicy naszej osiągnąć, iżby królewskie sądy relacyjne nie zajmowały się wcale dalszemu śledzeniu sporu piltyńczyków z biskupem inflanckim Puzyną. Atoli ten ostatni nie odstąpił wcale od swoich roszczeń. Zdaje się wszakże, iż pod koniec życia biskupa Puzyny, a zwłaszcza za jego następcy Antoniego Ostrowskiego ³⁾), pretensye do Piltyńia były już tylko czysto pieniężne. Do

¹⁾ „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Curlands,” t. XII, str. 303.

²⁾ Obaj ci delegowani wpłynęli na ówczesnego prezydenta landrackiego kolegium w Piltyńiu, pana Ulryka von Behr, dziedzica dóbr Szlek, żeby jeszcze przed ich odjazdem do Warszawy w r. 1746, drukiem kazał ogłosić rzadkie dziś dzieło łacińskie: „Controversiae Nobilitatis Piltensis in causa et actione inter illustrissimum et reverendissimum Dominum Nicolaum Poplawsky, episcopum Livoniae, praetensum actorem, et eandem Nobilitatem, ratione praetensae vindicationis episcopatus quondam curoniensis, in judiciis relationum Sacrae Regiae Majestatis proprietarum agitata, intercedentes,” (sine loco et anno) stronnicie 174 in 4-to obejmujące, a mające ułatwić rozbiór tej zawikłanej sprawy w sądach relacyjnych królewskich. Pierwszych stronnicie 37 tej dla nas ciekawej księgi, obejmuje wyłuszczenie samej sprawy, dalsze zaś zapełnia oddruk aż 42 oryginalnych dokumentów, będących z nią w ścisłym związku. Niektórzy z bibliografów ogłosili mylnie, iż księga ta rzekomo w r. 1685 wydaną została.

³⁾ Biskup Antoni Ostrowski zarządzał dycecyą inflancko-piltyńską od r. 1754—1763, poczem został wyniesionym na biskupstwo kujawskie. Następcą jego na biskupstwie inflanckim był Jan Stefan Giedroyć od roku 1765—1778. Po pierwszym rozbiórce Polski przyłączono biskupstwo inflanckie do nowo-utworzonej archidiecezyi mohylewskiej. Wszelako do formalnego zniesienia biskupstwa inflanckiego, t. j. do r. 1798, następujący pasterze tytułu: „Episcopus Livoniensis et Piltinensis” stale używali: Antoni Maciej Sierakowski od r. 1778—1780, Józef Kazimierz Kossakowski od r. 1781—1794 i Jan Nepomucen Kossakowski od r. 1795—1798. O pretensjach pieniężnych biskupa Józefa Kazimierza Kossakowskiego do Piltyńia, rozprawia obszernie Heyking w swych słynnych pamiętnikach rękopiśmien-

takiego wniosku zniewalają, przynajmniej w pewnym stopniu, sumienne poszukiwania archiwalne. Czytamy bowiem w instrukcyi z roku 1756, danėj do Warszawy posłom piltyńskim Korffowi i Stemplowi, „dass ein Vergleich mit dem Bischof nur dann getroffen werden solle, wenn erstens das Don gratuit nicht 10,000 Thaler übersteige und wenn zweitens das fürstlich-kurländische Haus sich verpflichte, die Hälfte der Summe zu tragen. Wenn keine Endschaft zu hoffen—głósi dalej instrukcyja — sollen sie (to jest posłowie) die Rechte des Districtus Piltensis bei den koeniglichen Relationsgerichten und sonst aller Orten wahren.“

Do prowadzenia kwestyi prawnych tego wieloletniego sporu, zjednano słynnych adwokatów kurlandzkich Ziegenhorna i Schwandera, których staranne elaboraty w zbiorach archiwalnych piltyńskich aż dotąd przetrwały. Rzucają i one wiele światła na tę zawiłą sprawę.

VIII.

Wojna siedmioletnia bardziej jeszcze zbliża stosunki Piltynia z dworem cesarsko-rosyjskim.

Jakkolwiek z początku niemało się użalano na ucisk i nadużycia, jakich sobie w tém państewku bezustannie dozwały wojska rosyjskie, atoli właśnie sprawa o ucisk militarny sprowadza z nadnewską stolicą bliższe rokowania i układy, do których przeważnie użyto syna estońskiego pastora, p. Simolin'a, zajmującego w Mitawie posadę dyplomatyczną ówczesnego ministra-rezydenta cesarzowej Elżbiety ¹⁾.

nych, użytkowanych obecnie przez księdza Waleryana Kalinkę do historyi sejmii czteroletniego.

¹⁾ Wspomniany w poprzednim odsyłaczu p. Heyking, rozszerza się w swych pamiętnikach o niskiem pochodzeniu Simolinów. Mamy wszelako i nowsze źródła, wykazujące rzeczywistych antenatów tego rodu, chełpiącego się od niezbyt dawnego czasu, że dał Polsce jój najdzielniejszego króla. Źródłem niewątpliwém jest powszechnie cenione dzieło, w połowie bieżącego stulecia ogłoszone p. t.: „Ehstlands Geistlichkeit in geordneter Zeit-und-Reihenfolge zusammengestellt von H. R. Pauker“ (Reval, 1849 in 8-vo). Autor, opisując na stronicy 373 po krótkce żywot rewelskiego predykanta Matyasza Simolina, powiada wyraźnie: „Er starb 1753. Seine Söhne wurden in Russland cadetl und ihre Nachkommen leben noch in Kurland.“ Odczytującym słowa powyższe Paukera, tém dziwniejszymi wydają się luźne kartki, przeważnie po domach polskich kursujące, drukowane w Berlinie u Mittlera w r. 1856 pod tytułem już to niemieckim: „Des edlen Geschlechts Bathory von Simolin Wappen-Sage,“ już to francuzkim: „Les Simolins sont une branche cadette de la célèbre famille des Comtes Bâthor en Transsylvanie“ i t. p., z których kilka przechowuje się dotąd po bibliotekach, jako ciekawości bibliograficzne. Niemniej charakterystyczną jest uwaga w słynném dziełku zbiorowém: „Album baltischer Ansichten“ (Mitau, 1866), pod artykułem

Bardziej stanowczy kierunek przyjmuje polityka piltyńska dopiero wtedy, gdy cesarzowa Katarzyna ujęła jej wążek w swe umiejętnie dłonie. Wtenczas-to Piltyń został zmuszonym przystąpić do konfederacji litewskiej, a jak czynny w tém brała udział Katarzyna II, tego najlepszym dowodem czołobitne podziękowania sejmiku hazenpockiego, na które głosowano w dniu 14 maja r. 1767 ¹⁾.

Lecz jeszcześmy wcale nie wyczerpali skarbów archiwalnych piltyńskich, dotyczących konfederacji. Oto pismo własnoręczne Fryderyka Wielkiego, z dnia 11 lipca tegoż roku 1767, adresowane: „aux états du Cercle de Pilten,” które również pochwała piltyńczyków za przystąpienie do konfederacji polskiej. Czytamy w niem wyrażnie, że on, król pruski, policzy sobie za prawdziwą przyjemność „de vous comprendre dans la protection que J'ai accordée aux Dissidents.” Został więc już i Piltyń ogniwem tego łańcucha, który odtąd coraz ciśniej ściągano około Rzeczypospolitej, zanim całkowicie zycia jęj nie odjęto. W Piltyniu zaś dostrojono teraz do stopnia kwestyi europejskiej ów rzekomy ucisk protestantyzmu. Nawet Anglia, jako poręczycielka pokoju oliwskiego, występuje z formalnem oświadczeniem: „że się bardzo interesuje prawami piltyńczyków i że wyraźnie poleciła angielskiemu posłowi, Mr. Wrougham, by one o ile możności popierał.” Wchodzi téż Piltyń w układy najbardziej poufne z marszałkiem konfederacji dysydentów ²⁾. Ten zaś obiecuje uroczyście obstać najenergiczniej za nieetykalnością wszelkich praw i swobód piltyńskich.

„Gross Dselden”—majątności Simolinów w ziemi niegdyś piltyńskiej—przez samego wydawcę W. S. Stavenhagena, umieszczona w tych słowach: „Der Aufnahme dieses Aufsatzes in unveränderter Fassung ist auf wiederholten Wunsch des Besitzers von Gross-Dselden nachgegeben worden.”

¹⁾ Pan Teodor Schiemann zwraca pierwszy baczność na doniosłość owych hazenpockich podziękowań sejmikowych. Patrz: „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurland's,” t. XII, str. 304.

²⁾ Na to, że Piltyń już przedtém znosił się wielokrotnie z polskimi dysydentami, oczywiste mamy dowody nie tylko w przechowywujących się starannie w archiwum piltyńskiem, drukowanych pismach dysydenckich, obecnie niemal nie znanych, ale i w dokumentach rękopiśmiennych, częstokroć nader ciekawych. Z druków dysydenckich przytoczę przechowujące się pod numerem 402: „Jura et libertates Dissidentium in Religione Christiana in Regno Poloniae et M. D. Lithuaniae ex legibus Regni et aliis Monumentis authenticis excerpta Anno Christi 1708, Berolini, ex Typographia Regia” str. 40 in folio minori. Charakterystyczném jest, że to pismo drukowane w Berlinie a mianowicie w drukarni królewskiej. Godnym uwagi jest przechowujący się w archiwum piltyńskiem pod numerem 403: „List szlachcica polskiego do Confiędantá, w którym się uważa discursus curiosus kalendarsza poznańskiego na r. 1711 super quaestione: Jezeli Polska, za iedney Wiáry kátolickiey, przez 600 lat zázawsze szczęśliwie kwitnęła? A zaś, od tego Czasu, iáko Dissidenci w niey nastali, dla iohże Religiey rozmaite Nic-

IX.

Następnie deleguje Piltyń do Warszawy dostojnego członka swego rycerstwa, Jmé Pana Kazimierza Ernesta von Derschau ¹⁾. W jaki sposób ów gorliwy poseł sprawę piltyńską prowadzi w Warszawie, wykazuje najdosadniej relacya w dniu 23 sierpnia r. 1768 na sejmiku hazenpockim przez niego złożona. Wyznaje w niej p. Derschau, że próby powiatu piltyńskiego do króla Jegomości i do polskiego ministra stanu doręczone zostały za pośrednictwem rosyjskiego ministra-rezydenta u dworu warszawskiego, barona von Asch; co zaś do redagowanego w języku łacińskim „Status causae pro Regio Districtu Piltinensi,” takowy w trzech egzemplarzach przez niego samego został doręczonym osobiście ministerstwu rosyjskiemu, wielkiemu posłowi cesarzowej rosyjskiej w Warszawie i marszałkowi konfederacyi, Grabowskiemu.

Następuje żywy opis głośnego sejmu październikowego z r. 1767, na którym się miała załatwić sprawa dysydentów. „Powstał w kraju, tak głosi relacya, silny ruch w obronie dawnych przeciw dysydentom ustaw i wojskowemu uciskowi obcemu, który wybitniejszych przewodzców między szlachtą pozbawił wolności.” Biskup krakowski, Sołtyk, rozwinął agitacyą tém żywszą, im bardziej mógł się poczuwać do winy stworzenia opłakanéj sytuacji ówczesnéj. Przy otwarciu sejmu przystąpił król do konfederacyi. Licząc się ze wzburzoną opinią, wniesiono limitę sejmu, t. j. zawieszenie jego czynności do czasu, aż wybrana

szcześcia Oycyzne ruinują y práwie do zguby przywodzą?” in 4-to minori str. 24 Bez oznaczenia miejsca druku.

Ciekawą w swoim rodzaju jest przechohowana tu pod numerem 404 „Braterska declaratia na Niebraterskie Napomnienie od authora pod imieniem szlachoica Polskiego ad Dissidentes in religione uczynione” (również małe in 4-o bez oznaczenia miejsca druku, zawiera ogółem stronnic 90).

Ze źródeł rękopiśmiennych w tejże materyi, przechowanych tu pod n-rami 405—410. przytaczam:

1. Skrypt łaciński protestanckiego synodu birżańskiego z d. 12 maja r. 1721, do Rycerstwa piltyńskiego adresowany.
2. Takąż dedukcyą sąznistą w języku polskim pro Dissidentibus z tegoż mniejwięcej czasu.
3. Skrypt dysydentów grodzieńskich do koła rycerstwa piltyńskiego z roku 1717.
4. Skrypt dysydentów kicydańskich z dnia 22 maja r. 1725, do tegoż rycerstwa adresowany, i wiele wyciągów najrozmaitszych, dotyczących wyłączenie wolności wyznań.

¹⁾ Poseł ten Piltyński wkrótce drukiem ogłasza swój łaciński elaborat w tej sprawie p. t.: „Status causae pro Regio Districtu Piltinensi” (Varsovie, 1767) arkusz jeden in folio.

ad hoc delegacya ułoży traktat z cesarzową Katarzyną, prawa kardynałne Rzpltej przez Rosyą gwarantować się mające, tudzież nową ustawę o dysydentach. Wystąpili przeciw temu wnioskowi z całą siłą: biskup krakowski Sołtyk, biskup kijowski Józef Załuski, Wacław i Seweryn Rzewuscy. Wtedy, w nocy z 13 na 14 października, aresztował księżę Repnin czterech głównych oponentów i wywiózł ich pod eskortą wojskową na wygnanie w głąb Rosyi. Krok ten wywołał nazajutrz złożenie kanclerskiej pieczęci przez Andrzeja Zamoyskiego, liczne instancye do Repnina, w końcu zgodę na limity sejmu (19 października), który miał potwierdzić czynności delegacyi, wybranęj wedle woli księcia Repnina. Pod osobistym naciskiem tego wielkiego posta rosyjskiego dokonała delegacya swojej roboty, gdy już sejm ponownie został zebrany. Rzplta zawierała z Rosyą traktat poddający pod gwarancyą Katarzyny II kardynałne prawa państwa i mieszczący w osobnym dziale prawa innowiercom przyznane. Dział ten, ułożony dnia 24 lutego 1768, nosi tytuł: „Actus separatus Primus, quo immunitates et praerogativae Graecorum Non-Unitorum et Dissidentium, civium et incolarum in dititionibus Serenissimae Reipublicae Poloniae et annexis eidem Provinciis continentur”¹⁾.

Za pomocą Repnina, Panina i Simolina załatwiono sprawę z biskupami na korzyść piltyńczyków. Czytamy bowiem w artykule V-ym, § 1 przytoczonego powyżej działu te słowa: „A nayprzód Powiat cały Piltyński, tak iak się znajdował przed wspomnianym rokiem traktatu Kronenburskiego, nie tylko co do wiary y co do kościołów, ale też co do przemiany natury dobr kościelnych Katolickich w świeckie zostawujemy, y tytuł Biskupstwa Piltyńskiego, bez possessyi żadney w Powiecie Piltyńskim od wspomnionego czasu zaniechany, a potym de anno 1685 do Biskupstwa Inflantskiego przez nominacyą Nayiaśnieyszego Króla Jana III przywiązany, umarzamy. Y z tey nominacyi wszczęty między Wielebnymi Biskupami Inflantskimi a szlachtą Piltyńską process w Sądach Rélacyjnych w wieczną niepamięć podaiemy; y że Powiatowi całemu Piltyńskiemu, iako sekularyzowanemu, szkodzić w żadnym czasie nie powinien, deklaruiemy”²⁾. Dnia 18 marca roku 1768 mógł już Derschau stolicę polską opuścić, z przeświadczeniem, że cel swego poselstwa całkowicie osiągnął. To też z niewymowną radością przyjęto go w Hazenpocie³⁾. Niezwykłe ukontentowanie piltyńczyków zaczęło się nawet na zewnątrz objawiać. Redagowano pisma

1) Vol. leg. (wyd. Ohryzki) t. VII, str. 256 — 277. Akt osobny pierwszy, zawierający w sobie wolności, y prerogatywy Greków Orientalnych Nie Unitów, y dysydentów, obywatelów y mieszkańców w Państwach Nayiaśnieyszey Rzeczypospolitéj Polskioy, y w przyłączonych do niey Prowincyach.

2) Vol. leg. (wyd. Ohryzki) t. VII, str. 274.

3) „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 306.

dziękczynne do Katarzyny II, do Fryderyka Wielkiego, do Danii, do Repnina, do Simolina, a nawet do Sakena, który w owym czasie był postęmem, czyli raczej delegowanym kurlandzkim w Warszawie.

Czuli się teraz piltyńcy w zupełnym używaniu dawnych piltyńskich wolności i swobód, a Rosya, zwłaszcza w tych pierwszych chwilach radości i ogólnego uniesienia, rozpieszczała formalnie tych nowo pozyskanych przyjaciół. Piltyń zaś coraz bardziej wysilał się na rozmaite dowody swojej wdzięczności. Tak np. w r. 1776, tenże Kazimierz Ernest von Derschau, któremu w części zawdzięczamy opisaną powyżej relacją o sejmie warszawskim, zostaje do Petersburga wysłanym dla wyrażenia Katarzynie II najgłębszej submisji tak rządu, jako i rycerstwa piltyńskiego. Równocześnie poleconém mu zostało złożyć hołdy i najpokorniejsze życzenia u stop wielkiego księcia Pawła i księżniczki Maryi Teodorówny z powodu ich zaślubin i wręczyć feldmarszałkowi Rumiancowowi dyplom na indygenat piltyński, do którego dumne miejscowe rycerstwo wielką zwykło przywiązywać wagę. W instrukcyi, jaką wówczas do Petersburga otrzymał delegowany nad Nowę dygnitarz rozpieszczonego przez Rosyą państewka, poleconém mu było wyraźnie, ażeby się starał ustalać interesa Piltynia „er solle suchen die Angelegenheiten Pilten's zu solidiren.”

Derschau'a w grodzie nadnewskim z niezwykłą uprzejmością przyjęto. Przyznano mu charakter posta trzeciej klasy, a Katarzyna zapewnia go o swęj niezmiennej łasce dla ziemi piltyńskiej. Następnie przesyła mu w darze tysiąc rubli, któremi, jak się zdaje, serce ambasadora liliputowego państewka ostatecznie podbitém zostało. Po śmierci Kazimierza Ernesta von Derschau zastępuje tego przedstawiciela Piltynia u dworu warszawskiego pan Heyking, którego liczne piśma i relacye śledzą dostatecznie za wypadkami w Polsce aż do r. 1786.

Tu na czas jakiś opuszczają nas zupełnie relacye i sprawy sejmikowe piltyńskie, a rozpoczynają się znowu za czasów rosyjskich, w r. 1797. Potém już bez przerwy są prowadzone aż do r. 1817, w którym, jakeśmy już wyżej wspominali, konstytucyą piltyńską ostatecznie zniesiono i pogrzebiono raz na zawsze ostatnią niezależność piltyńczyków, wcielając ich ziemię do Kurlandyi, w której i obecnie tworzy ona trzy powiaty: hazenpocki, grobiński i znaczną część windawskiego ¹⁾.

X.

Nie opłaca się wcale przedłużać sprawozdanie niniejsze referatem o dokumentach z tego ostatniego okresu, gdyż pod względem historycznym nie mogą one przedstawić nic ciekawego. Natomiast wyznać należy, że z innych oddziałów piltyńskiego archiwum dałby się

¹⁾ „Słownik geograficzny ziem polskich,” t. III, (1882) artykuł „Hazenpot” str. 43 i 44.

znacznie uzupełnić przegląd dziejów Piltyńia, w pobieżnych zaledwie zarysach tu naszkicowany.

O rozwoju panującego w kraju wyznania ciekawe podaje szczegóły ustawa kościelna z dnia 30 stycznia r. 1622, przechowana w oryginale. W jaki sposób powstała wspomniana ustawa, o tém ciekawy badacz z aktów sejmikowych stworzyć sobie może obraz wierny, który pod wielu względami da się dopełnić przez nagromadzone tu opisy wizytacyi kościelnych (obejmujących lata 1721—1777), tudzież przez zwój aktów, zawierający spory tutejszego duchowieństwa protestanckiego z miastami leżącymi w obrębie ziemi piltyńskiej.

Obraz finansów tego małego państewka przedstawić mogą poważnemu badaczowi przechowane tu obrachowania jego przychodów, rozchodów, powinności i ceł ochronnych, obejmujące lata 1709—1779.

Stosunki prawne piltyńskie malują najżywiej akta spraw sądowych od r. 1654—1774. Dotyczą one przeważnie najrozmaitszych spoliacyi i najazdów. Do bliższego obznajomienia się z prawem piltyńskim służyć mogą badaczowi: „Quellen des Curländischen Landrechts,” a mianowicie tom I, zeszyt 3, zawierający „Acta Commissionis de anno 1617, oder die so genannte piltensche Regiments-Formel” ¹⁾, tudzież tom I, zeszyt 4 tegoż dzieła; tam bowiem oddrukowano dosłownie ustawy i statuta piltyńskie, a mianowicie: „Gesetze und Statuten von 1611; Modus procedendi in liquiden Schuldsachen, von 1746, Modus procedendi in Restitutionssachen, von 1753, und Nachtrag zu den Acta Commissionis de Anno 1617” ²⁾.

Nader ciekawym jest oddział spraw kryminalnych, zwłaszcza tych, które wytoczone zostały przeciw dziedzicowi dóbr Puhnen, panu Rutenbergowi, za niestychane okrucieństwa, jakich się ten zamożny piltyńczyk względem swych włościan dopuszczał. Archiwum piltyńskie przechowało je w całości pod numerem 231. Do tegoż oddziału prawnego należą i liczne reskrypta królów polskich (od r. 1614—1782), odnoszące się wyłącznie do ówczesnego wymiaru sprawiedliwości.

Reskrypta ksiąg kurlandzkich utrzymały się w tém archiwum niemal z lat dwustu, a mianowicie od r. 1590—1794. Są one wszakże w ogóle dość podrzędного znaczenia.

Reszta zawartości archiwum piltyńskiego daje się w krótkich słowach opisać. Są to przeważnie korespondencye landratów o toku

¹⁾ Dr. Rummel „Quellen des curländischen Landrechts” Band I, Lieferung 3, „Die s. g. piltensche Regim. Formel,” (Dorpat, 1848).

²⁾ Dr. Rummel l. l. „Gesetze und Statuten von 1611 etc.” Band I, Lieferung 4, (Dorpat, 1850). Poważniejszym badaczom zalecamy także przejrzanie książki, wydanej w Mitawie w r. 1799 przez burmistrza ryskiego Jana Krzysztofa Szwarca p. t. „Vollständige Bibliothek kurländischer und piltenscher Staatsschriften von Johann Christoph Schwartz,” Mitau, 1799 in 8-vo, ogółem stronnic 497.

spraw bieżących, uniwersały królewskie do miejscowego sądu ziemskiego, czyli tak zwanego „Landgerychta,” konfirmacye na urzęda landratów, sprawozdania z opiek, spory graniczne, spory o prawo brzegowe i o rzeczy z morza wyrzucane (tak zwana „Strandgerechtigkeit,” a po francuzku „le droit d'épave”).

Akta dotyczące sporów z biskupami tworzą oddział ostatni, w którym się też przechowuje zwój spory, mieszczący w sobie słynne *pacta unio nis*, zawierane aż dwa razy z Kurlandją, najprzód w roku 1660, a następnie w 1685.

Na tém zamykając powyższy przegląd archiwum piltyńskiego, wraz z panem Schiemanem wyznać musimy, iż jest ono istotnie w materiał historyczny dostatecznie zaopatrzoném.

W tym szkicu pobieżnie kreślonym usiłowaliśmy przedewszystkiém wykazać, jak łatwo obecnie dałaby się opracować na danych źródłowych wszechstronnie obrobiona historia biskupstwa, a późniejszego powiatu piltyńskiego. Zbiory, do których cierpliwym czytelnik z nami zaglądał, są nietylko bogate w źródła pamiętnikowe, obyczajowe i obrazowe, ale mało nawet pozostawiają do życzenia w kierunku dostarczenia prawdziwego wątku politycznego drogą poszukiwań archiwalnych. Przycém należy wziąć na uwagę, że pisząc wyczerpująco o stosunkach Piltynia do Kurlandyi, znalazłoby się także niemało ciekawych dopełnień w mitawskim archiwum książęcóm, uporządkowaném ostatecznie przez tegoż niezmordowanego d-ra Schiemana ¹⁾.

W miarę gromadzenia źródeł i poszukiwań źródłowych, mnożą się zwykle pożyteczne monografie i większe historyczne całości, których też w ostatnich czasach nie brakło. Wiadomo zaś dostatecznie, że podobne monografie stanowią zwykły podwalny dziejowe i najrzetelniejsze oddają usługi przeszłości historycznej, a bodaj i przyszłości politycznej kraju.

Jako przyémione i opuszczone ustępy historii krajowej, wskazać wszakże i teraz należy czasy dawnego Piltynia. Wskazujemy więc one pracą niniejszą, w pobieżnych tylko zarysach kreśloną, badaczom przeszłości naszej, chcąc tym sposobem do studyów wyczerpujących zachęcić. Przekonani bowiem jesteśmy, że „poważne i wszechstronne badanie dziejów, jako jeden z głównych warunków świadomości społecznej, staje się z dniem każdym silniejszą potrzebą powszechną” ²⁾.

Ryga, w lipcu, 1883.

¹⁾ „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 308.

²⁾ J. Szujski: „Historji polskiej książ dwanaście,” Warszawa, 1880, str. 429.

Nowe poglądy na elektryczność ziemską

W. SIEMENS'A.

Pierwszy Saussure dowiódł, że w atmosferze ziemskiej utrzymuje się stale elektryczność dodatnia, której natężenie w ogólności tém więcej wzrasta, im wyżej się posuwamy w atmosferze. Wiele się zajmowano pytaniem, zkąd ta elektryczność pochodzi, i nie można powiedzieć, ażeby ono dotąd było rozstrzygnięte. Wiadomo, że elektryczność tworzy się zwykle przez rozdział, t. j. że powstaje spółcześnie tyleż elektryczności dodatniej co i ujemnej. Skoro tedy w powietrzu znajdujemy tylko dodatnią, to rodzi się naturalne przypuszczenie, że ujemna musi być w ziemi, a proces oddzielania się jednej od drugiej następuje w pobliżu powierzchni ziemi. Pouillet mniemał, że przyczyny tego zjawiska są: parowanie oceanów, zjawiska palenia i utleniania oraz życie roślin. Często atoli powątpiewano o wartości jego doświadczeń w tym kierunku. Nie zostało téż dotąd, co najmniej, stwierdzone przekonanie, że elektryczność w atmosferze powstaje przez tarcie powietrza o ziemię lub kulek pary wodnej o cząsteczki powietrza. Zagadkowość wzmaga się jeszcze, gdy nam przyjdzie objaśnić burze i olbrzymie ich wyładowania elektryczne.

W ostatnich czasach kilku już uczonych starało się wpływem słońca wytłómaczyć elektryczne napięcie atmosfery. Zöllner w swoim dziele o kometach, elektrycznością objaśnia szczególne zjawisko, które te ciała niebieskie przedstawiają, zbliżając się do słońca, t. j. wyskoki z jądra komety, odbiegające od słońca w stronę przeciwną. Bessel przypisywał to odpychającej sile słońca, Zöllner zaś elektryczności na téj podstawie, że przy nadzwyczajnym rozdrobnieniu materji w miąższu komet, ich powierzchnia w stosunku do masy jest niezwykle wielką: ponieważ siła elektryczna, przy jednej i téj saméj gęstości, wzrasta ze wzrostem powierzchni, a przyciągania materji ze wzrostem masy, przeto przy bardzo wielkiem rozdrobnieniu materji odpychanie elektryczne może otrzymać przewagę nad przyciąganiem mas. Zöllner jednak nie tłómaczy, zkądby pochodziła elektryczność, którą on na słońcu przyjmuje.

Ani jednego dotychczas nie znamy przykładu, w którymby tylko jednoimienna wytwarzała się elektryczność; zawsze powstają przez rozdział obiedwie, i na słońcu, wobec olbrzymich, odbywających się tam procesów chemicznych i fizycznych, rozdział ten prawdopodobnie następuje w stopniu spotęgowanym, ale obie elektryczności muszą się tam już w obrębie atmosfery słonecznej neutralizować; gdyby zaś nawet można było wyobrazić sobie w ciele słonecznym jakiś trwały rozdział obu elektryczności, to i tak na wielką odległość żadna z nich, pojedynczo wzięta, działałaby nie mogła, gdyż druga paraliżowałaby ten wpływ, działając w kierunku przeciwnym. Jeżeli takie działanie słońca z wielkiej odległości np. na ziemię ma nastąpić, to jedna z jego dwu elektryczności musi się gdzieś podziać. Oddawna już mniemano, że ciepło słoneczne powinno by w skorupie ziemskiej wywoływać zjawiska termo-elektryczne, że przeto w owej skorupie powstają prądy, które się ujawniają w zjawiskach magnetyzmu ziemskiego i w zorzy północnej. Ale i tu występowałyby zawsze jednocześnie obie elektryczności i trzebaby dopiero dowieść, jak się to dzieje, że jedna z nich zostaje odprowadzoną na bok. Jeśli jednak się uda wykazać możliwość jednostronnie elektrycznego napięcia w słońcu; to naraz usunięte zostaną wszelkie trudności wyjaśnienia elektrycznych i magnetycznych na powierzchni ziemi zjawisk.

Zmarły w listopadzie r. z. elektrolog William Siemens, postawił był w tym względzie następującą teorię:

Przestworze, w którym się kąpią gwiazdy stałe, jest wypełnione nader rozrzedzoną gazową masą, która zawiera w sobie wodor, tlen, azot, węgiel, ich związki i ciała stałe w postaci pyłu. Że przestrzeń międzyplanetarna jest wypełniona materją, tego dowodzi fakt, iż materyały spadające na ziemię, zawierają ilość gazów, zwłaszcza wodoru, azotu i tlenku węgla, która sześć razy całą ich objętość przewyższa. Nie można przypuścić, iżby meteoryt mógł pochłoniąć tyle gazu z atmosfery przez ten krótki przeciąg czasu, gdy ową atmosferę przebiegał. Zresztą najwięcej bywa w meteorytach wodoru, którego właśnie w naszej powietrznicy nie ma. Jądro komet zawiera też między innymi, według spektralno-analitycznych poszukiwań Huggins'a, węglowodory, azot, a prawdopodobnie i tlen. Ma się rozumieć, że są te gazy nadzwyczaj rozcieńczone. Gdyby kto chciał zarzucić, że skutkiem obecności tych ciał w systemie słonecznym szybkość ruchu planet musiałaby uleść zmianie, skutkiem oporu przez te ciała stawianego, to można odpowiedzieć, że w tym systemie każde ciało podlega prawom Keplera i w pobliżu planety jednakowym z nią ruchem obrót koło słońca odbywa, co wyklucza wszelki opór i wszelkie tarcie, mające bieg planet opóźnić.

W bliskości ciał niebieskich, skutkiem silniejszego przyciągania, gazy występują w gęstszym skupieniu i przenikają do ich atmosfer. Na równiku słonecznym wodor, tlen i węglowodory wznoszą się w górę i pod hyżością obrotową, która tu wynosi 2 kilometry na sekundę,

są dalej odrzucane nieprzerwanym tarczowatym prądem, poczem znowu ku polarnym okolicom słońca wracają. Oddalając się od słońca, doznają gazy nadzwyczajnego rozrzedzenia i oziębienia, zbliżając się zaś znowu, podlegają przez ściśnienie podwyższeniu temperatury i spalaniu w fotosferze. Powstaje przytém para wodna, kwas węglowy i tlenek węgla, a produkta spalania, podlegając krążeniu, zostają znowu odrzucone na zewnątrz, unosząc z sobą ciepłik, powstały przez ściśnienie i spalanie. Ciepłik ten byłby dla słońca stracony, gdyby te związki jako takie do słońca powrócić miały. Jeżeli nie ma nastąpić coś podobnego, to po drodze związek chemiczny musi się rozpaść i wytworzyć możliwość wchodzenia pierwiastków, za ich powrotem do słońca, w nowe związki i ujawnienia nowego ciepła.

Związki chemiczne mogą się rozpadać przez dysocjacją, prosto przez podwyżkę temperatury i zmniejszenie ciśnienia. Wiadomo, że para wodna przy zwykłym ciśnieniu i 2800° ciepła nie może już istnieć jako taka, że przynajmniej połowa jęj wtedy zamienia się na mieszaninę wodoru i tlenu. Wiadomo także, iż w komórkach liściowych roślin kwas węglany i woda dysocjują się w temperaturze zwyczajnej pod wpływem bezpośredniego światła słonecznego, że też samą dysocjacją wywołać może światło elektryczne, ale światło olejne lub gazowe jęj nie wywołuje. Wolno więc przypuścić, że odrzucone od słońca materye, pod niezwykle małym ciśnieniem przestworza, do którego się dostały, mogą uleść i w niskiej temperaturze od promieniowania słońca dysocjacyi, a przez to nabyć własności ponownego doznania spalania i oddania słońcu ciepła, które mu były zabrały. Tym sposobem Siemens tłumaczy kompensatę tęj ilości ciepła słonecznego, które przez promieniowanie słońca zdaje się rozpraszać bezpowrotnie.

Jeżeli teorią tę uznamy za prawdziwą, to na jęj podstawie będziemy tęj mogli zrozumieć, jakim sposobem słońce może wywierać z odległości wpływ elektryczny. Wyobraźmy sobie ciało słoneczne, jako całość odosobnioną od okrażającego go oceanu płomieni, fotosfery; jednoimienna z dwu elektryczności, powstających przy spalaniu gazów, będzie mu stale towarzyszyła, gdy drugoimienna przejdzie w przestworze razem z odrzuconemi masami. Nic nam nie przeszkadza pomyśleć, że słońce zachowuje ciągle tę jednoimienną elektryczność, a w takim razie, czy to będzie elektryczność dodatnia, czy odjemna, może wywierać odpowiedni wpływ na odległość, czyli, jak dziś się mówi, posiadać elektryczny potencyał. Za tą teorią toby przemawiało, że zdołałaby wyjaśnić jedno z najważniejszych zjawisk naszej tellurycznej natury, o wyjaśnienie którego dotąd kuszono się na próżno.

Przedewszystkiém dałoby się pojąć powstanie magnetyzmu ziemskiego, t. j. ten fakt, że każdy magnes na pewnym określonym miejscu, skoro tylko ma swobodę ruchów, przybiera pewien określony kierunek i z pewną siłą go zachowuje. Już od 800 lat jest znanem zboczenie igiełki magnesowej, t. j. jęj odchylenie poziome od kierunku

południowo-północnego, a od 300 dopiero lat znamy pochylenie igiełki, t. j. jej odchylenie przy obrocie koło osi prostopadłej do południka magnetycznego. Jakie jest natężenie magnetyzmu ziemskiego, tém zajmują się fizycy dopiero od końca zeszłego stulecia. Że magnetyzm i elektryczność pozostają z sobą w ścisłym związku, o tém dziś, wobec praktycznego spożytkowywania elektryczności, wątpić nie wolno. Odpychanie igiełki magnesowej za pomocą prądu elektrycznego, wytwarzanie magnesów za pomocą tegoż, są zasadą naszych telegrafów, a wytwarzanie elektryczności za pomocą ruchomych magnesów zasadą otrzymywania taniego światła elektrycznego. Jeżeli więc słońce wywiera na ziemię wpływ elektryczny, to musi téż wywoływać na powierzchni ziemi działania magnetyczne i pozostawałoby już tylko dowieść, za pomocą jakich się to odbywa pośrednich ogniów.

Jeżeli na słońcu istnieje nadmiar elektryczności, dajmy na to ujemnej, dlatego, że dodatnia uszła w przestworze, to na powierzchni ziemi, gorzej lub lepiej przeprowadzającej elektryczność, zbierze się dodatnia, byleby tylko ujemna mogła gdzieś ujść. Otóż ta ujemna rozproszy się téż w przestworzu, a odbędzie się to tak, jak się dzieje w miniaturze z izolowaną kulą metalową, gdy ją wystawimy pod wpływ wielkiego przewodnika, naładowanego elektrycznością. Gdy ten wielki przewodnik jest naładowany np. ujemnie, wtedy przyciąga w kuli metalowej dodatnią, a ujemną odpycha. Ponieważ niema takiego ciała, któreby było absolutnie złym przewodnikiem, ponieważ powietrze, zwłaszcza wilgotne, stosunkowo słabo się opiera przenikaniu, jeśli tak powiedzieć wolno, elektryczności, przeto elektryczność odpychana usiłuje tą drogą się rozprościć, a przyciągana zostaje. Rozpraszaniu elektryczności sprzyja na kuli ziemskiej wielkie rozrzedzenie górnych warstw powietrza, oraz podnoszące się i opadające prądy powietrza zawierającego parę wodną.

Zorze polarne są niewątpliwie prądami elektrycznymi w rozrzedzonych wyższych warstwach atmosfery, zdradzają téż zawsze swoje pojawianie się przez ruchy igiełki magnesowej i przez prądy indukcyjne w drutach telegraficznych. Za zmianami w elektrycznym naprężeniu słońca pójdą również zmiany w elektrycznej warstwie na powierzchni ziemi: elektryczność dodatnia wyswabadza się lub wiąże z ujemną, ta ostatnia nagromadza się lub rozprasza; elektryczność wyswobodzona spływa do źródła elektryczności, a związana na nowo odeń ucieka. Na granicy atmosfery uwydatnia się prąd w zorzy polarnej, a jeśli wymiana odbywa się przedewszystkiém w okolicach podbiegunowych, to ztąd może wynikać, iż silnie naelektryzowane powietrze okolic równikowych, w górze, podług swego obiegu atmosferycznego pędzi ku okolicom podbiegunowym.

Przyjmuje więc Siemens, że powierzchniowe warstwy kuli ziemskiej stają się pod wpływem słońca elektrycznymi. Ziemia się kręci koło swój osi, ten więc wpływ jest zmienny. Najwięcej elektryczność występuje wówczas, gdy słońce stoi najwyżej, a więc dla każdego pun-

ktu w samo południe, najściabięj o północy. Elektryczny więc „stan,” w jakim się ziemia znajduje, ulega ciągle zmianie w obrocie ze wschodu na zachód: powstają prądy elektryczne. Najpierw te ziemne prądy zaobserwował Lamont w Monachium i teraz badają je ze szczególną troskliwością w Berlinie. Jeżeli z kolei uwzględnimy fakt, że wszędzie, gdzie tylko się objawia elektryczność w ruchu, występują też objawy magnetyczne, że prąd elektryczny wywołuje zboczenie igiełki, to oczywiście pojmiemy, że zachodzi związek między tą wędrującą w naszej ziemi elektrycznością, a powszechnie znaną własnością igiełki magnesowej, przypisywaną t. zw. magnetyzmowi ziemskiemu. Stosownie do prawa odkrytego przez Ampère'a, że gdy obserwator stanie twarzą w kierunku prądu elektrycznego, to północny biegun igiełki, ulegającej wpływowi tego prądu, zboczy na lewo, zrozumiemy, dlaczego prądy elektryczne, krążące w łonie ziemi od wschodu ku zachodowi, skierowują północny biegun igiełki ku południowi. Należałoby jednak, co-prawda, poznać szczegółowo prądy pojedyncze, zanim się zdoła dowieść, że zboczenie igiełki jest zgodne z kierunkiem owych prądów ziemnych. Można tu jeszcze i na to się powołać, że oddawna już doświadczenie stwierdziło związek między peryodem plam na słońcu i prawidłowemi w ruchu igiełki magnesowej perturbacyami; boć przecie powstawanie plam słonecznych wiąże się ściśle z gwałtownemi wstrząśnieniami na słońcu, natury mechanicznej i chemicznej, a przeto prawdopodobnie i z genezą elektryczności. Ta ostatnia oddziaływa na elektryczną warstwę w ziemi, a więc i na igiełkę magnesową.

Dla wytłómaczenia zmienności stanu elektrycznego powietrza przyjmował już Lamont, że kula ziemską jest naładowaną ujemnie. Gdy on atoli naładowanie to usiłuje wyjaśnić termoelektrycznym wpływem ciepła słonecznego, to naraża się na ten sam zarzut, jaki można postawić twierdzeniu, że ziemia może być naładowaną elektrycznie przez tarcie. Tymczasem naładowanie takie może nastąpić tylko skutkiem oddziaływania z zewnątrz i usunięcia elektryczności wyswobodzonej przez jej rozproszenie się w przestworzu lub zneutralizowania z materią naładowaną przeciwnie, która w kierunku płaszczysty słonecznego równika odpływa. Ziemia więc tworzy tu ze słońcem aparat kondensacyjny, dwa przewodniki są przedzielone swemi atmosferami i przestworzem, wypełnioném materią nadzwyczaj rozrzedzoną, tak jak dwa metale w butelce lejdejskiej są przedzielone warstwą szkła. Na podstawie téj teoryi warstwa elektryczności, pokrywająca ziemię, doskonale objaśnić może wszystkie te drobne zjawiska elektryczne, odbywające się w naszej atmosferze, które są opisane w podręcznikach fizyki i meteorologii. Pozostaje atoli trudność objaśnienia potężnych objawów elektrycznych, które np. burzom towarzyszą.

Pod tym względem Siemens ucieka się do następujących faktów: Jeżeli do wielkiej kuli, elektrycznie naładowanej, przybliżamy jaki przedmiot, dobry przewodnik, to ulega on wpływowi kuli, która ele-

ktryczność przeciwną swój własnej w tym przedmiocie przyciąga a jednakową odpycha i gdy ta ostatnia ma dokąd odpłynąć, przedmiot ów zostaje trwale naładowany elektrycznością przeciwną téj, jaką posiada kula. Objaw to znany. Jeżeli między kulę a przedmiot wstawimy ekran odosobniony, przeprowadzający elektryczność a bardzo cienki, i umieścimy go bliżej przedmiotu niż kuli, to nie spostrzeżemy na nim śladu elektryzacji, gdyż kula i przedmiot oddziałują nań w kierunku przeciwnym i z równą w obie strony siłą. Jeśli jednak ekran dotkniemy, to się naelektryzuje przeciwnie niż przedmiot, a jeśli go z przedmiotem złączymy, to się tak samo jak on naelektryzuje i tworzy odład część przewodnika.

Chmury w naszej atmosferze są to właśnie takie ekrany. Składają się one z pęcherzyków wody, odosobnionych jeden od drugiego i stosunkowo dosyć między sobą oddalonych. Nie można ich przeto uważać za przewodniki i elektryczność ziemi nie oddziałuje na nie. Ztąd mgła i chmury lekkie nie są naelektryzowane, o czém i z doświadczenia można się przekonać. Gdy jednak ilość pary rośnie, tworzą się nowe pęcherzyki wodne i dawne powiększają swoją objętość, wtedy chmura wzrasta i gęstszą się staje, cząstki jęj zwolna przychodzą w zetknięcie, albo przynajmniej tak dalece jedna do drugiej się zbliżają, że elektryczność, choćby w jaknajstabszym napięciu, może pokonać opór międzycząstkowej przestrzeni. Następuje wtedy w chmurze rozdział elektryczny, tém wyraźniejszy, im wyżej ta chmura się wznosi. Może téż utrzymywać przewodni związek z chmurami leżącemi wyżej za pomocą wznoszących się wirów. Mamy zatem jedną warstwę chmur, lub kilka, jedna nad drugą, które za jeden przewodnik uważać można, przyjmujący tylko w dolnej smudze elektryczność przeciwną ziemskiej, w wyższych zaś warstwach jest już wszędzie jednakowa. Może się atoli zdarzyć, że ławica chmur gdzieś na jedném lub kilku miejscach wejdzie w związek z samą ziemią; wtedy ona tworzy część tego przewodnika co i powierzchnia ziemi i jego elektryczność przybiera, podczas gdy górne warstwy chmur, nie połączone z ziemią, podlegają jeszcze rozkładowi elektrycznemu. Najpospolicięj takie połączenie chmury z ziemią następuje na stokach wysokich gór, których chmury się dotykają.

Według tego poglądu elektryczność nie odgrywa żadnej roli przy tworzeniu się chmur burzonośnych; tworzą się one skutkiem ruchów powietrza w górę i na dół, skutkiem mieszania się powietrza zimnego z ciepłym i wilgotnym. Powiększając się i zgęszczając, stają się łatwo elektrycznymi albo przez oddziaływanie, przyczém błyskawice i gromy w kierunku ziemi sprawiają wyrównywanie, albo przez połączenie z ziemią, a wtedy błyskawice przebiegać muszą od chmur do chmur.

Tym sposobem również da się objaśnić powstawanie gradu. Jeżeli skutkiem lokalnego nadgrzania blizkich ziemi warstw powietrza powstanie lokalny, wznoszący prąd wraz z deszczem, to może się zda-

rzyć, iż hyżość prądu będzie większa od hyżości spadania kropli wody w powietrzu. Średniej wielkości krople deszczu spadają z hyżością 3 — 4 metrów i szybciej już spadać nie mogą, bo sprzeciwia się temu opór powietrza. Powietrze, płynące do góry, unosi z sobą swój ciepłik a przytém jest mocno rozrzedzone, ciągle więc utrzymuje popęd w górę a nawet go potęguje. Porywa więc z sobą również w górę, w zimne warstwy, owe krople wody i te tam w górze marzną w kulki gradowe. Skutkiem szybkiego powiększania objętości przy zmniejszeniu ciśnienia ku górze i skutkiem odpowiedniego rozszerzania się na boki przyspieszonego prądu powietrza, sąsiednie warstwy powietrza, względnie wilgotne i zimne, wyższe ulegają ruchom wirowym o osi poziomej, które się kombinują z wirem podnoszącym się, wirującym koło osi pionowej. Gwałtowny ruch wirowy, któremu przez to ulegnie spokojny dotąd i oziębiony ocean powietrzni, wywołuje w nim nagłe tworzenie się wody i lodu. Wiry o osiach poziomych mogą przytém dochodzić wielkich w swój średnicy rozmiarów i kulki lodowe podnosić kilkakrotnie w sferę temperatury lodowej, aż nareszcie one staną się tak ciężkie, że spadają na ziemię jako grad, lub, po przebyciu niższych, ciepłych warstw powietrza, jako zimny dęszcz.

F. S.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Zmarły historyk Henri Martin. — Dramatyczny poemat „Wercyngetoryks.” — Uroczystość akademicka: przyjęcie pana Pailleron. — „Francuzi w Polsce,” konferencja pana Jasiewicza. — Wystawa w muzeum botaniczném: ryby i zoofity odkryte na dnie morskiém. — „Historja uczonego przez nieuka.” — Postęp w zastosowaniu metod Hoëne Wrońskiego. — Obrazy pana Merwarta na wystawach w Bostonie i Nicei. — Apoteoza Gustawa Doré, przez pana Motty.

We dwa dni po wyprawieniu ostatniej kroniki naszej, umarł znany historyk Henri Martin. Dwa miesiące ubiegło od téj chwili: wieść o skonie wytrwałego pracownika okrzykiła już oddawna świat, zajmujący się rozwojem myśli ludzkiej; czujemy się przecież w obowiązku rozpocząć kronikę dzisiejszą wspomnieniem zasłużonego pisarza i gorącego patrioty, któremu ten patriotyzm nie przyćmiewał zdrowego poglądu na sprawę świata.

Zmarły historyk wiernym pozostał tak w przekonaniach jak i w uczuciach raz powziętych. Do niego nigdy, jak do tylu innych, niewyłączając samego Micheleta, nie można zastosować słów, rzeczonych niegdyś do Klowisa, a dziś zamienionych w przysłowie: „Nienawidź to coś umiłował, umiłuj to coś nienawidził!” Henri Martin pozostał do końca żarliwym przyjacielem kraju naszego: w błędzie są ci, którzy inaczej utrzymują.

Nie pora i nie miejsce dziś dla nas, zdawać sprawę z licznych prac historyka, ogarniających zarówno dzieje Francji jak i historję dalszych ludów, złączonych z Francją węzłem wspólnego rodowodu i wspólnej aryjskiej cywilizacji. Te ostatnie prace, ztąd na szczególną zasługują uwagę, że patriota francuzki, pierwszy z pomiędzy ziomeków swoich znalazł w gorącym sercu dość siły, aby ogarnąć uczuciem wszystkie jednoplemienne ludy, i odnowić myśl europejskiego patriotyzmu, myśl podjętą niegdyś przez Henryka IV i ministra Sully, a dążącą do sprężenia węzłem solidarnym, wszystkich ludów cywilizacji europejskiej.

Francja szarpana walką wewnętrzną nie łatwo może dziś zdo-

być się na bezstronne ocenienie prac znakomitego historyka. Ledwie że Henri Martin zamknął oczy, sypnęły się po dziennikach i przeglądach najsprzeczniesze sądy o nim. Podczas gdy jedni podnosili go do apoteozy, drudzy odmawiali mu wszelkich zasług, najmniejszego nawet talentu, zowiąc go prostym kompilatorem. Znalazły się przecież wśród tej wrzawy dziennikarskiej umiarkowane głosy, które spokojnie bez uniesień, z godną pochwałą trzeźwością, podniosły wielką wagę jego prac i położonych zasług. Do tych to bezstronnych krytyków należy Józef Reynach. Ktokolwiek czytał „Historią Francji” Henri Martin, czy to w wielkim zakresie, objętą w siedmnaście tomach, czy zredukowaną do pięciu tomów w popularnym wydaniu, ktokolwiek, mówię, czytał tę historią, musi przyznać że Reynachwyborne rozumiał i ocenił historyka.

Powtarzamy tu ocenienie krytyka francuzkiego, obawiamy się bowiem, aby niektórzy z czytelników naszych, wiedząc jak silne związki przyjaźni łączyły nas osobiście ze zmarłym, nie chcieli pomawiać nas o stronność w zapatrywaniu się na jego prace.

„Henri Martin, mówi Reynach, jako historyk a nawet jako kronikarz, nie stoi w pierwszym rzędzie: nie posiada głębokości filozoficznej Guizota, wytworności dyplomatycznej Migneta, wojskowej werwy Thiersa, wyobraźni poetycznej Augustyna Thierry, ani twórczej potęgi Micheleta. Ale jako patryota przewyższa tych wszystkich, którzy od siedmdziesięciu lat wzięli sobie za cel, dać poznać Francją francuzom. W historyku widzimy przedewszystkiem obywatela.

„Historyk to sumienny i przenikliwy: ogarnia szeroko swój przedmiot, pojmuje najsprzeczniesze charaktery, czerpie z najwiarogodniejszych źródeł, odtrąca pogardliwie płochą anegdotę; styl jego silny, jednolity. Dwa tomy, które poświęcił Galii przed Cezarem, epoce Merowingów, i Karolowi Wielkiemu, opowieści z wojny stuletniej i wojen religijnych, wreszcie ustępy dotyczące polityki Richelieu’go, Mazariniego i Colberta, a szczególniej świetne stronnice, na których z końcem każdego wieku, określa ruch umysłowy epoki, pozostaną dla przyszłości drogocennym pomnikiem.”

Po takim wstępie Reynach stawia wyborną paralellę Micheleta i Henri Martin. Cały ten ustęp zasługuje na uwagę, nietylko jako trafne ocenienie zmarłego, ale jako wzór wytrawnej i bezstronnej krytyki. Przytaczamy go tutaj.

„Michelet w historii swojej widzi jedynego bohatera, lud: nie jest nim naród w całości swojej, począwszy od króla aż do najprostszego robotnika, czy to na roli, czy przy warsztacie; to raczej cała ludność pracowita, złożona z uboższych ziemian i mieszczan (bourgeoisie), z literatów, z artystów, z biednego gminu; słowem, to ów lud, który przez czternaście wieków mozolił się dla monarchii, a potem dokonał reformy i przewrotu politycznego. Henri Martin więcęć zrozumiał. Demokrata i republikanin, zarówno jak Michelet, jak on miłuje lud gorąco, ale bohaterem jego dzieła nie jest tylko stan trzeci,

raczej cały naród francuzki ze wszystkiém, co w skład jego wchodziło. Michelet na każdej karcie swéj historyi, występuje jako adwokat małego przeciw wielkiemu, słabego przeciw silnemu, chłopca przeciwko panu, poddanego przeciw królowi. Henri Martin nie zapomina nigdy, że i król i pan, jakkolwiek ciężyc mogła ich władza, są także francuzami, praojcami francuzów, a jako tacy stanowią część nieodłączną puścizny narodowej: nie widzi w nich nigdy nieprzyjaciół. Pisząc historią Francyi, okazywał się zawsze dbałym o cześć wszystkich francuzów, nie chciał, aby pióro jego w przeszłości nawet dostarczyć mogło wrogom argumentów do znieważania drogiego mu kraju. Nie ośłania on nigdy prawdy, nie patrzy stronnictwo na błędy jednych, na przestępstwa drugich, sądzi surowo tak rzecz nocy bartłomiejowej, jak dragony i morderstwa teroryzmu, ale chłosta widocznie mu jest przykrą; w każdym stronnictwie umie wyższe uszanować pobudki. Radby we wszystkiem odkryć dobrą stronę, widzieć we wszystkich gotowość do ofiar dla wspólnej matki, a jeśli odśłoni kiedykolwiek jakąś usprawiedliwiającą okoliczność, nawet w ciemiezcach, znajduje w tém radość prawdziwą. Pomijając Richelieu'go, którego Michelet, idąc w ślad za Wolterem, za Alfredem de Vigny i Wiktorem Hugo, osądził w najlekomyślniejszy sposób, a którego Henri Martin mieni „największym z mężów stanu, nieporównanym kardynałem,” z niemniejszym umiarkowaniem wyraża się o Katarzynie Medyceuszce, o Henryku IV-tym, o Ludwiku XIV-tym, o koryfeuszach rewolucyi, o Napoleonie. Że Francya, równie jak wszystkie wielkie narody, miała chwile słabości i upadku, historyk musi wiedzieć o tém; ale pokorny syn nie popełni zbrodni Chama, nie będzie urągał ojcu własnemu, a jeżeli ktoś uczyni to wobec niego, zgromi surowo świętokradcę.

„Patryotyzm jego to przedewszystkiem miłość synowska, a jego historia, to piękny pomnik téj miłości. Okiem gorącego patryoty patrzy on na każdą epokę dziejową, pragnie, aby czytelnicy francuzcy wszędzie i zawsze dumni byli z Francyi, tak w wielkie dni tryumfów i chwały, jak w bolesne dni klęsk i upokorzenia. Henri Martin, jak wyznaje sam, nie odnowił żadnego okresu dziejów naszych, nie rzucił światła wgłąb odwiecznych grobowców, ale jeśli nie należy do liczby tych wybranych, co wieszczym porwani duchem, odbudowali z gruzów przeszłość, spełnił za to inne równie piękne zadanie. Jeśli inni wrócili życie zmarłym bohaterom historyi naszej, on rozgłosił w posrod tłumów dobrą wieść o ich zmartwychwstaniu i rozpowszechnił ich imiona. Porównajmy naprzykład obraz Joanny d'Arc u Micheleta, z tymże obrazem pióra Henri Martin, któryż z dwóch pisarzy lepiej spopularyzował tę świętą postać, kto po klęskach strasznego roku, uczynił z niej anioła opiekuńczego nieszczęśliwej ojczyzny. Henri Martin, nikt nie zaprzeczy temu!

„Michelet, dodaje Reynach, jakkolwiek mu głównie lud na myśli, nie jest przecież pisarzem popularnym. Ten jedynie, kto wiele czytał i rozmyślał, potrafi go zrozumieć i ocenić. To przedewszys-

tkiem artysta, częstokroć wyrafinowany, niekiedy dziwaczny a nawet chorobliwy. Henri Martin przeciwnie, zawsze jasny i prosty, mimo formy akademickiej, jaką przyjął, pisze dla prostych ludzi. To wieśniak pikardzki, zdrow na ciele i umyśle, a lud nasz lubi nadewszystko pisarzy zdrowych, nie smakuje wcale w abstrakcyach. Michelet acz realistyczny w wyrażeniach, jest abstrakcyjnym pisarzem, zbyt długo „wsluchiwał się w pieśń zaklętego ptaka.” Henri Martin to prawdziwy Gal, nieodrodny syn tój bujnej ziemi, w której leżą zagrzebane dzieje narodu, gdzie wino kipi w sercach. Świat germański nie pociągnął go swojemi legendami. Potrzeba mu przedewszystkiem ścisłej rzeczywistości, szczerzej prawdy, gorącego życia. Dla tegoż jest prawdziwym francuzem, synem prawdziwej Francyi, wniknął prosto do serca ludu, a w bibliotekach ludowych liczy jego historia popularna dwadzieścia razy tylu czytelników, co historia genialnego Micheleta. Takie to prawo zdobył sobie od wdzięczności potomnych, tego prawa przyszłość nie przepomni, wówczas nawet kiedy jego księgi zastąpi inna księga; on bowiem więcej niż ktokolwiekbądź, uczynił Francją popularną we Francyi. Po krwawych zatargach 92-go roku, nowa Francya oddarła się gwałtem od dawniej; bezdenna przepaść stanęła między nimi. Henri Martin pierwszy rzucił most na tę rozpadlinę! Na głos jego Francya zrodzona z rewolucyi, obróciła się ku Francyi Ludwika IX, Joanny d'Arc, Bajarda, Henryka IV i Tureniusza, uznała ją za matkę i jak matkę ją ukochała!” Historyk-patriota ogarnął miłością wszystkie chwile dziejowe, z każdej wysnuć umiał przedzę szczerozłotą, jakiej drudzy nie dopatrzyli, zaślepieni stronniczym uprzedzeniem. Była jednak epoka w przeszłości narodu, droższa mu nad inne, widział w niej bowiem idealny myt przewodniczący Francyi w długim paśmie ubiegłych dziejów, wskazujący przyszłą jej drogę. Tą gwiazdą przewodnią była w oczach historyka starożytna Galia, owa poetyczna Galia, przesiąkła na wskroś religijném uczuciem, pełna wiary w pozaświatową przyszłość, gotowa zawsze wytoczyć krew nie tylko w obronie własnych ognisk, lecz dla wielkiej idei, dla tryumfu prawdy i sprawiedliwości w świecie.

Z miłością Henri Martin maluje tych protoplastów ludu francuzkiego, opierając się w braku innych dowodów na świadectwach wrogich im greckich i rzymskich kronikarzy pełnemi życia barwy; kreśli obraz tych konnych zapaśników, z długim na wiatr puszczoneym włosem, strojnych w jaskrawe szaty, okutych w miedziane, połyskujące zbroje. Pokazuje nam ich, jak przebiegają świat, jak ze szczytu Alp i Pirenejów rzucają się na Europę od krańców Iberyi po brzegi Euksynu, jak rozsiewają trwożę, burzą warowne grody, palą Rzym, zalewają Grecyą i jak nieustraszeni wobec potężnych, gotowi zawsze biedz na pomoc słabemu, otaczają współczuciem nieszczęśliwych, rzucają się z zapałem na przygody, walczą więcej dla chwały niż dla łupu, szermierzą dzielnie sarkastycznym żartem, równie jak ostrą szablą, otacza-

ją niewiastę czcią i poszanowaniem, słowem, są już rycerzami nim rozkwitły czasy rycerstwa.

Wszystkie te cechy plemienne historyk uwydatnił w bohaterskiej postaci Wercyngetoryksa. Młody ten gal, wychowaniec wrogiego Rzymu, usiłujący sprządz w jedność ludy celtyckie, powściągnąć bezrząd, smutne następstwo wyuzdanj wolności, ostatni ten zapaśnik konającego społeczeństwa, który nie mogąc już ocalić Galii, krwią własną okupił ją od pomsty Cezara i wskazał jej na przyszłość nową drogę, młody ten gal, powtarzamy, to najwyższy ideał historyka, to według niego wiekiesty prototyp francuzkiego narodu.

Wielu krytyków widziało prostą fantazyą w tém zakochaniu się H. Martin'a w tym galskim druidyzmie. W ich oczach Henri Martin uchodził za dziwaka i zwano go żartobliwie Druidą. Nie fantazyja przecież kierowała badaczem, ale raczej gorący patryotyzm, a co więcej ów patryotyzm europejski, do którego podniósł się, badając dzieje Europy w najdalszych jej krańcach, poznając prawa i potrzeby aryjskich ludów, odróżniając te ludy od plemion odrębnej cywilizacji. Badania te rozszerzyły widnokrąg historyka, widział on niebezpieczeństwo grożące nie tylko Francji, lecz całej Europie; to też z miłością pokazywał narodowi swemu, jedność tradycyi nadniepeńskich i naddnieprzańskich z tradycjami starych galów. Ztąd także na kongresie archeologicznym w Bretanii r. 1869, zwracał uwagę uczonych starożytników na prace W. A. Maciejowskiego, dotyczące formacji społeczeństw europejskich.

Pod wpływem tych etnograficznych badań, Henri Martin napisał historiją popularną Francji, dzieło wyższego jeszcze znaczenia od wielkiej pracy dawniej już wykonanej. Tu pokazuje on konieczność ścisłego połączenia ludów Europy, w obec najazdów Attyli, Dżingis-hana i innych biczów Bożych. Tu patrząc z boleścią na upadek ducha w własnym narodzie, na rozprzężenie religijnych węzłów, stawia przed oczy francuzom dzielnych praojców galskich, wskazuje zbawczy środek w powrocie do dawnych tradycyi. Owe starogalskie tradycye uświęcone duchem chrześcijańskim, dają mu niechybną rękojmnię odrodzenia narodu. „Gallowie, mówi on, uznawali już w duszy ludzkiej pierwiastek, dążący do coraz wyższego doskonalenia; chrześcijaństwo rozwinęło go do najwyższej potęgi. Prąd czasu nowożytny przeniósł ten pierwiastek od jednostki do społeczeństwa, od człowieka do obywatela, do ojczyzny. Nie zginął żaden naród chrześcijański, nowożytnie bowiem narodowości posiadają niesłychaną siłę odradzania się, powstają z najgłębszego upadku, przeżyć mogą tysiące, napozór śmiertelnych pocisków.”

Tą wiarą ożywiony Henri Martin, nie upadł pod ogromem klęsk, jakie przed dwunastu laty runęły na Francją. Bez względu na podszły wiek i obowiązki senatora, brał udział we wszystkich zawiązujących się towarzystwach, przewodniczył młodzieży i słowem i przykładem, rozbudzał w niej miłość ojczyzny. Poraz ostatni przemawiał publicznie przy uczcie gimnastyków nadsekwańskich na miesiąc za ledwie

przed śmiercią. Radosném okiem patrzył na ćwiczenia młodych atletów, podziwiał ich zęczność i siłę. Głosem zdławionym łzami, z żywą, właściwą mu gestykulacją, wskazywał młodzieży ciężące na niej obowiązki. „Wszystko—rzekł—winniście poświęcić dla Francji: i czas, i złoto, i dumę osobistą, i widoki na przyszłość, i krew aż do ostatniej kropli. Siła panuje dziś nad prawem, do was należy siłę uczynić sługą prawa, i przybliżyć tryumf sprawiedliwości!”

Henri Martin nie posiadał daru wymowy, tak zwykłego Francuzom. Głos miał twardy; słowa szarpane wrywały się z jego piersi jakby iskry z ogniska. Porywał jednak słuchaczy zapałem, jaki go ożywił. Dorodna, typowa postać wyróżniała go w tłumie. Wysoki, zawsze wyprostowany, rysy miał kształtne, oko ciemne, płomieniste, cerę mocno zarumienioną, lecz złagodzoną śnieżnym włosiem. Tak wyglądając musieli starożytni druidowie galscy, których obraz kreślił z taką miłością. Nie pozował on jednak na druida: zawsze ten sam, czy to w publiczném wystąpieniu, czy w poufnej rozmowie, wszędzie i zawsze wyrażał się z ogniem, bo dusza jego pełną była szczerego zapału. Stały w uczuciach czy to dla osób, czy dla idei, nigdy im się nie przemieszczał; okoliczności zmuszały go w ostatnich czasach do milczenia, ale nie wydobyły nigdy z ust jego fałszywej doktryny, przeciwniej raz powziętym przekonaniom.

Pogrzeb Henri Martin'a odbył się wspaniale kosztem Republiki; odbył się, jak wiadomo, według protestanckiego obrzędu, stosownie do woli zmarłego. Przykrém było dla katolików to odstępstwo od kościoła; nie mogła ich zadowolić manifestacja uczuć ogólnie chrześcijańskich, wyrażona w testamencie. Niemniej przecież, owa manifestacja chrześcijańska, obrażała dzisiejszych zwierzchników Francji, prowadzących tak zawziętą i systematyczną walkę przeciw wszelkim zasadom religijnym. Mogliż znieść obojętnie protestacją historyka przeciwko ich dziełom, ci, którzy w tym właśnie roku, postanowili obchodzić pompacyjnie stuletnią pamiątkę śmierci Diderota, twórcy haniebnej formuły:

..... Et des boyaux du dernier prêtre
Serrez le cou du dernier des rois!

Rozmówiony w tradycjach galskich, Henri Martin pragnął upowszechnić je bohaterskim dramatem. Z ostatniej walki galów przeciw Cesarowi, wysnuł dramatyczny poemat p. t.: „Wercyngetoryks;“ wydał go w roku 1865. Utwór to znakomity. Jeżeli pod względem warunków scenicznych, lub też formy wiersza, surowi krytycy mogli uczynić niejake zastrzeżenia, uznali przecież wielką potęgę dramatyczną w zestawieniu dwóch idei, wstrząsających światem zarówno dziś jak i dwadzieścia wieków temu. Te dwie idee władzy i wolności, uosobił autor w dwóch bohaterach dramatu: jednym z nich Cezar, drugim Wercyngetoryks.

Przytaczamy ustęp z aktu czwartego. Galowie pokonali rzy-

mian pod Żergowią. Zwycięzki Wercyngetoryks, aby uniknąć dalszego krwi rozlewu, wysłał do Cezara gońca z różczką oliwną, pragnie sam stanąć przed nim, ułożyć warunki przyszłej zgody. Cezar powściąga gniew; z udanym spokojem przyjmuje tryumfatora, celem jego zyskać na czasie. Wyprawił on Labienusa do germanów!... Jeśli barbarzyńcy przybiegną mu w pomoc, Rzym pomści hańbę, ujarzmi Galię i rozpostrze władzę nad światem.

Dwaj wodzowie stanęli w obec siebie.

CEZAR (*do Wercyngetoryksa*).

Mów pierwszy:—ta chwila
Twój przewagi nademną daje ci prawo.
Przychodzisz tu młodzianie uwieczony sławą.
Jak dźwigniesz los, co świetną drogę ci otwiera?
To szkopuł rosnącego w chwałę bohatera!
Mów!

WERCYNGETORYKS.

Cezarze, posłuchaj z ust mych słów pokoju,
Nie była na nie pora, póki w krwawym boju
Parła Belga z Helwetą moc twa niezwalczona,
Póki kark wolny gięły celtyckie plemiona,
Ujarmione twym mieczem! Dziś, mogę rzec słowo,
Bez poniżenia gallów; Cezarze, tą mową
Nie obrażę czei twojej! Z twych pęt rozwiązani,
My dziś wolni, bez pana, nie twoi poddani,
Lecz tyś zawsze Cezarem: olbrzymie twe ramię,
Choć twardego mych ludów oporu nie złamię,
Nie mniejszy z twego czoła bije promień chwały;
Przed blaskiem twoich czynów świat korzy się cały:
Przebrnąłeś Alpy zimą, przez śnieżne zakopy,
Przez przepaście nietknięte śladem ludzkiej stopy.
Twe orły z gór jak burza spadły w kraj szeroki;
Jednym tchem wód spienione przebrnąłeś potoki,
Nasze grody skruszone twą krzepką prawicą,
Szły w gruzy... O! zaprawdę! wieki się poszczycą,
Ze wydały Cezara! Lecz wodzu, w tój dobie
Lud, olbrzymi zapaśnik, wystąpił wbrew tobie,
Bez tchu, bez sił, pogrążon już w pleśni grobowej,
On powstał i zwycięzko rozkuł swe okowy,
I z iskry, co przetrwała w głębi jego ducha,
Płomień życia i chwały silnie dziś wybucha;
To, o co się Druidów zabiegi skruszyły,
Wykonał Cezar mieczem, on wskrzesił w nim siły!
Lud sprzężon świętym węzłem, dziś, w wolności imię,
Jednego zapaśnika widzi tylko w Rzymiel

By z kraju nienawistne wypłoszyć rzymiany,
 Z płomieniem puszcza grody i kłosisiste łąny;
 Łącząc z meztwem przezorność, umieją dziś galle
 Krok za krokiem do celu podążać wytrwale;
 Pod jarzmo wodza sami poddają dziś głowy,
 By wieczną kupić wolność za przymus chwilowy!
 Tak, gallowie dziś wielcy, przyznaj sam, Cezarze!

CEZAR.

Niel... jeden gall jest wielkim na całym obszarze
 Tej ziemi; jam cię sądził zbyt pysznym: twe słowa
 Dowodzą, żeś zbyt skromny!... z tobą siła nowa
 Wstąpiła w lud twój stopą zwycięzcy zdeptany,
 Niszczysz jednym zamachem rozległe me plany,
 Twe ramię niedobitków w dzielny zastęp sprzęga,
 Groźna pod tchnieniem twojem powstaje potęga,
 Ty sam przeznaczeń gallów trzymasz w ręku szalę.

WERCYNGETORYKS.

Niel... przezemnie to raczej wszystko tworzą galle.

CEZAR.

Orla twoja żrenica nie olśniona chwałą:
 Zabezpieczyć fortunę zręcznie ci przystało!
 Niejeden w pierwszym boju wódz przemógł nad Rzymem,
 Lecz każdy legł w ostatnim zapasie z olbrzymem.
 I Annibal nad Tybrem już rozbił obozy,
 Na widok jego stoniów Rzym wstrząsł się od grozy,
 Lecz wnet zmienna fortuny zważyła się szala,
 Trucizna ocaliła wolność Annibala;
 Jugurta był też wielkim, długo losu dary
 Sprzyjały mu, aż w końcu...

WERCYNGETORYKS.

W głąb czarnej pieczary
 Rzym pograżył go żywcem!...

CEZAR.

Ostrzeżon ich kłeską,
 Umiej w porę powstrzymać prawicę zwyciężką.
 Choć mnie zwalczysz, wnet siły nadciągną tu nowe,
 Droga, com ją wydeptał przez Alpy lodowe.

WERCYNGETORYKS.

By nas przemódz dziś, Rzymu siły już nie starczą,

Wiész o tém, kiedy obcą zaskłaniasz się tarczą,
Gdy na kark nam germańskie sprowadzasz zagony.

CEZAR (*żywo*).

Wszak do tego mnie zmusił twój opór szalony!

WERCYNGETORYKS.

Wiész sam, że odtrącając galle od przymierza,
W niebezpieczne Rzym ręce swe losy powierza;
Bądź ostrożny, Cezarze... wybór to złowrogil!
Zaparte przez Maryusza otwierasz znów drogi,
Te drogi na Rzym wiodą, a ręka twa burzy
Niebacznie święte szczątki odwiecznych przedmurzy;
Dawnoż Cymbr z Teutouem wskazał wobec świata,
Że Rzym, co dziś brzemieniem narody przygniata,
Może z rąk puścić berło ciężące ludzkości!

CEZAR.

Cymbrów i Teutonów zbielały już kości,
Ich proch nasze winnice pół wieku zawała.

WERCYNGETORYKS.

Długo jednak wątpliwa chyliła się szala,
Nic zawsze Maryusze ma Rzym lub Cezary!

CEZAR.

Tak daleko ja państwa rozpostrę obszary,
Że nigdy barbarzyniec tych Alp nie posiędzie.

WERCYNGETORYKS.

I ja rzeknę: Cezarze, wstrzymaj się w zapędzie,
Jeszcze pora!... trwałemi złączmy się ogniwy,
Na głos mój galle z ręki miecz wypuszczą mściwy,
Naszych grodów w zwaliskach, naszych siół w perzynie
Przepomnim ci, Cezarze, i téj krwi, co płynie...
Wśród krajów naszych Alpy wnoszą białe szczyty,
Snać bogowie dźwignęli te olbrzymie płyty,
By pod tarczą ich kwitła nasza ziemia święta;
Na ogniwa przyjaźni przekuj twarde pęta,
Co kępują kark wolnych, różni obyczajem,
Różni duchem i mową, lecz zbratani wzajem
Węzłem odwiecznych podań, i węzłem krwi blizkiéj,
Wyniańczeni pospołu wśród jednéj kołyski,

Złączmy się w jednym celu,—przy wspólnéj pomocy
 Idźmy od Alp, od Renu, ku krańcom Północy,
 Z tych stropów barbarzyński powiew na świat zionie,
 Obie nasze ojczyzny powódź ta pochłonie,
 Gdy w działaniach, bratniemi rozdzieleni spory,
 Wylewom dzicz północnych nie stawim zapory.
 To dzieło godne ciebie! Tak, wielki Cezarze!
 Ja wierny sprzymierzeniec pójdę z tobą w parze,
 Będę żołnierzem twoim;... Północ nas przygniata.
 Zostaw gallów wolnymi, a bądź zbawcą świata!

CEZAR.

Umiesz dzielnie szermierzyć i mieczem i słowy,
 Twórczy duch cię prowadzi w tór przyszłości nowéj,
 Lecz to próżne marzenia!... pomysły zuchwałé.
 Na pewniejszój podstawie zbuduj przyszłą chwałę.
 Posłuchaj mnie Celtilu: śmiertelny rak toczy
 Serce ojczyzny twojéj!... zwróć nań pilnie oczy.
 Ten rak nie mojm dziełem, nie zleczyć go tobie!
 Kraj, przez ciebie dźwigniony, musi legnąć w grobie:
 Tyś spoił serca gallów dzielniemi ogniwy,
 Lecz cóż będzie po tobie? co mówię... ty żywy
 Ujrzysz gmach ten, zlepiony twą prawicą młodą.
 Podkopany zepsuciem, zburzony niezgodą,
 Żywotność barbarzyńska już wysycha do dna
 W sercu twych starych gallów;—pierś ich krwi nie głodna,
 A jednak, promień światła nie wyzwiał w zapasy
 Pomroku, co przystania wasze ciemne lasy,
 Dobroczynny wpływ nauk jeszcze wam nieznanym,
 To powolne, to groźne do zbytku twe plany
 Zniszczą w samym zawiązku dzieło rozpoczęte...
 Ojczyzna twoja kona!

WERCYNGETORYKS.

Waż, godło jój święte,
 On co rok z dawnéj skóry w nową się odradza.

CEZAR.

Człowiek nie ma téj siły...

WERCYNGETORYKS.

Próżno Rzym sprowadza
 Hordy dzikich germanów, próżno w pierś nam godzi,
 Gallia wszystko przetrwa!...

CEZAR.

Ona się odrodzi,
 Lecz wprzód skonać powinna... Tak, Rzym ją pochłonie.
 Rzym, który sto narodów piastuje w swém łonie;
 Wam pierwsze po latynach miejsce w nim należy,
 Wszystko wszystkim otworzylim!... u Tybru wybrzeży
 Wnet zasiądę do rady w senatorskiej todze
 Z puszczoneń na wiatr włosem dzielni gallów wodze,
 Aż zadrgnie stare Forum... O! wielka to chwila!
 Nie dawno, ja tron gallów miałem dla Celtila,
 Lecz wspanialszy dziś zaszczyt za berło mu stanie,
 Obywatelem Rzymu bądź zacny młodzianiel
 Niech gal zamrze dziś w tobie, a świat ci otworzę,
 Będziesz synem Cezara... i... następcą może.

WERCYNGETORYKS.

My przedzierzgnąć się w rzymian! (*wskazuje w niebo*).
 Tam ojcowie starzy
 Odtrąciłoby synów!

CEZAR.

Cóż się tobie marzy?
 Panuj ze mną na ziemi, niech ojce śpią w grobie!

WERCYNGETORYKS.

Ja mówię o wolności, Cezarze, gdy tobie
 W myśli tylko zdobycz i na ludy pęta!
 Sprzymierzmy się jak równi, lub walka zawzięta,
 Walka na śmierć!...

CEZAR (*z gniewem*).Certilu!... (*spokojnie*).

Przez Alp lodowiska
 Mamże wstecz wieść kohorty? Odkąd świt połyska
 Nad Rzymem—gdy Romulus w grubym wieków mroku
 Mienił gród swém imieniem, Rzym nie cofnął kroku!
 To szaleństwo!... (*wchodzi Goniec*).

GONIEC.

Cezarzel!

CEZAR.

Któż śmie?... widzę gońca!

GONIEC (*podając list*).

Jam od Labienusa...

CEZAR (*żywo*).

Daj! (*czyta*).

O zmroku słońca,

Nadciągną tu germanów niezliczone chmary,
 Jutro je pod Cezara przywiodę sztandary. (*n. s.*)
 Ha! jeszcze gwiazda moja nie straciła błysku!
 Poruszyłem ohydne te męty w bagnisku,
 Niech po mnie ślepe losy wydzwigną Rzym z toni,
 Dziś Cezar losy świata trzyma jeszcze w dłoni!

WERCYNGETORYKS.

I któż z nas dwóch w dziedziny obłądu złowieszcze
 Zapuszcza się marzeniem? Cezarze! czas jeszcze!
 Chcesz-li rzec się podboju w imię świętej sprawy.

CEZAR.

Chcesz-li pod cieniem Rzymu dokupić się sławy?
 Lub w zwaliskach ojczyzny zagrzebać twe imię?
 Bądź co bądź, rządy świata zostaną przy Rzymie!

WERCYNGETORYKS.

Nie Rzymowi ty służysz... Oh! cel twój mi znany,
 Gallów naprzód, Rzym potem chcesz okuć w kajdany.

CEZAR.

Te słowa śnać posłyszał Celtil z ust Katona.
 Tak jest, Rzym świat ogarnie w olbrzymie ramiona,
 Mocarz z poręki bogów nowy tor mu wskaże,
 Jam ramieniem Jowisza!

WERCYNGETORYKS.

Tobież to Cezarze

Wspominać bogi Rzymu? traf ślepy twym bogiem?
 Natchnione syny gallów niech w marzeniu błogiem
 Widzą niebo, dla ciebie czyż ziemia nie starczy?

CEZAR.

Dumaj więc o twych bogach... pod cieniem ich tarczy
 Zbiegaj duchem praocjów odwieczne mogiły,
 W polotach w nieskończoność trwoń młodzieńcze siły,
 Jam do ziemi téj przykuł pewniejsze nadzieje;
 Będę ją miał...

WERCYNGETORYKS.

Czczą marę, którą wiatr rozwieje,

Potem nic... garść popiołu... dźwięk sławy przebrzmiałej
Ot... wszystko...

CEZAR.

Jeśli jutro w proch zmienię się cały,
Ten proch jeszcze przez wieki zapanuje światu;
Na gmach zlepię mą ręką, promień majestatu
Spłynie z czoła mojego, i czas go nie schłonie,
Zostawiam imię światu, a na wieków łonie
Przed blaskiem jego ludzkość upadnie olśniona,
I to imię, plemionom przekażą plemiona!
Tak, w miejsce twoich bogów, ja sam będę bogiem!

WERCYNGETORYKS.

Bóg złego, bóg nicestwa, obrzucon barłogiem
Gdy padnie, kłątwą ludów obciążon do sytu
Gdy zacięży ludzkości... takiego zaszczytu
Doczekać takim bogom!... miecz w dłoni mój czysty,
Choć mnie przywalał gruzy mój ziemi ojczystej,
Moje imię zasłynie w przyszłości dalekiej,
Z miłością ludu wiekom przekażą je wieki!

CEZAR.

Lud! tłuszcza ta bezmyślna! wszak na grachów głowy
Spadło jego przekleństwo, lud bluźnić gotowy
Tym, którzy go miłują, czcić tych, co zuchwale
Depczą po jego karku,... jutro twoi galle
Przepomną cię, żeś istniał; gotowi bez sromu
Wzniesić mi ołtarz na zgłiszczach twego niegdyś domu,
Kędy grzmotem oklasków witano cię wczora!
Przyszłość do mnie należy...

WERCYNGETORYKS.

Tak, przyszłość upiora,
Któremu tron grobowe robactwo roztoczy.

CEZAR.

Ziemia moją!

WERCYNGETORYKS.

Niech ziemia spadnie ci na oczy,
Dla mnie światy bez granic i wieki bez końca,
Gdzie prawda nieśmiertelnym świeci blaskiem słońca,
Zatrą wieki na ziemi twój przemocny ślad
Tę ziemię, którą wolne dzierżyły naddziady
Wywalczą syny mieczem, oni w późne czasy
Z twym rodem będą staczać olbrzymie zapasy,

Aż synów prochu zwalczy nieśmiertelnych plemię.

CEZAR.

Synom ziemi przystało odziedziczyć ziemię.

WERCYNGETORYKS.

Zwycięztwo temu czoło promieniem otoczy,
Kto z uśmiechem na ustach patrzy śmierci w oczy.

CEZAR.

Kto chce żyć i zwyciężyć, temu losy starczą.

WERCYNGETORYKS.

Niech żelazo rozstrzygnie...

CEZAR.

Pod fortuny tarczą

Jam pewny!

WERCYNGETORYKS.

Bóg naddziadów drogę mi ukaże.

(zwracając się do wodzów galskich).

Do klanów!—niech grzmią hasła!... czekam cię Cezarze!

CEZAR.

Pomnij losy Jugurty, o gallu zuchwały!

WERCYNGERORYKS.

Pomnę, jak orły rzymskie wobec mnie pierzchały!

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kazimierz Stronczyński: Dawne Monety Polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów. Część I. Piotrków, 1883.

Pierwsza praca p. Kazimierza Stronczyńskiego o naszej numizmatyce średniowiecznej wyszła w r. 1847 p. t.: „Pieniądze Piastów,” i znalazła powszechne uznanie, jako dzieło oparte na sumiennych badaniach i wyczerpujące przedmiot, o ile wówczas był znany. Po latach blisko 40 wychodzi dzieło poświęcone temu samemu przedmiotowi, zubożone wiadomościami, których dostarczyły rok w rok po pierwszej pracy pojawiające się wykopaliska średniowiecznych monet.

Za szczęście dla nauki poczytać należy, że Opatrzność pozwoliła sędziwemu autorowi po 40 blisko latach podzielić się z nami wiadomościami zdobytymi długoletniem doświadczeniem i baczną uwagą na liczne wykopaliska ostatnich dziesiątków lat. Kiedy kto inny potrzebowałby dopiero usilną pracę zdobywać wiadomości niezbędne do badania wykopalisk i wyprowadzania z nich wniosków dla nauki: p. Stronczyński już przez wydanie swój pierwszej pracy uzdolnił się do kierowania postępem nauki i do wyrzeczenia o niej ostatniego słowa, o ile na to dotąd zebrane materiały pozwalają. Pod jego wprawną ręką powstaje dzieło odpowiadające wszelkim wymaganiom nowoczesnej nauki, stawiające naszą numizmatykę jeśli nie wyżej, to przynajmniej na równi z numizmatyką innych krajów.

Wiara w własne przekonanie, zdobyte sumiennem badaniem przedmiotu, przemawia do czytelnika z każdego słowa wyrzeczonego o innych pracownikach, dla których mimo sprzeczności zdań, p. Stronczyński ma zawsze słowo uznania, na które zwykle tylko ten się zdobywa, kto nad przedmiotem nauki zapanował do tego stopnia, że nie lęka się spotkania z zdaniem odmiennem. Tego akademickiego po-

stępowania z przeciwnikami mógłby się niejeden z młodszych pracowników uczyć od sędziwego autora.

Przystępując do pobieżnego sprawozdania z drugiego tego wydania „Pieniądzy Piastów,” muszę przedewszystkiém wyznać, że to, co wiem o naszej numizmatyce średniowiecznej, zawdzięczaam pierwszemu wydaniu „Pieniądzy Piastów;” stoję przeto do p. Stronczyńskiego w stosunku ucznia do swego profesora, i jeśli w czém nie zgadzam się z szanownym autorem, to nie myślę przez to uwłaczać jego dobrze zapracowanej zasłudze, ale ośmielam się przedstawić swe uwagi do wspólnego rozważenia.

Pierwszy tom dzieła: „Dawne Monety Polskie,” obejmuje wedle słów autora historią wykopalisk poczynionych po wypuszczeniu pierwszego wydania, czyli po r. 1847. Dawniejsze wykopaliska tylko tam są uwzględnione, gdzie autor, późniejszymi wykopaliskami pouczony, uznał potrzebę zmienić dawniejszy swój sposób widzenia. Pominiecie dawniejszych wykopalisk czyni pierwsze wydanie „Pieniądzy Piastów” i dziś jeszcze niezbędném dla każdego numizmatyka. O tój łączności z wydaniem pierwszém ostrzega autor w przypisku do str. 65, oświadczając, że ono stanowi punkt wyjścia i obecnej pracy. Podobnie pominięte w nowém wydaniu źródła historyczne, ogłoszone niegdyś w wydaniu pierwszém, a dodane tylko te, które w nowszych czasach zostały wykryte. Zapewne dogodniej byłoby mieć w nowém wydaniu całość i wykopalisk i źródeł historycznych, lecz powtórzenie to powiększyłoby objętość książki, a co za tém idzie, podniosłoby cenę jęj. Nie można się o to prawować z autorem, któremu przychodzi własnym kosztem ogłaszać swą pracę.

Wykopaliska nowsze, których historia i rozbiór zajmują cały pierwszy tom, ułożone są chronologicznie, jednakże nie podług lat ich wynalezienia, lecz podług domniemanych lat zakopania, tak, iż ten obraz wykopalisk jest zarazem obrazem przebiegu, jaki odbywało w średnich wiekach nasze mennictwo. Przez takie zestawienie wykopalisk chronologicznie określonych na mocy monet ościennych narodów, równocześnie z polskimi monetami wykopanych, układa się nasza średniowieczna numizmatyka niejako sama. Już tam o Mieszku np. samo wykopalisko wydaje świadectwo, czy go brać za Mieczysława I-go, czy za II-go, wedle tego, czy wykopalisko powierzone było ziemi przed r. 1025, czy po tym roku, a o tém rozstrzygają monety panujących ościennych jednocześnie w wykopalisku znalezione. Jest to jedyny sposób dochodzenia wieku monet nieoznaczonych latami i autor słusznie robi zarzut numizmatykom niemieckim, że aż do naszych prawie czasów nie chwyciwszy się tój metody, nie mieli racjonalnych podstaw do swęj średniowiecznej numizmatyki i powodowali się fantazją, która pewnych rezultatów dać nie może. W opisie wykopalisk wymienia autor wszystkie w każdym wykopalisku znalezione obce monety, przez co sam czytelnik jak na dłoni widzi, do jakiego okresu moneta polska, w tém otoczeniu znaleziona, może się odnosić.

Podawszy taką szczegółową wiadomość o 36 wykopaliskach (str. 10—111), przystępuje autor do rozbioru tych, które uznał za najważniejsze i szuka węzła, któryby je mógł połączyć w nieprzerwaną całość z chronologicznym następstwem. Rozbiory te są monografiami trudniejszych zagadnień numizmatycznych, monografiami, na które zdobyć się mógł tylko autor, przez lat czterdzieści z zamiłowaniem rozpatrujący się w swym przedmiocie. Opis monet Mieszka Starego beznapisowych, oraz opatrzonych napisami łacińskimi lub hebrajskimi (str. 111—172), pod względem trudności zadania zasługuje na szczególną uwagę. Wina to przedmiotu, a nie autora, jeśli nie wszystkim trudnościom podołał, a zarzuty, które poczynię temu właśnie działowi, nie czynią bynajmniej ujmy zasłudze p. Stronczyńskiego, gdyż dotyczą zarówno i poprzedników jego. Rozważenie nader zagadkowych monet guziczkowatych beznapisowych z końca XIII wieku (str. 190—202), lubo nie doprowadza jeszcze do ostatecznego wyjaśnienia ich pochodzenia, daje przecież podstawę do przyszłych badań i wskazuje drogę, która kiedyś przy pomocy dalszych wykopalisk doprowadzić może do uznania niektórych za niewątpliwie krajowe.

Następnie daje autor rzut oka na całość znanych wykopalisk i wzajemny ich względem siebie stosunek, zestawiając wykopane monety w dziewięć grup, przez co składa się całość naszej numizmatyki piastowskiej. Tutaj szczególnie widoczna pewna ręka i panowanie zupełne nad przedmiotem tak nieujęty, jak nim są monety z kilku wieków pochodzące, a latami nieoznaczone, które trzeba rozkładać na pojedyncze okresy i obdzielać nimi pojedynczych panujących.

Gdyby mi kazano w dwóch słowach wypowiedzieć, co najwyższą cenę w pracy p. Stronczyńskiego, bez wahania odpowiedziałbym, że metodę badania. Tu szukać należy głównej jego zasługi. Rezultaty bowiem badania zależą w znacznej części od wykopalisk i tego, co dziś autor uznaje za niezachwianą prawdę, jutro skutkiem światła rzuconego przez jakie nowe wykopalisko może się ujrzeć zmuszonym odstąpić. Wyniki badań autora nie są przeto niewzruszone, ale niewzruszona jest wprowadzona przez niego metoda, która nadal obowiązuje i przyszłych badaczy.

Przyznając w zupełności tę zasługę p. Stronczyńskiemu, poczynając sobie za obowiązek zrobić małe zastrzeżenie co do dwóch jego zasadniczych poglądów, a mianowicie co do wpływu wagi monet na określenie ich wieku, oraz co do myncarstwa pokątnego naszych złotych w wieku XI.

Co do pierwszego nie ulega żadnej wątpliwości, że waga monet z biegiem wieków ciągle się obniżała, i tutaj p. Stronczyński jest zupełnie w swoim prawie, jak to okazuje porównanie co do wagi monet Kędzierzawego z monetami Chrobrego. Użycie tej zasady do oznaczenia wieku monet pochodzących z jednego panowania i rozstrzygnięcie na mocy różnicy w wadze, która moneta pochodzi z początków, a która z końca panowania, jest moim zdaniem cokolwiek niebezpieczne,

gdyż w wiekach średnich nie zachowywano ścisłości w odważaniu pojedynczych sztuk, a tylko pilnowano, żeby z grzywny była wybita przepisana liczba denarów lub brakteatów, mniej się troszcząc o to, czy denary zachowują między sobą równą wagę. To też między denarami jednego typu bywa niekiedy znaczna różnica, do czterdziestu procentów dochodząca. Tak np. denar Bolesława II (Pieniądze Piastów) typ 14, h waży 0,92 grama, a drugi tegoż samego typu (14, b) tylko 0,54 grama; chociaż ten lżejszy denar nie jest bynajmniej zniszczony obiegami. To pozorne lekceważenie wagi nie przeszkadzało obiegowi pieniądzy, bo płacono wszelkie większe sumy nie na liczbę lecz na wagę, względem czego znajdujemy niekiedy wyrażone warunki np. septuaginta marcas argenti purissimi componat, w przywileju Mieczysława Starego z r. 1177. Codex Dip. Maj. Polon. I str. 29. Tak rzeczy pojmując zrozumiemy, jak w XI wieku mógł się znajdować w obiegu denar Salomona węgierskiego ważący 0,52 grama obok denara ważącego przeszło dwa razy tyle, bo 1,28 grama, a bitego w Esslingen za Henryka II. Dwa te denary znalezione w jednym garnku w Rzeszku pod Ciechanowem. Rozumie się samo przez się, że w małych wypłatach, kiedy chciano dopuścić się nadużycia, to lekceważenie wagi mogło się stać niedogodnym i uciążliwym, jak tego przykład opowiada Kadłubek pod panowaniem Mieszka Starego. To też postępowanie to piętnuje kronikarz mianem nadużycia i ucisku. Z ważeniem pieniędzy może stoją w związku ważki wybite na denarze rysowanym u p. Stronczyńskiego str. 55 nr. 8. Jak niebezpieczne jest zbytnie poleganie na wadze pojedynczych sztuk, okażą nieco niżej przy rozbiorszczygółowym monet Mieczysława Starego.

Co do pokątnego myncarstwa złotników krajowych obawiam się, że się narażę, zaczepiając ulubioną teorią autora; a jednakże uznawszy tę teorią za chybną, muszę wypowiedzieć wątpliwości niektóre. Na kilku miejscach dzieła p. Stronczyńskiego napotykamy twierdzenie że mnóstwo niezdarnych zagranicznych monet, składających zazwyczaj znaczną część naszych wykopalisk z XI wieku, bili nasi złotnicy (str. 20), oraz że w ogromnej ilości wykopywana u nas z tego czasu zagraniczna moneta nie pochodzi całkiem z obcego napływu, ale jest prosto wyrobem rękodzielni krajowych prywatnych monetaryuszów (str. 209). Pochop złotnikom do tej przeróbki dawał wedle mniemania autora zysk, jaki osiągali przekuwając cięższą monetę Mieczysława I i Bolesława Chrobrego na lżejszą niemiecką lub czeską (str. 210). Nawet pieniądze Bolesława Chrobrego, naśladujące monetę ottonowską przez pomieszczenie na niej kościółka, imienia Adelajdy a nawet imienia Ottona cesarza, jest pomysłem takiego prywatnego przemysłu (str. 46). Pan Stronczyński tak mocno jest przekonany o prawdziwości swego domysłu, że jeszcze na ostatniej stronie tego tomu wyraża wiary, że hipotezy tej i przyszłe wykopaliska nie osłabiają. Do postawienia takiej hipotezy spowodował autora nadmiar monety obcej w wykopaliskach XI mianowicie wieku, a prawie zupełny brak mone-

ty polskiej. Popierać mają tę hipotezę kawałki srebra, łamane monety i blaszki srebrne kształtu monet znajdujące się w wykopaliskach, gdyż p. Stronczyński domyśla się, że te kawałki srebra i łamańce były przygotowane przez złotników dopuszczających się przekuwania, i przez tychże złotników były wraz z monetami zakopane.

Zjawisko bicia monety obcej przez prywatnych myncarzy byłoby czemś tak nadzwyczajnym, że wypada się dobrze zastanowić, czy nadmiar monety obcej, tak dobrze wybitej jako i partackiej, nieda się w inny sposób wytłómaczyć.

Najprzód tedy nie ulega wątpliwości, że moneta krajowa w wykopaliskach pochodzących z XI wieku znajduje się w rażącej mniejszości w stosunku do monety zagranicznej w nich znajdowanej. Pan Stronczyński ten nadmiar zagranicznej monety za Chrobrego tłumaczy zwycięstwami Chrobrego, jego przyjaźnią z Ottonem III i pokrewnieństwem z Daniją. Objaśnienie to, jak sądzę, nie wystarcza, bo nie zwyciężał ani Anglików, ani Bawarów, których monety licznie wykopują się u nas, monety duńskie bardzo rzadko się ukazują, a Otton był przyjacielem do brania nie do dawania, jak przekonywa hojność Bolesława w czasie odwiedzin Ottona w Gnieźnie. Jabym sądził, że głównym powodem napływu monety obcej była zamożność kraju, ta sama zamożność, która tysiące rzymskich denarów ściągała do kraju w II i III wieku, a monet arabskich w wieku VIII i IX, bo przecież zagony polskie nie sięgały do tych krajów, a przeto pieniądze te nie mogły pochodzić ze zdobyczy.

Małeńka ilość monety polskiej w wykopaliskach z XI wieku, móm zdaniem ztąd pochodzi, że w kraju bito mało z braku myncarzów, a to co wybito, szło w czasach Chrobrego za granicę w celach politycznych. Nie mieliśmy własnych myncarzów ani w wieku XV, ani w XVI, ani w XVII, jak przekonać mogą same prawie niemieckie nazwiska między myncarzami tych wieków. Tém mniej miał ich pewnie Chrobry i jego najbliżsi następcy. Gdybyśmy w XI wieku mieli tylu złotników dokładnie (str. 209) naśladowujących monetę obcą, toby się z czasem powinien był wyrobić jakiś krajowy zmysł menniczny, czego dopatrzeć nie można do ostatnich chwil rzeczypospolitėj. Ile wiem jedynym krajowcem, który się pod pewnym względem zajmował mennictwem, był król Stanisław August, gdyż na ręcznej prasie objął dukaty z swém popiersiem. Jednakże ten jego talent myncarstwa tyle był wart, ile wszystkie inne jego talenty i naodwrot wszystkie inne jego zdolności nie lepsze podobno były od jego myncarstwa; wszystko kończyło się na zabawce. Ścisłe rzeczy biorąc nie było nawet w XI wieku wielkiej potrzeby napływającą obcą monetę przekuwać na krajową, bo pieniądz był kosmopolityczny, a kładąc bite srebro na wagę mniej dbano o stempel, jakim była opatrzona, byle tylko srebro było dobre. Jedni tylko złotnicy żydowscy mieli zręczność do bicia monety tak jak później zajmowali się niekiedy rytownictwem, bo innych ryto-

wników nie było; to téż chwilowo powierzył im bicie monety Miecysław Stary, zapewne z braku innych krajowych myncarzów.

Twierdzenie autora, że złotnicy z korzyścią dla siebie przekuwali cięższą monetę Mieczysława i Bolesława Chrobrego na lżejszą pod stemplem Ottona albo pod stemplem Sancta Colonia, nie da się także utrzymać. Kiedy się bowiem tym mniemanym wyrobom naszych złotników bliżej przypatrzymy, przekonamy się, że bili z krzywdą dla siebie. Na stosunek wagi pojedynczych monet krajowych i zagranicznych rzuca pouczające światło następujące zestawienie podane w gramach:

Misico I	waży 1,42	Sancta Colonia Otto I	1,26
takiż	" 1,14	takiż	1,54
Princeps Poloniae	" 1,63	Atelhat	1,31
Boleslaus inclitus	" 1,53	takiż	1,31
Boleslaus S. Petrus	" 1,15	takiż	1,58
Bolesław Kijowski	" 1,20	takiż	1,73

Z zestawienia pokazuje się, że żadna z porównanych zagranicznych monet, należących do rzędu jakoby podrabianych nie schodzi do wagi 1,14, 1,15, 1,20 grama, właściwiej naszej ówczesnej monecie, a złotnik traciłby, gdyby wpadł na myśl przekuwać lżejszą krajową na cięższą zagraniczną monetę. W końcu gdyby moneta krajowa służyła złotnikom za kruszec do bicia z niego zagranicznej i gdyby wykopaliska rzeczywiście zawierały zapasy myncarskie, to w tych wykopaliskach powinny się znajdować więcej monet krajowych, przeznaczonych na przekucie, co, jak wiadomo, nie ma miejsca, a te nieliczne, które się zdarzają, powinny być połamane, czego przykładów z wieku XI nie znam.

Wykopalisko łęczyckie przedstawia zdaniem p. Stronczyńskiego (str. 30) cały wyrobek jednego z takich złotników, a mianowicie naśladowane monety Bernardów saskich, Ottonów kolońskich, wyrcebskich, Henryków augsburskich, ratysbońskich i salcburskich, naśladowane monety bawarskie i anglosaksońskie. Już ta ilość rozmaitych stemplów budzi niedowierzanie, bo trudno pojąć, dla czegoby złotnik tyle sobie zadawał pracy z wyrabianiem rozlicznych stemplów, kiedy mógł przy braku wszelkiej kontroli pozostać na robieniu jednego typu, co by jego pracę niesłychanie upraszczało.

Na podobne wnioski naprowadziło p. Stronczyńskiego wykopalisko pinczowskie; mówi bowiem na str. 208: „Zapas monet w tém wykopalisku znaleziony był własnością jakiegoś myncarza, wybijającego w Polsce monetę pod stemplem obcym, według dokładnych pierwowzorów dokładnie naśladowanym.” Zdziwiać może, dla czego królowie polscy, mając w kraju złotników dokładnie zagraniczną monetę naśladowujących, nie użyli ich raczej do przekuwania monety obcej, kraj zalewającej, na monetę krajową. Okazałem już, że monety zagraniczne miały lepszą wagę od współczesnych monet krajowych; skarb panującego miałby więc nawet pewien zysk z tego prze-

bijania. Jeżeli mimo to sam mało bił, a pozwalał na obieg monety obcej, to widocznie nie miał poddostatkiem własnych myncarzów, a i złotników bijących monetę zapewne w kraju nie było.

Kościółek ottonowski i pożyczone imiona Ottona oraz Adelajdy na monetach Bolesława Chrobrego, dadzą się także wyłómaczyć bez pomocy przekuwających złotników. Jak się zdaje, pomysł rysunku do monety bywał w owych czasach na łasce samego myncarza ¹⁾.

Naśladowanie ościenniej monety było u nas i indziej w zwyczaju, bo mennictwo u nas później się rozwinęło, niż na Zachodzie. Przełożony mennicy polecił rytownikowi umieścić na monecie kościółek i dał mu na wzór monetę Ottona. Rytownik wykonał polecenie niewolniczo, pożyczając nietylko kościoła ale i imion Ottona oraz Adelajdy, a do nich dodał Bolesława. Mógł to być rytownik sprowadzony z Niemiec, który przyniósł z sobą na pół wykończony stempel do monety ottonowskiej, do którego dodał tylko imię Bolesława. W każdym razie nie można tych rzadkich denarów przyznawać pokątniej mennicy złotniczej, bo wątpię, żeby się złotnik odważył położyć imię panującego, zwłaszcza że nie potrzebował tego czynić, mając na zawołanie tuzin panujących innych krajów, przez których nie mógł być pociągany do odpowiedzialności.

Mimo to wszystkie powody przemawiające przeciwko domysłowi p. Stronczyńskiego, musielibyśmy się zgodzić na jego teorią, gdyby licho bita moneta nie była wykopywana w kraju, do którego należy na mocy swojego stempla. Tymczasem i w Niemczech nie zbywa na wykopaliskach, zawierających przeważnie niedbale robione i bite egzemplarze, i to monet pochodzących z mennic niemieckich najbliższych miejsc, w których te monety w naszych czasach wykopano. Wymienia takie wykopaliska Dannenberg na str. 34. Bito je więc w Niemczech i nie masz żadnej potrzeby obciążać niemi sumienia polskich złotników. Niepospolity znawca średniowiecznej numizmatyki, Grote, uwierzył niegdyś, że część przynajmniej niezdarzonych monet była bita w Polsce, a uwierzył na zapewnienie p. Stronczyńskiego, że w Polsce znajdowano narzędzia złotnicze razem z starożytnymi monetami ²⁾. Ponieważ p. Stronczyński w obu wydaniach swój pracy nigdzie nie wspomina o narzędziach złotniczych, znalezionych razem z monetami, przeto przypuszczam, że Grote nie dobrze zrozumiał doniesienie p. Stronczyńskiego, i nieopatrznie podzielił jego zdanie o przekuwaniu monet przez złotników. Grotego podzielenie zdania co do myncarstwa naszych złotników, na które powołuje się p. Stronczyński (str. 30) pozostanie dla nas bez znaczenia, póki nie odzyskamy tych narzędzi złotniczych, na których widocznie polegał.

¹⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen der sächsischen und frankischen Kaiserzeit. Berlin, 1876, str. 23.

²⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen, str. 35.

Znajdowane kawałki srebra i znaczna ilość monet połamanych, znajdujących w wykopaliskach, dowodzi tylko, że przy wypłatach srebro szło na wagę, przyczém zważano tylko na dobroć kruszcu, a nie troszczono się o jego formę. Chowano do ziemi monetę i to, co równą z nią wartość miało, to jest srebro wyrabiane lub w kawałkach tak, jak w wykopaliskach monet arabskich VIII i IX wieku w Gwiazdowie i Psarach przy monecie leżały naszyjniki i kolczyki srebrne.

W końcu brak nam dowodów na to, żeśmy mieli tylu złotników w wieku XI, i że ci rozsiani byli po całym kraju, bo cały kraj dostarcza wykopalisk z tych czasów, a zawsze z przymieszaną jubilerszczyzną. A nawet gdybyśmy i to uznali za podobne do prawdy, pozostanie nam największa trudność wytłómaczyć, co powodowało złotników, pokątném myncarstwem się bawiących, miejsca do zakopywania szukać na wsi i to najczęściej w polu, chociaż sami mieszkali zapewne po miastach. Nie przypominam sobie, żeby monetę piastowską wykopano kiedy w mieście, a wszystkie znane mi wykopaliska téj epoki znalezione były najczęściej w polu, rzadko w ogrodzie wiejskim. To téż uważam te wykopaliska za dorobek zamożnych kmieciów.

Te są powody, dla których nie mogę się zgodzić na teorią przekuwania pokątnego monety krajowej na zagraniczną. Wypadło mi obszerniej rozpisać się o tém, bo występuję przeciw mniemaniu autora, będącego największą naszą powagą w rzeczach archeologii krajowej, a w szczególności w dziedzinie numizmatyki średniowiecznej. Co już raz wypowiedziałem, to tutaj niech mi będzie wolno powtórzyć, że niezgodny mój sposób zapatrywania się na pochodzenie monet obcych w naszych wykopaliskach bynajmniej nie czyni ujmy zastudze p. Stronczyńskiego, który, możnaby powiedzieć, stworzył dopiero naszą średniowieczną numizmatykę. Te obce przybłądy są sprawą uboczną dla naszej numizmatyki, dla której dość obojętną jest rzeczą, czy liczne niedbale bite obce monety dla nas były bite, czy téż pierwotnie dla obiegu w własnym kraju, a do nas dostały się drogami handlowemi równocześnie z monetą obcą starannie wybitą, która podobno przeważa liczebnie nad monetami lichego wyrobu.

Tyle tylko miałem do nadmienia przeciw ogólnym poglądom autora. Pod względem szczegółów musimy polegać na doświadczeniu i sumiennosci autora, który przecież więcej się niemi zajmował, niż ktokolwiek inny z nas. Dotykam tylko tych szczegółów, na które zгодzić mi się trudno.

W drugiem wydaniu, jako przyczynek do źródeł historycznych, wydrukowane i rozebrane są dwa przywileje Bolesława księcia mazowieckiego, z lat 1286 i 1298, nadające arcybiskupom gnieźnieńskim prawo bicia monety w Łowiczu. W wyrozmieniu drugiego przywileju cokolwiek się różnię z autorem, gdyż p. Stronczyński słowa: „*Indulgemus Archiepiscopis, ut specialem monetam in castellania Loviciensis cudere et habere valeant, cum nostra Plocensi moneta in valore et pondere et in numero concurrentem, in forma nihilominus differentem,*”

tak zrozumiał (str. 6), że książę nadawszy biskupowi w pierwszym przywileju prawo bicia monety własnej, w drugim zastrzeża, aby ta moneta nietylko w wadze i próbie, ale i w powierzchowności zgodną była z monetą książęcą, że przeto przywilej nie upoważniał arcybiskupów do wyciskania na niej własnego stempla, i że ta moneta, choć przez biskupów i na ich rzecz wybijana, nosiła na sobie stempel książęcy. W słowach: „in forma nihilominus differentem,” ja dopatruję zupełnie przeciwnego znaczenia i tłumaczę przepis przywileju, że moneta arcybiskupia, bita w Łowiczu, miała w wadze i stopie zgadzać się z monetą książęcą, jednakże w stemplu różnić się od niej. Rozumienia takiego wymagają i słowa przywileju i rzecz sama. Co do słów rozstrzyga zrozumienie słówka: nihilominus; słówku temu odpowiada w naszym języku jednak, jednakże, i zastrzeżenie in forma nihilominus differentem tylko można tłumaczyć: w powierzchowności, czyli stemplu, jednakże różniącą się. Gdyby piszący przywilej chciał być wyrazić, że moneta arcybiskupia ma mieć stempel monety książęcej, byłby poprostu napisał: monetam in valore, pondere numero et forma cum nostra Plocensi concurrentem. Ale i rzecz wymaga takiego rozumienia, na jakie mnie naprowadzają słowa przywileju. Jeżeli książę Bolesław żąda zgodności monety biskupiej co do dobroci kruszcu i wagi z własną swą monetą, to widocznie zastrzegł sobie możliwość dopilnowania, aby moneta biskupia w kruszcu i wadze zgadzała się z jego monetą, a możliwości takiej nie będzie, jeżeli moneta biskupia takim samym stemplem będzie bita, jak książęca, gdyż w takim razie niepodobna będzie dowieść, że gorsza moneta wyszła z mennicy biskupiej, a nie z książęcej. Pomyłka w wyrozumieniu przepisu przywileju nie byłaby zaszła, gdybyśmy ten przepis mogli sprawdzić na egzemplarzach monet. Nie znając dotąd ani monet Bolesława mazowieckiego, ani arcybiskupich bitych w Łowiczu, nie możemy nic wiedzieć o zgodności lub różnicy stempla jednych i drugich. Nieco niżej, mówiąc o brakteatach guziczkowatych z ostatniej ćwierci wieku XII, powrócę jeszcze do tych nieznanych monet mazowieckich i łowickich.

Rozbiór wykopaliska wienieckiego i głębockiego (nie głębokieńskiego), do którego monografia ks. kanonika Polkowskiego czyniła znaczne ułatwienie, jest niezaprzeczenie najpracowitszy, ale co do hebrajskich napisów najmniej dokładny. Przyczyną tej niedokładności jest nieobeznanie p. Stronczyńskiego z językiem hebrajskim, co wręcz wyznaje na str. 165. Musiał więc polegać na czytaniu poprzedników, ci zaś, ile z niektórych pomyłek sądzić mogę, szli za zdaniem żydów nie znających naukowo swego języka. Będąc z językiem Starego Testamentu cokolwiek obeznany, winienem uzupełnić kilku poprawkami tę właśnie część pracy p. Stronczyńskiego, którą poświęcił monetom Mieczysława Starego, pokrytym hebrajskimi napisami. W skutek nieobeznania z językiem napisów i w braku umiejętnego korektora, zakradło się kilka rażąco błędów drukarskich, które wypada naprzód poprawić. A więc na str. 157 w opisie nr. 3 i 4 wydrukowano

mylnie מִשְׁבַּח (miszbah) zamiast מִשְׁכָּה, a kazano czytać Mieszko. Na str. 159 w opisie nr. 15 podano napis כְּנִיא (tanaji) zamiast כְּנִיָּה i kazano go czytać Simha. Ks. Polkowski czytał na téj monecie מִיֶּסָה (misa) a nie מִיֶּסָק (mimak) jak wydrukowano w dziele p. Stronczyńskiego. Na str. 160, w opisie nr. 17 mylnie wydrukowano trzeci wiersz legendy בֶּר יֶצְהָק (ber Icehak), chociaż wszyscy czytają dobrze בֶּן יֶצְהָק (ben Icehak). O czwartym wierszu tego napisu powiada p. Stronczyński, że ks. Polkowski czytał בֶּר (ber), chociaż u ks. Polkowskiego czytamy גֶּן (gn), co uważał za skrócone Gnedz to jest Gniezno. Ponieważ prócz błędów drukarskich i dotychczasowe objaśnienie téj monety uważam za nieuzasadnione, przeto wypowiem swe zdanie o niéj. Moneta to (str. 160 nr. 17) dość zajmująca, bo nosi napis hebrajski w czterech wierszach, a mimo to milczy o księżęciu, do którego należy. Trzy wiersze napisu całkiem wyraźnie wybite czytano dobrze: Rabi Abraham ben Icehak, lecz nie zgadzano się w przekładzie. Lelewel (u Stronczyńskiego, str. 164) opuścił przy przekładzie słowo ben, a ostatni wiersz czytał: Jak o b, aby wydobyć sentencję: J ubi tale Abraham, Isaac, Jacob i postawić monetę w związku z wypadkiem historycznym. Na ten sposób postępowania niepodobna mi się zgodzić. Gładkie odczytanie innego napisu z monety w połowie tylko ocalałéj i przełożenie go na: antequam fugam dedit, perturbavit praesidium meum (Stroncz., str. 164) budzi podejrzenie, że poważny Lelewel zabawkę sobie na ten raz urządził z monetami, z których drwił przez całe życie, mając je za wymysł nowoczesny. Pan Stronczyński pomieścił w swém dziele wywody Lelewela, dla podania zupełnego materyału, choć sam tym wywodom nie wiele wiary daje. Ja pomysły te Lelewela uważam za igraszkę dowcipu, która nas bynajmniej nie obowiązuje i nie zwalnia od ponownego badania tych zabytków mennictwa średniowiecznego.

Ks. Polkowski (str. 34) mylnie wyraz ben przełożył ojciec, uwiedziony pewnie biblijnym Abrahamem, który podobno był ojcem Izaaka. Wyraz בֶּן (ben) znaczy syn, a w napisie nie o biblijnym Abrahamie mowa, ale o żyjącym w czasach Mieszka Starego, i będącym synem Icehaka czy Izaaka. Mocno zadziwia, że pomyłki téj nie dostrzegł uczony rabin poznański dr. Bloch, któremu swe odczytanie ks. Polkowski postął być do sprawdzenia ¹⁾. Tylko czwarty wiersz napisu, zwykle z jednego lub drugiego końca uszkodzony, wywołał różnicę i w odczytaniu i w tłumaczeniu. Lelewel i Lewiński dopatrywali imienia Jakób, coby nie zupełnie zrozumiałą dawało myśl: mistrz Abraham syn Izaaka, Jakób. Ks. Polkowski (str. 34) dopatrywał tutaj wyrazu Gnedz to jest Gniezno. Niech i mnie wolno będzie wypowiedzieć swój sposób widzenia i czytania. Na jednym egzemplarzu zbioru ordynacyi Zamojskiej, znalazłem w czwartym wierszu początek wyrazu: נָגִי (nagi), na drugim koniec: יָד (id). Z zestawienia tych dwu

¹⁾ Wykopalisko Głębockie. Gniezno, 1876, str. 69

połówek powstaje cały wyraz נגיד, który opatrzony samogłoskami נגידִ czyta się nagid, a znaczy przełożony, zwierzchnik, jak się można przekonać z słowników Chiariniego lub Geseniusa ¹⁾). W ten sposób dopełniony napis tłumaczy się: mistrz Abraham, syn Izaaka, przełożony. Nie wiem, czy nie zadaleko odbiegnę od prawdy, jeśli postawię domysł, że jest to niejako medal menniczny, w którym uwieczniono pamięć przełożonego mennicy, bo tylko o takim przełożonym, jak się zdaje, tutaj myśleć można, a niepodobna przypuścić, aby wybito monetę na cześć innego przełożonego, nie mającego z mennicą żadnego związku. Przyznaje, że jest to domysł tylko, ale domysł wywołany napisem, a nie gorszy od Jakóba lelewelowskiego, lub od Gniezna, czcigodnego ks. kanonika Polkowskiego. Gdyby się mój domysł utrzymał, mielibyśmy w tym brakteacie najdawniejszy medalik menniczny. Jeśli myncarz niemiecki mógł na monecie miasta Minden przedstawić samego siebie siedzącego przy kowadlu i bijącego monetę, a drugi raz ważącego monetę, jak objaśniają numizmatycy ²⁾, chociaż takie wyobrażenie ani nie było symbolem zwierzchniego pana mennicy, ani nie mogło ułatwiać obiegu monety, czemużby podwładni myncarza za panowania Mieszka Starego nie mieli wpaść na myśl uwiecznienia swego zwierzchnika, chociaż nie w brodatym i pejsatym portrecie, to przynajmniej w napisie? Już wyżej nadmieniałem, że wedle zdania uczonych numizmatyków, rysunek monety w owych czasach zależał od pomysłu samego myncarza.

Niekoniecznie szczęśliwą pod względem rysunku i odczytania, była moneta zamieszczona pod nr. 20 na str. 160. Rysunek lepszy i dokładniejszy, choć nie zupełnie jeszcze dobry, dał p. Stronczyński w pierwszym wydaniu „Pieniądzy Piastów;“ nie mogę mieć do niego żalu z tego powodu, bo może nie miał pod ręką lepszego egzemplarza. W objaśnieniu powiedziano, że Wolański czytał נגרו (gnrs), choć właściwie na monecie jego pewnie był napis נגסד (gnsd); a dalej powiedziano, że Lelewel ten napis czytał נירי (niri), chociaż ja u Lelewela znajduję napis נסר (nsr) przełożony dziwacznie: caput nazireatus ejus. Czytanie i objaśnienie Lelewela uważam za obojętne. Napis zawiera niewątpliwie miejsce wybicia monety, Gniezno; a ponieważ ten szczegół jest dla nas pewnego znaczenia, dla tego wypada monecie dobrze się przypatrzeć. Na egzemplarzu mego zbioru, pochodzącym z wykopaliska witkowskiego, znajduje się napis כנורן; wewnątrz spółgłosek

¹⁾ Chiarini, słownik hebrajski. Warsz., 1829, str. 141. Gesenius, hebräisches Handwörterbuch. Leipzig, 1834, t. II, str. 13.

²⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen der sächsischen und fränkischen Kaiserzeit. Berlin, 1876, nr. 728, 729, 731.



pododawano kropki zapewne dla tego, że nie było na nie miejsca pod spółgłoskami, gdyż bezpośrednio pod nimi idzie rząd kropek perłkowych dla oddzielenia napisu od wyobrażeń zdobiących monetę. Kropka w pierwszej spółgłosce כ (kaf), licząc od prawej do lewej, albo oznacza stwardnienie spółgłoski, to jest że nie należy jej wymawiać miękko jak ch, lecz twardo jak k, albo też położona zamiast: (szwa) pół samogłoski dla wyrażenia, że po k następuje bezpośrednio druga spółgłoska. Tą drugą spółgłoską jest נ nun (n), a leżące w niej trzy kropki są znakiem graficznym, nazywającym się segol, a odpowiadającym krótkiej samogłosce e. Trzecia spółgłoska ס nazywa się sajin, a wymawia się jak s. Kropka obok niej, zamiast pod nią leżąca, pewnie zastępuje szwa, czyli znak, że po tej spółgłosce nie następuje samogłoska, ale inna spółgłoska. Czwarta spółgłoska ט (dalet), odpowiada naszemu d, a trzy kropki w niej, są znów krótkiem e. Ostatnia spółgłoska ן (nun końcowe), na moim egzemplarzu mniej wydatna, lecz wyraźna na rysunku p. Stronczyńskiego, odpowiada naszemu n. Połączywszy rozebrane znaki graficzne, otrzymujemy wyraz: כנען (knesden), który przypomina napis Civitas Gnesdun, na denarze Bolesława Chrobrego, a oznacza widocznie Gniezno, jako miejsce wybitcia monety. Dwa ptaki w dolnej połowie monety może mają być orłętami, coby dowodziło, że legenda o znalezioném gnieździe orlém, jako powódzie do nazwy Gniezna, już wówczas była powszechnie znana. A gdyby smok w górnej części był symbolem Krakowa, natenczas moneta mogłaby się odnosić do tych czasów, kiedy Mieczysław Stary był panem zarówno Krakowa jak i Wielkopolski.

Memu sposobowi czytania możnaby zarzucić niewłaściwość litery k na początku, oraz użycie samogłosek hebrajskich w XII wieku. Co do pierwszego, wyznaję, że brzeg mego egzemplarza jest cokolwiek starty, tak, iż tylko widzę półkole, którego nie mogłem wziąć za nic innego, jak za spółgłoskę kaf (k). Gdyby na innym egzemplarzu litera początkowa okazała się jako gimel (g), wtenczas napis wypadłby Gnesden, co jednakże wielkiej różnicy nie czyni, bo i forma Knesden nie jest niesłychaną: formy Archiepiscopus Knizenensis i Colloquium Knizenense znajduję w Kodeksie Dyplomatycznym Wielkopolskim, t. I, str. 29. Samogłosek zwykle w hebrajskich napisach monet nie znajdujemy tak, jak i dziś nie jedna książka hebrajska drukuje się bez nich. Jednakże mogły być kładzione, bo masora, czyli tradycja o opatrzeniu tekstu Starego Testamentu w samogłoski, wyrobiła się między wiekiem VIII a IX, a w końcu wieku XI już była ustalona.

Mogli przeto myncarze żydowscy w końcu XII wieku używać samogłosek na monetach Mieczysława, mianowicie w imionach polskich od dawanych literami hebrajskimi, gdzie wypadają nie pomijać samogłosek w wyrazie polskim stale się kładących. I z tego względu moneta niniejsza jest osobliwością. Waży 0,18 grama.

Bito w tym samym czasie brakteaty podobnego układu w rysunku, to jest ze smokiem w jednej połowie a ptakami w drugiej, które to brakteaty na środkowym pasie okazują zamiast Gnesden, całkiem odmienny napis. Na egzemplarzu w zbiorze ordynacyi Zamoyskiej napis ten ma formę קדחל (kadhal). Między tym napisem a poprze-



dzającym nie masz najmniejszego podobieństwa i dla tego monetę uważam za odrębny typ. Objasnienie napisu, lubo wyraźnego, jest dla mnie przynajmniej dość trudne, bo niezbyt ufam swęj znajomości hebrajszczyzny. Jeśli się więc kuszę o wytlómaczenie, to tlómaczenie moje w obec lepszych znawców hebrajskiego języka, nie rości sobie prawa do nieomyślności. Zdaje mi się, że napis jest złożony z partykuły ק i słowa חל. Słowo to znaczy pierwotnie bojaźliwie się czułgać, pełzać, następnie w ogóle bać się. Jeżeli partykułę ק weźmiemy w znaczeniu: jak, wyrażającym sposób, to napis możnaby przełożyć: jak bojaźliwie pełza. Napis tak zrozumiany, można by odnieść do smoka, a nawet dopatrywać przymówki księciu dzielnicy małopolskiej, jeżeli smok jest użyty jako symbol Krakowa i Małopolski w przeciwstawieniu do orląt, jako symbolu Gniezna i Wielkopolski. Drugie kaf stojące na końcu napisu jest dla mnie niezrozumiałe, i może jest tylko dodatkiem bez znaczenia. Nie mogę tego powiedzieć o pierwszém כ (kaf), chociaż położone na monecie odwrotnie, bo ma pod sobą samogłoskę patach, mającą znaczenie krótkiego a. Gdyby pierwsze kaf było tylko przystrojeniem napisu, nie byłoby potrzeby kłaść pod niem samogłoskę. W końcu zwracam jeszcze uwagę na pomyłkę rytownika, gdyż położył napis dogóry nogami w stosunku do smoka i orląt; brakteat ten waży 0,17 grama.

Na monecie pomieszczonej pod nr. 22 na stronie 162 dzieła pana Stronczyńskiego, przedstawiony zapewne książę walczący z dzikim zwierzem. Napis wedle zapewnienia p. Stronczyńskiego czytają niektórzy: חמלך, coby znaczyło król. Ks. Polkowski (Wykopalisko głębockie, str. 25) z dwóch egzemplarzów znalezionych w Głębokiem, złożył napis MEZICO, czego jednakże na rysunku jego (typ. 3) niepodobna wynaleźć. Dokładniejszy rysunek, lubo widocznie niezrozu-

miany, podano na tablicach ogłoszonych pod tytułem: „Stare pieniądze wykopane we wsi Wieńcu w r. 1850,“ tab. 1, nr. 15. Na egzemplarzu rzadkiej tej monety, należącym do Zbioru Ordynacji Zamoyjskiej, ja znajduję napis dwojakiem pismem, a mianowicie po stronie zwierzęcia napis hebrajski חצלה (hacalat), a po stronie księcia literę łacińską M. Słowo חצלה (hacalah) znaczy ocalenie, wybawienie ¹⁾. Na monecie jednak słowo to nie kończy się na ח (h), lecz na ת (th lub t), i zmianę tę zaszła w słowie wypada tłómaczyć. Jeżeli w hebrajskim języku zachodzi połączenie wyrazów, które my wyrażamy przez mianownik z dopełniaczem np. bojaźń Boga, to w hebrajskim języku tylko główny wyraz, jak tutaj bojaźń, ulega zmianie, a wyraz, który my kładziemy w formie dopełniacza, pozostaje niezmienny. Połączenie takie, odpowiadające naszemu mianownikowi z dopełniaczem, nazywa się w gramatyce hebrajskiej status constructus. Jeżeli w status constructus staje rzeczownik mający końcówkę żeńską הַ, natenczas końcówka ta zmienia się na הַ. Ze zmiany widocznej na monecie Mieszka okazuje się, że wyraz חצלה stoi w status constructus, czyli, że znaczy oswobodzenie, ocalenie kogoś. Drugim wyrazem niezbędnym do uzupełnienia napisu hebrajskiego stojącego w formie status Constructus, jest domysłowe imię walczącego, wyrażone pierwszą literą M, którego wypada domówić i czytać Misico. Gdyby nie następowało to dopełnienie zawierające imię ocalonego, nie mógłby wyraz hebrajski stać w status constructus, lecz stałby w prostej formie (status absolutus). Końcowa zmiana słowa hebrajskiego okazuje najdowodniej, że dwa te wyrazy napisane łączą się ze sobą ściśle; podług tego napis hebrajsko-łaciński wykładam: ocalenie, oswobodzenie Mieszka. Nie sprzeciwia się temu objaśnieniu okoliczność, że taka walka, takie narażenie się i na dawniejszych monetach się znajduje, bo łowy dawniejsze często pewnie były połączone z narażeniem życia i mogło się wydarzyć Mieszkowi Staremu to samo, co któremukolwiek z jego poprzedników. Taki sposób odczytania i wytłómaczenia przedziwnie się też zgadza z wyobrażeniem danem na monecie: przedstawiona walka a równocześnie i niebezpieczeństwo, na które się naraził walczący; moneta uwiecznia ocalenie jego. Nie widzę potrzeby wykazywać mylności dawniejszego sposobu czytania, bo sądzę tylko z tego, co widzę na monecie i staram się być wolnym od wpływu poprzednich objaśnień. Chcąc sobie zapewnić samodzielność badania, biore naprzód monetę, a postarawszy się odczytać napis na niej najdokładniej, zapisuję com na niej znalazł; następnie dopiero patrzę co inni na nią widzieli. Na monecie niniejszej wyczytałem napis חצלה i z przyjemnością przekonałem się później, że wytrawny numizmatyk br. Bernard Köhne ²⁾ w odczytaniu tylko co do jednej litery zemną się różni, gdyż wyczytał חלה, co jak słusznie nadmienić

1) Gesenius, Wörterbuch, I, kol. 513. Chiarini, Słownik, str. 51.

2) Mémoires de la société Imperial d'Archeologie. 1852, str. 431.

ks. Polkowski, żadnego nie daje sensu ¹⁾). Dla mnie zgodność Köhne-go co do końcówki ך jest wielkiej wagi, a za odczytanie litery, w której się różni z Köhnem, biorę chętnie na siebie odpowiedzialność, bo prawidłowo urobiony wyraz hebrajski daje sens dobry, a i przez wyobrażenie na monecie może być poparty. Sądzę, że wyjaśnienie napisu podane przezemnie uznane będzie za uzasadnione, a napis sam nadal nie będzie należał do rzędu zagadkowych. Pozostaje mi jeszcze dodać, że podziw budzi we mnie nauka żydów kierujących mennicą Mieczysława Starego, z którą to nauką uczoność naszych dzisiejszych żydów, mimo ogromny postęp ogólnej nowoczesnej oświaty, nie zawsze może iść w porównanie. Tamci zupełnie prawidłowo położyli status constructus, co dowodzi dobrego obeznania z prawidłami języka, a nasi nawet odczytać tego nie umieją.

Na numerze 9 str. 158 jest napis ברכות, który czytać należy: בֵּרַחֹת a wymawiać brachot, nie braha, jak podaje p. Stronczyński na tém miejscu, ani też brahut, jak czytał ks. Polkowski (Wykopalisko głębockie, str. 43, nr. 28), gdyż jestto liczba mnoga od bracha, a liczba mnoga rzeczowników żeńskich, do których należy bracha, urabia się zapomocą końców ם (ot). Domyślam się, że przy odczytaniu powodowano się zdaniem żyda, nieznającego naukowo swego języka i wymawiającego samogłoskę ם (cholem) nieprawidłowo jak nasze u, chociaż u, w hebrajskim alfabecie zwane szurek, pisze się ם. Liczby mnogiej brachut nie zna umiętna gramatyka hebrajskiego języka. Wyraz brachot znaczy błogosławieństwa, ale znaczy także dary, podarki, dobrodziejstwa.

Pochlebiam sobie, że czytanie tych kilku napisów hebrajskich udało mi się ostatecznie ustalić i wytłómaczyć. Żałuję tylko, że nie mogłem mieć pod ręką takich brakteatów, które w jedynych egzemplarzach dochowane należą do zbiorów mnie nieprzystępnych, bo w tych badaniach nie można polegać na rysunku, lecz trzeba koniecznie patrzeć na monetę samą i widzieć ile możności wszystkie okazy każdego typu, gdyż często jeden okaz uzupełnia drugi i czyni go zrozumiałym. Monety Mieczysława Starego opatrzone hebrajskimi napisami zasługują na osobną monografię, którą powinienby się zająć jaki znawca hebrajskiego języka.

Sumiennność nakazuje mi odebrać żydowskim myncarzom kilka monet przyznanych im przez p. Stronczyńskiego, albo raczej przez jego poprzedników. Wyznaję, że zamiar ten z kilku względów jest dla mnie cokolwiek drażliwym. Najprzód obawiaćbym się powinien guiewu naszych współobywateli żydowskiego pochodzenia, że im zabieram to, co im przez innych przyznane zostało. Wszakże z téj strony jeszczeby się można pocieszać nadzieją, że zamiłowanie ich skierowane do numizmatów innej epoki wybaczy mi zabór czyniony w tak odległych czasach. Dalej nie chciałyby się narazić autorowi dzieła, któ-

¹⁾ Wykopalisko głębockie, str. 25.

rego umiem cenić, lecz i tu względ na wolność myśli w rzeczach nauki uczyni może zacnego autora pobłażliwym na me wybryki, zwłaszcza że p. Stronczyński zasłaniać się może taką powagą, jaką był Lelewel w numizmatyce średnich wieków, który przed nim te napisy odczytywał. Lecz najtrudniejsza przeprawa z publicznością nie zajmującą się numizmatyką. Co sobie pomyśli czytelnik niehebrajczyk i nienuimizmatyk o nauce naszej, która pozwala na jednej i tej samej monecie czytać jednemu po łacinie, drugiemu po hebrajsku! A jednakże tak jest. Nie masz innego wyjścia, jak zapewnić szanowną czytającą publiczność, że na monetach bitych przed siedmset laty napisy te bywają tak niewyraźne, monety często tak zniszczone, że rzeczywiście niekiedy powstać może wątpliwość, jak je czytać, czy po łacinie, czy po hebrajsku. Prosimy więc albo wierzyć w nasze uczciwe chęci wykazania prawdy, albo zająć się szczerze numizmatyką, aby nam wytykać pomyłki i przekonać się, że numizmatyka średnich wieków nie jest zabawką niepróżnujących próżniaków. Pierwszym kandydatem do nawrócenia z wiary żydowskiej jest brakteat pomieszczony przez p. Stronczyńskiego na str. 160 pod numerem 19, z wyobrażeniem ptaka o długiej szyi. Nie wiem, z kąd autor wziął rysunek i nie mogę przeto sądzić, o ile rysunek oddaje wiernie napis monety. Pan Stronczyński powiada, że Lelewel widział na tej monecie napis hebrajski, dający się przetłómaczyć po łacinie: *nonne oblitum sum*¹⁾. Na egzemplarzu Ordynacyi Zamoyskiej (nr. 655 zbioru) ja znajduję szczątki łacińskiego napisu VERI, a i Karol Beier do którego ten zbiór poprzednio należał i którego bystremu oku zawierzyć można, zaznacza w katalogu, że w napisie litera V jest widoczna. Wedle tego pieniędzy należy do rzędu monet tej epoki mających w napisach nazwy cnot, bo domyślam się, że cały napis był VERITAS. Gdyby znana była podobna moneta z hebrajskim napisem, byłby to odrębny typ; ja takięj nie widziałem. Następnie doprasza się o przyjęcie na łono łaciny nr. 15 na stronie 159 dzieła p. Stronczyńskiego. Na rysunku numizmatyk zamiłowany Michał Levy z Inowrocławia znalazł napis hebrajski, który czytał: *Sinha*. Ks. Polkowski ten sam napis niby hebrajski odczytywał i znalazł, że go można oddać łacińskimi literami: Miska t. j. Mieszko. Gdzie wolno było dać tak różne dwa sposoby odczytania, tam i trzeci sposób może nie zawadzi. Ja na rysunku znajduję napis: bo DV, co uzupełniwszy możnaby wziąć za Boleslaus Dux. Stronczyński podobne bo na monecie umieszczonej pod n-rem 19 na stronie 140 uznał za pierwszą zgłoskę imienia Bolesława. Na egzemplarzu Ordynacyi Zamoyskiej (nr. 712 zbioru) monety żądającej nawrócenia nie widzę jednakże bo DV, które jest na rysunku p. Stron-

¹⁾ Nie widzę dla czegoby napis *nonne oblitum sum*, gdyby rzeczywiście znajdował się na monecie, miał być żalobliwym wykrzyknikiem (str. 167); przecież to nie jest forma bierna i nie ma znaczenia: Czyliż o nas nie zapominano.

czyńskiego, ale napis może podobniejszy do ODIIO, i wypada się zastanowić, czy monety nie wypadnie przypisać Ottonowi synowi Mieszka Starego. Wątpliwość tę rozstrzygnąć będzie mógł ten, kto będzie miał sposobność porównać wszystkie znane egzemplarze. W każdym razie hebrajskich liter na tej monecie w żaden sposób dopatrzeć nie mogę, choć alfabet hebrajski jest mi dobrze znany, i dla tego uważam wszelkie ubieganie się za hebrajszczyzną za daremną pracę. Znane mi egzemplarze ważą jeden 0,17, drugi 0,20 grama.

Trzecim kandydatem do nawrócenia jest pieniążek odrysowany pod nr. 14 na str. 159. Pan Stronczyński poszedł za zdaniem Lelewela, który wyczytał i uznał napis za hebrajski, tłumacząc go: *justitia gaudium*. Chociaż tak *justitia*, jak mianowicie *gaudium*, są bardzo pojętnymi, bo nie często widzianymi rzeczami między poczciwymi ludźmi, to jednakże ich hebrajskiej sukienki na monecie dojrzeć nie mogę. Mnie się koniecznie widzi, że czytać należy od lewej do prawej, a kto nie ma powodu należeć do mych przeciwników, temu nie trudno będzie znaleźć na rysunku litery LISC DVX, a jeśli kropkę w czwartej literze weźmie za zastępcę litery O, nawet LISCO DVX. Gdybyśmy się na ten sposób czytania mogli zgodzić, przybyłaby jedna moneta do nielicznego zastępu monet Leszka Białego. Pomieszczeniu takiemu nie stają na zawadzie wykopaliska, gdyż moneta znaleziona była w Wieńcu razem z innymi monetami Leszka. Jedna tylko waga monety (0,12 grama) mogłaby nas nabawić kłopotu, bo jest blisko o połowę niższa od wagi niektórych innych brakteatów Leszka. Lecz i ta trudność jest może tylko pozorną: naprzód już nadmieniałem, że waga monet z tego samego panowania nie ma wielkiego znaczenia, bo bywa bardzo niejednostajna; powtóre między monetami, przypisywanymi Leszkowi Białemu przez pana Stronczyńskiego, znajduje się brakteat beznapisowy, pomieszczony w dziele „Pieniądze Piastów“ jako typ 82, którego egzemplarz do mego zbioru należący, waży 0,11 grama, czyli prawie zupełnie tyle, ile brakteat, o którym mowa. Zgodziwszy się na mój sposób czytania napisu LISC DVX, ułatwilibyśmy nawet pomieszczenie tego beznapisowego brakteatu pod panowaniem Leszka, mogąc je w części poprzecć tożsamością wagi.

Zdania mego co do rozebranych napisów hebrajskich, nie narzucam nikomu, ale pozostawiam światłemu uznaniu tak szanownego autora „Monet dawnych polskich,“ jako i uznaniu szczupłego zastępu naszych numizmatyków, rozmiłowanych w średniowiekowym okresie, tym okresie, tak pełnym zagadek, a równocześnie tak obfitym we wskazówki o stosunkach, na które źródła pisane nader mało rzucają światła. Trudności, napotykanne na każdym kroku, nie powinny odstręczać od badań, ale raczej dodawać do nich bodźca, a z wolna niejedna zagadka doczeka się rozwiązania i ustąpi miejsca niezachwianej prawdzie.

Pan Stronczyński w rzeczach wątpliwych, jak np. w przyzna-

waniu monet różnych współczesnym Bolesławom okazał się badaczem nader sumiennym i ostrożnym. Jeżeli w odczytywaniu napisów hebrajskich odstąpił od tej zasady, to uczynił to na wiarę poprzednich badaczy, a rzeczą krytyki jest przy ukazaniu się tak ważnej pracy, jaką niewątpliwie jest dzieło p. Stronczyńskiego, zbadać położenie rzeczy i wypowiedzieć zdanie o domysłach, które dawno są znane, których jednakże dotąd nie wzięto pod należytą rozwagę.

Między monetami, opatrzonemi napisami hebrajskimi, są jeszcze niektóre, zasługujące czasowo na wyłączenie z rzędu zbadanych ostatecznie. Za taką uważałbym monetę, której rysunek pomieszczony pod n-rem 21 na str. 161. Ci, którzy napis na niej uznali za hebrajski, doszli każdy do całkiem innego wypadku, co dowodzi, że odczytanie nie jest wolne od wątpliwości. Na niezłym egzemplarzu tej monety ja znajduję napis zaczynający się od CCC, i wobec tego nie myślę go odczytywać, bo robiący stempel, widocznie nie zdawał sobie sprawy z tego, co miało być wybite, lecz kopiował dowolnie znaki ze wskazanej mu innej monety. Jeżeli nie wykryjemy z czasem lepszego okazu, który tej monecie służył za wzór, lepiej pozostawić jej napis wątpliwym, niż narazić się na to, że prędzej czy później odkryty lepszy egzemplarz zada kłam naszym domysłom.

Ostrzegając na początku przed przecenianiem znaczenia wagi pojedynczych monet z jednego panowania przyrzekłem przykładem poprzec to moje ostrzeżenie. Sposobność do tego dają mi dwa brakteaty z niewytkłomaczonym dotąd napisem JANEC, których rysunek pomieścił p. Stronczyński na str. 147. O brakteatach tych mówi p. Stronczyński, że plan rysunkowy zbliża je do niektórych monet Mieszka Starego, że jednakże dla znacznie niższej wagi od monet Mieszka późniejszymi być muszą. Jabył je bez wahania zaliczył do monet tego księcia, bo niektóre okoliczności przemawiają za takim ich pomieszczeniem. Plan rysunkowy, jak przyznano, zbliża je do monet tego księcia; znaleziono je w Witkowie i w Wieńcu razem z monetami Mieszka, a i waga, któraby je mogła zepchnąć do późniejszego czasu, nie przeszkadza przyznaniu ich Mieszkowi, choć względ ten uważam za mniej obowiązujący. Ale nawet ściśle się licząc z wagą nie będziemy ich mogli odmówić Mieczysławowi Staremu. Egzemplarze, oddane w rysunku na wskazanej stronicy, ważą wedle słów p. Stronczyńskiego po 2½ grana aptekarskiego. Dwa egzemplarze przezemnie ważone dały: pierwszy 0,17, drugi 0,19 grama. Waga ta między monetami Mieszka, nie jest nadzwyczajna: mój egzemplarz z napisem Knesden, pochodzący z wykopaliska witkowskiego i tamże znaleziony razem z napisowym Mieszkiem, waży 0,18 grama; tyleż waży brakteat z czterema głowami i napisem MESICO (Stroncz. str. 115 góra) oraz brakteat (tamże drugi od góry) z napisem MESICO i wyobrażeniem anioła. Po 18 centygramów ważą nieuszkodzone egzemplarze monet Mieszka z napisem MESICO (Stroncz. str. 118 pierwszy w pierwszym rzędzie) oraz dwa brakteaty z hebrajskim na-

pisem b r a c h a, jeden na str. 121 pierwszy z góry, drugi na str. 120 ostatni. A nie zbywa nawet na monetach niewątpliwie do Mieszka należących, które mniej ważą. I tak brakteaty z napisem MEZ (Stroncz. str. 115 ostatni dołem), jeden z mego zbioru 0,16, a drugi nawet tylko 0,14 grama. Tylko 0,13 grama waży brakteat mego zbioru, odpowiadający rysunkowi p. Stronczyńskiego na str. 158 nr. 9. Dla dokładności przytaczam te szczegóły, chociaż wystarczyło powołać się na samego p. Stronczyńskiego, podającego na str. 121 brakteaty Mieszka, ważące po 3, a nawet po 2½ granów, czyli właśnie tyle, ile brakteaty podane na str. 147, których p. Stronczyński tylko dla rzekomo znacznie niższej wagi nie chce przyznać Mieczysławowi Staremu ¹⁾.

Ponieważ i układ rysunku i waga tych brakteatów zgodne są z innymi brakteatami Mieszka, a brakteaty same bywają wykopywane razem z brakteatami, naznaczonymi imieniem Mieszka, przeto wypada je zaliczyć do monet tego księcia, chyba że napis IANHC zbliżony do JOHANNES co innego z czasem doradzi.

Za szczęśliwą myśl uważać należy bliższe zajęcie się zagadkami, guziczkowatymi brakteatami (str. 190—202), z których niektóre są niewątpliwie krzyżackie, ale których znaczna część zapewne nie pochodzi z mennic krzyżackich. Są między nimi takie, które na sobie noszą herby rodzin polskich, są inne, przyozdobione godłami miast naszych, inne mają na sobie pojedyncze litery. Znaczone literą B, p. Stronczyński przyznaje Bolesławowi mazowieckiemu; bratu jego, Konradowi te, na których wybita litera C, nakoniec Wacławowi mazowieckiemu, zmarłemu około r. 1340, te które mają na sobie literę V. Znajdujemy wprawdzie te same litery na podobnych guziczkowatych monetach szląckich ²⁾, lecz szląckie tak widocznie różnią się wielkością od znajdujących u nas, że naszych za szląckie nikt nie poczyta. Z przywilejów wydrukowanych na str. 5 i 6 dowiadujemy się, że Bolesław mazowiecki pod koniec wieku XII bił własną monetę w Płocku, bo do niej ma się stosować moneta arcybiskupów gnieźnieńskich bita w Łowiczu. Nie znamy dotąd ani monety płockiej Bolesława, ani łowickiej arcybiskupów. Nic pojętniejszego, jak szukać tych monet między brakteatami guziczkowatymi, na które nie mamy dotąd po-

¹⁾ Używam do ważenia monet wag francuskich gramowych, jako dokładniejszych od wag aptekarskich; centygramów tylko paryskich radzę używać, bo warszawski ich wyrób okazał się bardzo niedokładnym. Kolegów numizmatyków, mających pod ręką szacowną pracę ks. kan. Polkowskiego p. t.: „Wykopalisko Głębockie,” winienem ostrzedz, że w dziełku tém wszędzie mylnie wydrukowano gramy zamiast grany (aptekarskie), co wielką czyni różnicę, bo granów idzie przeszło 16 na jeden gram.

²⁾ Freiherr von Saurma—Jeltsch, Schlesische Münzen und Medaillen. Breslau, 1883, tabl. VII, nr. 356, 357, 366.

mieszczenia topograficznego z wyjątkiem tych, które niewątpliwie za krzyżackie lub szląskie uznać będzie trzeba.

W połowie wieku XIII mennictwo doszło wybijaniem cieniuteńkich blaszek do ostatnich granic redukcji wagi: moneta była istną plewą, kruszącą się za dotknięciem. Okazała się potrzeba zmiany urządzeń mennicznych. Nim przyjęto system groszowy, zdaje się, że próbowano zaradzić złemu przez wybijanie tych guziczkowatych pieniążków, które były mniejsze od poprzedzających brakteatów, ale za to grubsze i mniej łomkie. Na ten okres przejściowy między cienkimi brakteatami a stopą groszową przypada panowanie Bolesława i Konrada, książąt mazowieckich (r. 1262—1313). Była w tym samym czasie podobna moneta na Szlązku, była u Krzyżaków i indziej, i trudno powiedzieć, czy Krzyżacy poszli za przykładem książąt mazowieckich, czy też odwrotnie, ci książęta przyjęli sposób bicia od sąsiednich Krzyżaków i miast pruskich, w których ten rodzaj denarów widzimy jeszcze za panowania Kazimierza Jagiellończyka. W każdym razie pieniążki te, ostatni raz, ile wiem, znalezione w znacznej ilości w Ciechocinku, zasługują na staranne zbadanie, bo ryczałtowe przyznanie ich przez Vossberga Krzyżakom nie jest pewno ostatniem słowem w tej sprawie. Wytrawny znawca numizmatyki polskiej, Karol Beyer, w opisie wykopaliska wieleńskiego (str. 51) wypowiedział oczekiwanie, że większa połowa monet wieleńskich okaże się czysto polską. Poważne zdanie p. Stronczyńskiego powinnyby zachęcić numizmatyków do gorliwszego zajęcia się temi guziczkami.

Nie mam powodów nie zgodzić się na zdanie p. Stronczyńskiego, że brakteaty, mające za stempel ukoronowaną głowę, mogą pochodzić z mennicy Przemysława II, gdyż nie znamy dotąd niewątpliwój monety tego króla. To samo możnaby powiedzieć o brakteatach, mających wyobrażenie korony za piętno. Znaczone orłem mogą być monetą Przemysława, a niektóre z nich najpewniej monetą książąt mazowieckich, bo kształt orła na nich dziwnie jest podobny do orła na pieczęciach książąt mazowieckich. To też jest wielkie podobieństwo do prawdy, że taka była moneta książąt mazowieckich pod koniec XIII wieku. Główniejsze wykopaliska tych monet pochodzą z dawnych ziem tych książąt: Mąkolin pod Płockiem, Kikoł pod Lipnem, Izbica, Ciechocinek.

Mennica łowicka arcybiskupów gnieźnieńskich miała się stosować w dobroci kruszcu i wadze do monety tych książąt; zapewne i sposób bicia tej mennicy nie różnił się od mennicy płockiej. Więc i monety łowickiej między temi guziczkowatemi pieniążkami szukać należy. Wypada zwrócić uwagę na brakteaty z wyobrażeniem biskupa (Stron., nr. 180—184), z pastorałem (nr. 232), oraz z krzyżami (nr. 1—13), czy między nimi nie kryją się łowickie. Od przyszłych wykopalisk spodziewać się trzeba światła dla tego ciemnego okresu numizmatyki krajowej. Bardzo pożądane są wykopaliska z miejsc mennicznych, t. j. z samego Płocka lub Łowicza, bo takie zawierałyby pewnie przewa-

źnie, jeśli nie wyłącznie, wyroby miejscowej mennicy. Płoczcianie i łowiczanie powinni by skrętnie zbierać nawet monетки pojedynczo znajduwane przy kopaniu ogrodów, a przyczyniliby się do rozwiązania téj zagadki.

W niektórych szczegółach, podawanych w dziele p. Stronczyńskiego, możnaby wymagać większej dokładności, gdyby nie chodziło o pieniążki średniowieczne, których tak szczupłą liczbę mamy i przy których biciu tak mało przestrzegano ścisłych prawideł. O denarach Eberharda, biskupa naumburskiego, które mogły służyć za wzór nieméj monecie, obiegającej w Polsce za Kazimierza I, powiada p. Stronczyński, że są większe i z mniej wystającym brzegiem, niż monety wendyjskiego stempla. Powierzchność denarów Eberharda chyba była niejednostajna: dwa egzemplarze nabyte z ostatniego (październik, 1883) wykopaliska w Rzeczkach Wólkach pod Ciechanowem, są mniejsze od denarów znaczonych krzyżem bizantyńskim, a brzegi mają jeszcze więcej wywinięte. Brzegi wywinięte powstawały przez okuwanie ich już po wybiciu; trudno przytém wymagać jednostajnej roboty; im dłużej okuwał, tém moneta stawała się mniejszą, a brzegi jej tém więcej wywinięte.

Na denarze odrysowanym na str. 66 p. Stronczyński usiłuje wy czytać KAZ POL w zamiarze przyznania go Kazimierzowi Odnowicielowi. Karol Beyer czytał napis BOLZA, a ja wolałbym czytać BOEZLA. W każdym razie sposób czytania Beyera przemawia więcej do mego przekonania, gdyż dopatruję w tym denarze niejakiego podobieństwa z denarem Bolesława Śmiałego, bitym w Wrocławiu; strona napisowa zdaje się być naśladowana z niego: przez niezdarne przeniesienie środkowego krzyżyka i zakrzywienie dwóch ramion powstał znak podobny więcej do herbu Nałęcz, niż do trzylistu. Waży 1,16 grama.

Na str. 217 twierdzi p. Stronczyński, że napis RIXA na niektórych monetach z połowy wieku XI odpowiada zupełnie imieniu królowej Ryxy, jakiś czas rządy w téj epoce sprawującej. Twierdzenie to ma służyć za dowód, że moneta rzeczona była bita w Polsce. Moznaby się zgodzić na swojskość owych monet; ale trudno uwierzyć, że litery RIXA na monecie wyrażają imię królowej, gdyż ta we współczesnych źródłach historycznych najczęściej pisana jest Richeza (Biel.: Monum., t. I, str. 324, 325, 333, 340, 346, 351, 354), dwa razy Richza (tamże, str. 339, 349), a nigdy Rixa. Dowodów na swojskość monety trzeba nam szukać gdzieindziej, gdyż powołanie się na tak niedokładną zgodność osłabia twierdzenie, zamiast je popierać.

Niekiedy wyrażenie autora nie zupełnie jest ścisłe. Tak na str. 122 czytamy, że na jednym brakteacie obok imienia Mieszkowego widać tytuł książęcy: dux, w naszej numizmatyce niezwykły. Nie rozumiem, dla czego by tytuł dux miał być niezwykłym w numizmatyce średnich wieków, kiedy znajduje się na monetach Bolesława Chrobrego (DVX INCLITUS), Krzywoustego (DVCIS BOLESŁAI), Kazimierza Sprawiedliwego (DVX CASIM) i Bolesława Pobożnego. Tytuł ten

możnaby nazwać niezwykłym na monetach Mieczysława Starego i to może autor miał na myśli, ale nie nazwałbym go niezwykłym w naszej numizmatyce w ogóle.

Pomyłki w liczbach bywają nieuniknione, najczęściej z winy drukarza. uważny czytelnik łatwo je dostrzeże i poprawi. Jedną przynajmniej chciałbym sprostować: Panowanie Salomona, króla węgierskiego, oznaczone (str. 55, 56) latami 1058—1085. Przez daty panowania Andrzeja węgierskiego 1047—1060 na str. 50, oraz Władysława 1077—1095 na str. 64, ostrzega nas sam autor, że panowanie Salomona mylnie wyrażone. Phillips podaje w Dictionary of biographical reference, że Salomon był królem węgierskim od r. 1063—1074. Nie zwracałbym uwagi na tę pomyłkę, gdyby od lat tych nie zależało niekiedy oznaczenie czasu zakopania skarbu. Przypadkiem moneta Salomona była, ile wiem, najpóźniejsza w skarbie wykopanym świeżo w Rzeczkach Wólkach, gdzie było około 7 funtów monet wendyjsko-polskich, a między nimi wielce dla nas zajmująca moneta Sieciecha w jednym egzemplarzu. Wszakże tam, gdzie p. Stronczyński wymienia Salomona, lata jego panowania nie miały tej doniosłości, a Rzeczki wyświadczyły numizmatyce przysługę już po wydaniu dzieła.

Żałuję, że praca p. Stronczyńskiego była już ukończona, kiedy ukazało się maleńkie wykopalisko w Chruściechowie, opisane w „Przełądzie Bibliograficzno-Archeologicznym” z r. 1881, tom I, str. 82.

Wskazane pomyłki w niektórych szczegółach nie są jednakże tego znaczenia, żeby mogły ująć czynić użyteczności dzieła, które pomnikowem nazwać można. Czołem na cześć przed pracą długo oczekiwaną, którą każdy miłośnik przeszłości z zadowoleniem i z pożytkiem przeczyta, a której dalszego ciągu oczekujemy z niecierpliwością.

Józef Przyborowski.

KORESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszyte styczniowym r. b. wydrukowaliśmy w artykule prof. Teofila d-ra Ziemby p. t.: „Okres chmurny w życiu Mickiewicza,“ str. 48, wiersz poety do panny Ludwiki Mackiewiczówniej, narzeczonej Ignacego Chodźki a osobiście nieznanój Adamowi, podług zwykłego tekstu książkowego:

„Nieznajomój nieznanój, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać;
Poślam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: witam cię—bądź zdrowa na wieki!
Tak podróżny zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela:
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jój stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie!“

„Dla Ludwiki przyszłej Ch.... pisałem w godzinę przed oddaniem się z Litwy r. 1824, 8-bra 22 dn. (22-go Octobra).“

P. Fr. Dobrzański, Członek biblioteki wileńskiej, raczył nam przesłać wierną kopią oryginalnego rękopismu tego wiersza, który różni się nieco od tekstu książkowego. Nie stanowiłoby to wprawdzie dostatecznej przyczyny przywiązywania wielkiej wagi do tych wariantów, które tylko w wierszu 5-tym i 6-tym niemniej i w dedykacyi uważamy w autografie za poprawniejsze, ponieważ wiadomo powszechnie, iż Mickiewicz zmieniał i wygładzał troskliwie swoje utwory poetyczne przy każdym druku tak, że należy uważać ostatnią redakcyą za autentyczny tekst Mickiewicza. Podzielając jednak pobudki, które skłoniły p. D. do téj odezwy, komunikujemy czytelnikom „Bibl. Warsz.“ list p. Fr. D. w przekładzie polskim, oraz kopią autografu poety, zaznaczając warianty obydwóch tekstów drukiem nieco różstawionym dla widoczniejszego uwydatnienia zmian w obydwóch tekstach zachodzących.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszyte styczniowym redagowanej przez Pana „Biblioteki Warszawskiej“ w artykule o A. Mickiewiczu, przytoczono między innymi piękną wiersz jego do Ludwiki z Mackiewiczów Chodźkowej. Oryginał tego wiersza, pisany ręką samego Mickiewicza, znajduje się pomiędzy autografami wileńskiej biblioteki publicznej, złożony tam przez samą p. z Mackiewiczów Chodźkową. Zestawiwszy z oryginałem wiersze przytoczone w artykule pisma pańskiego, znalazłem pewne różnice w tekście. Mając na względzie, że każde słowo geniusza powinno być dla nas drogie; przesyłam panu kopią oryginału na wypadek i gdyby zaszła potrzeba posiadania tekstu oryginalnego tej wdzięcznej poezji.

Wilno 7 lutego r. 1884.

Z prawdziwym szacunkiem

F. Dobrzański Członek Wileńskiej Biblioteki publicznej.

Kopia autografu Mickiewicza.

„Nieznajomój dalekiój, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze daley wyrok chce rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać
Dwa wyrazy: „Witam cię! Bądź zdrowa na wieki!“
Jak przechodzię zblakany w alpejskim parowie,
Pieśnią chce nudney drodze przyczynić wesela
A kiedy niema komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz nim piosnkę przypędzi echo ku Jey stronie
Może już podróznego wieczny śnieg pochłonie.

Dla Ludwiki przyszłej Chodźkowej pisałem.

Adam Mickiewicz.

R. 1824. D. 22 Oktobra.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Luty 1884.—Komitet, zajmujący się urządzeniem zjazdu historyczno-literackiego imienia Jana Kochanowskiego, ogłosił odezwę z programem zjazdu. Myśl zwołania takiego zjazdu znalazła przychylny odgłos u wybitniejszych przedstawicieli kierunku historyczno-literackiego także poza Krakowem, oraz poparcie prezesa Akademii umiejętności.—Akademia gotowa jest dla uświetnienia zjazdu odłożyć doroczne swoje publiczne posiedzenie aż do terminu zjazdu, jeżeli, jak jest wszelka po temu nadzieja, zgodzić się raczy na tę zmianę dnia urzędowego posiedzenia dorocznego protektor Akademii, arcyksiążę Karol Ludwik.

Posiedzenia zjazdu odbywać się będą w dniu 28, 29 i 30-ym maja r. b. w salach Akademii umiejętności, po publiczném jój posiedzeniu.

Przedmiot obrad zjazdu stanowią referaty, które uczestnicy jego nadesłać raczą komitetowi, najpóźniej do dnia 1-go maja r. b. Referat, obejmujący do pół arkusza druku, podać ma wnioski dokładnie sformułowane, streścić ich zasadnicze motywa i wskazać źródła, służące do objaśnienia motywów.—Komitet zajmie się wydrukowaniem referatów i rozeszle je zawczasu uczestnikom zjazdu, ażeby do rozpraw nad nimi przygotować się mogli.—Kolej referatów, podział ich na dwie sekcye, historyczno-literacką i językową i porządek obrad uchwalili zjazd na pierwszém posiedzeniu, na podstawie wniosków, które komitet przygotowuje.

Ze zjazdem połączoną będzie wystawa druków i rycin polskich XVI-go wieku.

Komitet złożony z pp. Stanisława hr. Tarnowskiego, jako przewodniczącego, oraz Michała Bobrzyńskiego, Kazimierza Morawskiego, Stanisława Siedleckiego i Władysława Wisłockiego, oczekuje od zaproszonych uczestników zawiadomienia, czy w zjeździe przyjmą udział i czy na nim wystąpią z referatem, w ostatnim zaś razie prosi o po-

danie tytułu referatu, a następnie o nadesłanie rękopisu w najbliższym czasie.

Zapowiedziane już na zjazd referaty są następujące:

I. W sekcji historyczno-literackiej:

1) O wpływie kanonistów i legistów na literaturę polityczną XVI-go wieku, referent prof. dr. Bobrzyński;

2) Znaczenie różnic terytoryalnych i etnograficznych w dziejach literatury polskiej, mianowicie w w. XVI i XVII-ym, referent Br. Chlebowski;

3) Jak należy traktować utwory poezji ludowej w historii literatury polskiej, referent dr. Piotr Chmielowski;

4) W jaki sposób wydawać należy poetów polsko-łacińskich XVI-go wieku, referent prof. dr. Œwikliński;

5) O wpływie wielkich odkryć geograficznych na oświatę polską XVI i XVII-go wieku, referent prof. dr. Fr. Czerny.

6) Znaczenie reformy szkół Konarskiego w dziejach oświaty polskiej, referent Stanisław Krzemiński;

7) O wpływie humanizmu niemieckiego i włoskiego na oświatę polską XV i XVI-go wieku, referent prof. dr. Kazimierz Morawski;

8) Jak należy wydawać dzieła polskich poetów XVI i XVII-go wieku, referent prof. dr. Roman Pilat.

9) O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI-go wieku, referent prof. dr. Józef Rostafiński;

10) O wpływie filozofii Leibniza i Wolffa na ruch umysłowy w Polsce XVIII-go wieku, referent prof. dr. Maurycy Straszewski;

11) Stan obecny badań i prac w dziedzinie historii literatury i oświaty i nasuwające się ztąd żądania, referent prof. dr. St. Tarnowski;

12) O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych, zwłaszcza pasyjnych, nagromadzonych po bibliotekach polskich, opracowania ich i częściowego wydania, jako materiału do odтворzenia obrazu zaginionej prawie literatury dramatu kościelnego czyli misteryów, ref. dr. Stanisław Tomkowicz;

13) O podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzy polskich, referent W. Wiśtocki.

II. W sekcji językowej:

1) O potrzebie tłumaczenia starożytnych klasyków greckich i rzymskich i jak ich tłumaczyć należy, ref. prof. dr. L. Œwikliński;

2) O ileby należało uwzględnić nowsze teorie gramatyki indoeuropejskiej w pracach, poświęconych kwestyom historyczno-porównawczym języka polskiego, referent dr. Jan Hanusz;

3) Jakich zasad trzymać się należy w transkrypcji rękopiśmiennych i drukowanych zabytków polskich, od najdawniejszych czasów do XVII-go wieku, referent docent dr. Kalina;

4) Projekt jednolitego skrócenia tytułów zabytków staropolskiego języka, ref. dr. Kalina;

5) O sposobie spostrzegania i zapisywania właściwości mowy ludowej, referent prof. dr. L. Malinowski.

Listy adresować należy: „do komitetu zarządzającego zjazd, na ręce Stanisława hr. Tarnowskiego, sekretarza generalnego Akademii umiejętności w Krakowie.”

— Dwa lata temu dr. Juliusz Wiesner, profesor botaniki w uniwersytecie wiedeńskim, wydał I-szy tom swojego kursu botaniki p. t.: „Elemente der wissenschaftlichen Botanik,” obejmujący zasady anatomii i fizjologii roślin. Już wtedy nauczyciele wykładający botanikę zwrócili uwagę na ten podręcznik i przewidywali, że to będzie praca, która wyruguje z użycia słynną dotąd „Botanikę” Sachs'a. Obecnie wydany tom II-gi spełnił nadzieje: całość jest wyborna i zwracamy na to dzieło uwagę naszych profesorów-naturalistów. Wobec braku polskich podręczników naukowych w zakresie historii naturalnej z wyższym uniwersyteckim programem, powinniśmy skwapliwie się zaznajamiać z nowymi w tym rodzaju wydawnictwami za granicą, żeby się uchronić od zgubnej rutyny i zacofania. Prof. Wiesner przedewszystkiem celuje trafnym doбором materiału wykładowego, nie pomija żadnego ważniejszego, a stwierdzonego dokładnie faktu charakterystycznego i równomiernie wszystkie działy botaniki rozbiera. Organografia wiele zyskuje na tém, że autor w każdym wypadku uwzględnia zarówno morfologiczną, jak i fizjologiczną stronę rozbieganych kwestyi. Poraz też pierwszy w tym podręczniku spotykamy systematycznie rozwiniętą biologią, do której, odróżniając ją od fizjologii, Wiesner zalicza te wszystkie zjawiska, których niepodobna wyjaśnić na podstawie czysto fizyczno-chemicznych procesów. Nie wskrzesza on jednak „siły życiowej,” tylko podział ten gwoili dydaktycznym względem utrzymuje. W systematyce jawnopłciowych roślin trzyma się tych samych zasad, co Eichler w swoim „Syllabusie.” Przy końcu dzieła podaje krótką historią botaniki, a do obudwu tomów dołącza ciekawe uwagi o nowych odkryciach i kontrowersyjnych dziś w botanice kwestiach. Liczne też drzeworyty zdobią dzieło i zbogacają podręcznik. *F. S.*

— Kwestya ujednostajnienia pisowni polskiej, przedstawiona przez Redakcyą Bibl. Warsz. do rozpoznania i uporządkowania praktycznego Akademii Umiejętności w Krakowie, była w ostatnim czasie przedmiotem dyskusyi na kilku posiedzeniach komisji językowej. Rozpatrzone liczne opinie, nadesłane przez osoby zajmujące się spostrzeżeniami nad językiem polskim, obok memoriałów poważnych filologów i lingwistów, którzy rozbiegali metodologicznie i gruntownie poważne studyum prof. Kryńskiego, drukowane w Bibl. Warsz. (Sierpień, 1882 r.). Akademia, patrząc codziennie na ujawniające się u nas w każdej sprawie gotowe głosy odszczepieństwa i oceniając ważność podjętego zadania, postanowiła nie kusić się o z a d e k r e t o w a n i e prawideł, któreby wszystkim nauczycielom i wszystkim piszącym narzucić chciała; ale pragnie tylko ułożyć w pewien system tę pismo-

wnią, której się w wydawnictwach swoich trzymać zamierza. W ten sposób uniknie wprawdzie Akademia gorszącego niebezpieczeństwa głosu sztydycznego dziś *juris vetandi*; ale poda za drugiej strony list g l e i t n y samowoli powołanych i niepowołanych nowatorów, literatów i profesorów. Potrzeby szkoły, potrzeby literatury, potrzeby zachowania indywidualności dźwięków rodzimych w ich czystości domagają się ujednostajnienia tej sprawy, która nie jest kwestyą wyłącznie naukową, ale pod względem praktycznym przeważnie konwencyonalną, kwestyą powszechną z g o d y! Komisya językowa zajęta się w ostatnim czasie bardzo gorliwie ułożeniem systemu pisowni dla swoich wydawnictw i przysłała w kilku ważnych punktach do ostatecznych postanowień, zapadłych za zgodą wszystkich członków, lub też tylko większością głosów. Postanowiono mianowicie:

1. Przy głoskach *b, m, p, w*, w zakończeniu wyrazów, nie używać kréski miękczącej.
2. Pisać w trybach bezokolicznych, według Małeckiego i Kryńskiego: *móc, strzec, bić*, zamiast: *módz, strzedz, biedz*.
3. Nie używać na początku wyrazów, ani po samogłoskach kombinacji *ji*, lecz saméj samogłoski *i*.
4. Wyrazy przyswojone, zakończone na *ia, ya*, pisać: *opinia, historia*, a więc zgodnie z wnioskami Deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.
5. Końcówek *ski i stwo* nie zamieniać nigdzie na *zki i ztvo*.

Zasadniczą i najgorętszą dyskusyą wywołał czwarty z powyższych punktów, roznamiętniający już od kilkudziesięciu lat naszych lingwistów, gramatyków i glosofilów. Na posiedzeniu komisyi, odbytém dnia 23 grudnia r. z., odrzucono wniosek przyjęcia pisowni: *opinja, historia* i wniosek pisania: *opiniya, historyja*, a przyjęto 5-ciu głosami przeciw 3-em wniosek pośredniczący pozostania przy pisowni: *opinia, historia*. Za wnioskiem tym głosowali członkowie komisyi: dr. J. Hanusz, prof. dr. Lucyan Malinowski, p. Mieczysław Pawlikowski, ks. kanonik Polkowski i dr. Władysław Wisłocki. Ktoby chciał poznać szczegółowo widnokrąg pojęć, które się z sobą ścierały przy tej najdrażliwszej kwestyi, znajdzie dokładną informacyą w opinii prezesa Akademii Umiejętności, J. Dr. Mejera, który ze względów fizyologicznych łączy się ze zdaniem mniejszości. Tytuł broszury: „O pisowni *ija, yja*, w wyrazach przyswojonych.“ Uwagi d-ra Józefa Majera, ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielienia pomiędzy Członków Akademii. Kraków, 1884, str. 18. O kwestyi tej pomówimy szczegółowo w zeszycie kwietniowym przy rozbiorze broszury sz. prezesa Akademii.

— Ostatnie chwile Mickiewicza. Korespondent „Kur. Pozn.“ z Konstantynopola, przy sposobności ogólnego zainteresowania się projektem pomnika, który ma być wzniesiony księciu naszych poetów, zebrał w miejscu następujące mało znane szczegóły o pobycie i zgonie Mickiewicza w Carogrodzie: „Adam Mickiewicz, po przyjeździe

z Francyi, zabawiwszy tu czas niejaki, wyjechał do obozu tak zwanych kozaków, w bliskości Warny, gdzie Sadyk Czajkowski był dowódcą. Wróciwszy do Carogrodu, zamieszkał na przedmieściu Janiczarsze, blisko kościoła greckiego św. Konstantyna, u pewnej familii polskiej. Tu go przyjaciele często odwiedzali i pocieszali w jego smutku, który duszę jego czasami ogarniał. Pewnego dnia, zjadłszy obiad, nagle zachorował. Służący, Jan Łopaciński, ziomek jego, zaraz pobiegł po lekarzy, a nakoniec i po księdza, także ziomka, M. Ławrynowicza. Wszyscy się gorąco zajęli chorym, ale daremne były wszelkie wysilenia. Mickiewicz, wypowiedawszy się u ks. Ławrynowicza i przyjąwszy ostatnie Olejem św. namaszczenie, dnia 6 listopada r. 1855, w największych boleściach życie zakończył. Ztąd rozeszła się pogłoska, że został otruty. Inni opowiadali, że to była cholera. Bądź co bądź, jego nagła śmierć wszystkich przerażała i zasmucała. Zwłoki zmarłego odwieziono do Francyi. Domek, w którym nasz poeta mieszkał, został podczas wielkiego pożaru w r. 1870 w perzynę obrócony i nawet śladu po nim nie pozostało. Dwa lata temu, wdzięczny rodak nasz, Józef Ratyński, za wskazówką starszych ziomeków, jak Jana Górczyńskiego i innych, odszukał to miejsce, zakupił je i wystawił tam domek murowany na pamiątkę sławnego poety. W przeszłym roku kilku obywateli z kraju, dowiedziawszy się o tém, przesłało na ręce p. Ratyńskiego cokolwiek pieniędzy, aby w ścianie domku umieszczono tablicę marmurową z napisem dnia i roku śmierci Adama Mickiewicza. P. Ratyński zajął się szczerze tą pracą i wkrótce śliczną płytą marmurową ów domek ozdobił tak, iż obecnie każdy podróżny rodak łatwo odnajdzie miejsce śmierci naszego poety. Dziś nazwano tę ulicę „Adam Sokak.“

— Z czwartego już z kolei, dorocznego sprawozdania tutejszej Szkoły Rzemiosł, przy ulicy Jasnej, która jest jedyną tego rodzaju instytucją w Warszawie, dowiadujemy się rzeczy nie wesołych wcale. Tak np., któżby przypuszczał, że w mieście liczącem zgórą 400,000 mieszkańców, a posiadającym samych rzemieślników kilkanaście tysięcy—do takiej, jedyniej Szkoły Rzemiosł, uczęszczało w roku zeszłym tylko 114 uczniów, z których 10-u tylko ukończyło kursa wykładów? W tej garstce uczniów, rozdzielonych na trzy klasy, największą liczbę, wynoszącą przeszło 30%, stanowią ślusarze, a reszta dopiero przypada na inne rzemiosła. Ciekawym wielce, a nawet pouczającym, jest szczegół, iż, jak się ze sprawozdania okazuje, do Szkoły Rzemiosł uczęszczało najwięcej dzieci urzędników (33), oraz obywateli ziemskich i miejskich (23). Stan kupiecki dostarczył ich tylko 17, a rzemieślnicy... tylko o jednego więcej (18)! Sferę kapitalistów reprezentowało w tej szkole dwóch uczniów. Pomiędzy tą całą liczbą uczniów, część główna, bo aż 103, należy do religii katolickiej—na inne więc wyznania przypada ich tylko „jedenastu.“ Pokazuje się widocznie, że mieszkańcy Warszawy wyznania mojżeszowego, którzy stanowią 1/3 część całej ludności — nie posyłają wcale dzieci swoich na naukę rzemiosł. Snać uważają ten zawód za zbyt pracowity i za-

mało „łatwego“ przynoszący zysku... Dochody tój szkoły, której życzymy powodzenia lepszego w przyszłości, nie wystarczają dotąd na pokrycie wydatków. Niedobór z ostatniego roku wynosi rs. 2,655 z kopiejkami, które pokryto z zasiłków, dawanych przez protektorów tój szkoły—a protektorów tych jest dotąd tylko trzydziestu! Istotnie, stan obecny tutejszj Szkoły Rzemiosł i mała liczba jēj uczniów, stanowi wyrzut bolesny dla społeczeństwa naszego, a tēm boleśnieszj, że zasłużony!...

— W styczniowym zeszytc kwartalnika: „Revue des questions historiques“ (Paris, Victor Palmé), na str. 167—215, O. P. Pierling podaje wielce zajmującą rozprawę historyczną p. n.: „La Pologne, le St. Siège et la Russie, deux projets de conquête d'Etienne Bathory, 1582—1587,“ w której na podstawie mozolnych badań archiwalnych w Bibliotece watykańskiej i w Wenecyi rzuca wiele nowego światła na działalność Possevina. Jeżeli zakonnik, oddany najzupełniej sprawom Kościoła i uległy bez wymówki kierującej nim woli głowy kościoła i przełożonego zakonu, wychodzi tu bez zarzutu, to charakterystyka dyplomaty wypadła mniej korzystnie. Po przeczytaniu pracy O. Pierlinga pozostaje o Possevinie wrażenie, że mu zbywało na tēj trafności spostrzeżenia, na tēj konsekwencyi myśli i działania, na tēj niezłomnej wreszcie i iście bohaterskiej woli, które niezrównanym blaskiem jaśniają w pozostawionej tu nieco na drugim planie postaci jego królewskiego przyjaciela. Zdarzało się Possewinowi spędzać po 40 dni z rzędu w najpoufnieszj z Batorem rozmowie. Ulegał on wtędy najzupełniej tēj fascynacyi, którą połączony z rycerskim zapałem geniusz zwykły był koło siebie wywierać. Nie znajdował on jednak potēm w sobie ani dość energii, ani dość siły przekonau, aby pomysły królewskie skutecznie poprzéc tam, gdzie najwięcej na ich poparciu zależało. Pomimo tego nie Possevin, ani tēj jego niestanowczość położyły ostateczną tamę wielkim planom Batorego. Wytrwałość i energia króla możeby zwalczyła piętrzące się przeszkody, zwłaszcza, że i na stolicy św. zasiadł właśnie w osobie Sykstusa V mąż bohaterskim duchem królowi pokrewny. O. P. P. wyjaśnia stosunek jego do Batorego i prostuje autora najnowszj pracy o Sykstusie V, barona Hübnera. Wszystkiemu położyła koniec śmierć nagła Batorego, zaszła w końcu r. 1586. Że wielki ten król nie tylko orężem działać umiał, ale zdolnym był i do dyplomatycznych zabiegów, dowodzi poselstwo Haraburdy, wyprawione po śmierci Iwana Groźnego, na które odszukane przez autora w Rzymie dokumenta pełniejsze rzucają światło. Z faktów przez znakomitego uczonego dokładnie podanych i dość bezstronnie przedstawionych, widoczne są ze strony Batorego: genialność w ocenieniu sytuacji, niezłomna energia w działaniu, zupełne oddanie się sprawie Kościoła i przybranej ojczyzny; ze strony głównych jego przeciwników: wielka przebiegłość i powiem nawet, chytrość w łudzeniu Stolicy Apostolskiej; ze strony tēj ostatniej: istnie ojcowska i prawdziwie Chrystusowa troskliwość o dobro zbłąkanych owieczek; ze strony w końcu działającego wśród tych żywiołów łącznika, t. j. Possevina: chwiejność, brak jasno

wytkniętego celu, łatwe uwodzenie się pozorami. Cóż dziwnego, że w takich warunkach, dodawszy jeszcze niesforność i parafiańską małoduszność sejmów, o których w tej pracy najmniej; cóż dziwnego, że orzeł nie mógł rozwinąć tu skrzydeł do pełnego lotu? Cóż dziwnego, że wielki cel królewski: połączenie w jedno, bądź drogą podboju, bądź drogą dyplomatycznych zabiegów, dwóch najpotężniejszych narodów słowiańskich, aby je potem z pod stóp Stolicy Piotrowej powieść w bój za całe Chrześcijaństwo; cóż dziwnego, że cel ten olbrzymi w ciągu jedenastoletniego panowania nawet przez Batorego osiągnięty nie został?

— Stypendyum imienia ś. p. Ignacego Boczylińskiego.—Powstała między uczennicami, uczniami i kolegami ś. p. Boczylińskiego piękna myśl uczczenia pamięci zmarłego, przez zebranie stypendyum jego imienia, przechodzić zaczyna w czyn. Redakcja „Tygodnika ilustrowanego“ (Krakowskie-Przedmieście Nr. 15) podjęła się (Nr. 56 z r. b.) przyjmowania ofiar, na ten cel nadsyłanych; na kuratorów zaś zebrać się mającego funduszu uproszeni zostali: dr. Ignacy Baranowski, Ludwik Jenike, redaktor „Tygodnika ilustrowanego,“ i Henryk Krajewski, adwokat. — Urzeczywistnienie tej myśli należy do ogółu, a głównie do licznych uczniów i uczennic, tak wiele mających do zawdzięczenia zacnej działalności zmarłego. Rozproszeni po wszystkich zakątkach kraju, zjednoczyć się powinni we wspólnej chęci złożenia ukochanemu nauczycielowi trwałego hołdu swęj wdzięczności.

— Znany uczony prof. włoski Angelo de Gubernatis wydaje we Florencyi od 1 stycznia r. b. czasopismo p. t.: „Revue internationale,“ miesięcznie 2 zeszyty (10 i 25 każdego miesiąca). Ważności publikacji, pragnącej utrzymać pewien związek intelektualny między sferami oświecieńszemi przeróżnych krajów i narodów, nie potrzebujemy szczegółowo dowodzić. Na tej drodze można jeżeli nie usunąć to przynajmniej objaśnić wiele nieporozumień, wiele uprzedzeń, psujących potrzebną harmonią stosunków tudzież interesów międzynarodowych—uprzedzeń, których samo ułatwienie szybkiej komunikacji nie zdołało jeszcze zatrzeć. Dotychczas nadeszły do Warszawy 4 zeszyty, odznaczające się bardzo ciekawą i nader urozmaiconą treścią częścią szerszej osnowy naukowej, częścią pobieżną relacją o bieżących faktach naukowych i literackich. — W zeszytcie lutowym czytamy fragment Ad. Mickiewicza, udzielony przez syna z rękopisu nieznanego dotychczas a zawierający pogląd Adama Mickiewicza na znaczenie i wielkość historyczną Rzymu.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM,

Z R. 1884.

stron.

Poezya.

Horacyusza Księgi II-giej Satyra 6-a. Przez Felicjana. 1

Filozofia.

Zarys filozofii rodzimój. Przez J. T. Hodięgo. 6

Literatura i krytyka.

Okres „ohmurny” w życiu Adama Mickiewicza. Napisał dr. Teofil Ziemia. 35

O własnej sile. Komedia w trzech aktach wierszem, oryginalnie napisana. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. 113, 193, 385

Faust Goethego i polskie przekłady téj tragedyi. Przez L. Germana. 244

Historya.

Przegląd polskiej literatury historycznej. Przez Michała Chylińskiego. 54

Piltyń i archiwum piltyńskie. Przez hr. Gustawa Manteuffla. 169, 429

Stanisław hr. Wodzicki, prezes senatu b. Rzeczypospolitéj Krakowskiej. (Przyczynek do dziejów Krakowa, 1815—1830). Napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński. (Dalszy ciąg). 232

Kwestya językowa w Austrii. (Przyczynek do historyi nowoczesnej Austro-Węgier). Przez Eugeniusza Lipnickiego. 329

Sztuki piękne.

- Światło i ciemności. Alegoryczny plafon Henryka Siemiradzkiego. Przez Karola Matuszewskiego 74

Numizmatyka i archeologia.

- Wykopalisko monet X i XI wieku, dokonane w roku 1882. Przez Józefa Przyborowskiego. 224
 Pierwsi orientaliści i archeolodzy polscy. Napisał Ludwik Dębicki. 363

Matematyka i nauki przyrodzone.

- Prace matematyczne ś. p. Henryka Muklanowicza i rękopism jego dzieła o miernictwie. Przez T. Skomorowskiego. 267
 Nowe poglądy na elektryczność ziemską W. Siemensa. Przez F. Sulimierskiego. 441

Sprawy społeczne.

- O stosunkach szkolnych i ekonomicznych w W. Ks. Poznańskim. Przez Ludwika Żychlińskiego 277

Polemika.

- Między wydawcą Kodeksu Wielkopolskiego a p. Stanisławem Marońskim. 290

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Doroczne posiedzenie pięciu Akademii: mowa archeologa Heuzey o związku nauk ścisłych z literaturą i sztuką.—Ogłoszenie nagród konkursowych w Akademii francuskiej.—Poemat na cześć Lamartina, przez Jana Aicard.—„Historja Francji za ministeryum kardynała Mazarniego,” p. Cheruel.—„Gaspard Coligny,” p. hr. Delaborde.—„Katarzyna z Aragonu i początki schizmy w Anglii,” p. Alberta de Boys.—„Polityka francuska w r. 1866,” p. Rothan.—„Studia krytyczne nad Historją literatury francuskiej” i „Romans naturalistyczny,” p. Brunetiere.—„Historja wróżbiarstwa w starożytności,” p. Bouche Leclercq.—„Luksemburg,” p. Ludwika Favre.—„Historja literatury i stanowisko pisarzy w Anglii,” p. Aleksandra Beljame.—„Krytyczne wyda-

nie Bossueta," p. Gazier.—„Bibliografia dzieł Woltera," przez rumuńskiego filologa Bengesco.—Przekład poematu Petrarki: „Afryka," p. Deveyey.—„Historya edukacyi kobiet," przez profesora Rousselot.—„Kobieta francuzka," p. pannę Klarysę Bader.—„Ignis," powieść hr. de Chaumy.—„Marco," p. Joannę Meret.—„Marivaux," studyum literackie, przez prof. Laroumet.—„Dom, gdzie umarł Molière," p. Augusta Vitu.—„Zarys estetyki Kartezjusza," p. Emila Krantz.—„Cenzura za piewszego cesarstwa," przez prof. Welshinger.—„Zarys życia i prać Lucyana," p. M. Croizet.—„Pani Sevigné w Bretanii," p. Leona de la Brière.—„Mały Francuz," p. Henryka Bigot.—„Rekreacye naukowe," p. Tissandiera.—„Historya małego człowieka," p. panią Robert Halt.—„Wielkie serca," zbiór poezyi Stefana Liegeard.—„Wielkie serca," szkice prozą, Henryka Lavalley.—Wspomnienie Monthion'a, przez akademika Rousse.—Inauguracya pomnika Aleksandra Dumasa, dłuta Gustawa Doré.—Mowy: Edmunda About, Juliusza Claretie i innych.—Poemacik Augusta Dorchani, wypowiedziany w Odeonie.—Dramat: „Severo Torelli," przez Franciszka Coppée.—Buletyn Towarzystwa uczniów batiniolskich: „Dania i Polska za ministerstwa hr. Bernstorf."—Przekłady poetów polskich na język czeski.—Dr. Karol Merwart: prace jego filologiczne nad pomnikami literatury romańskiej.—Artystyczne prace p. Andriollego.	86
Zmarły historyk Henri Martin. — Dramatyczny poemat „Werongetoryks."	448

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

„Teorya jestestw idyodynamicznych." Napisał Ludwik Natanson, doktor medycyny. Warszawa, 1883. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	186
„Nicolaus Copernicus von Leopold Prowe. Erster Band: Das Leben, I Th., 1473—1512, XXVII, p. 413; II Th., 1512—1543, p. 576. Berlin. Weidmannsche Buchhandlung, 1883, in 8-o, z 6 fotodrukami. Przez H. B	148
„Kinsky und Feuquières," von dr. Edmund Schebek. Berlin, 1882. Przez E. Lipnickiego.	299
„Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen," von dr. S. Ruge. Berlin, 1882, str. 542. Przez E. L.	304
„Sur la densité de l'oxygène liquide." Comptes rendus de l'Académie des sciences, z 16 lipca 1883 r. „Ueber das specifische Gewicht des flüssigen Sauerstoffs." Annalen der Physik und Chemie, 1883, t. XX, przez Zyg. Wróblewskiego. Przez F. Sulimierskiego.	308

Paul Deschanel: La question du Tonkin. Paris. Berger-Levrault et Comp., 1883, str. 8, VII i 505	309
Kazimierz Stronczyński: Dawne Monety Polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów. Część I. Piotrków, 1883. Przez Józefa Przyborowskiego.	462

Korespondencje.

I. Przez Piotra Chmielowskiego.	313
II. Przez Fr. Dobrzańskiego.	484

WIADOMOŚCI BIEŻ., NAUK., LITER., ART. I SPOŁECZNE.

Styczeń.—Instalacja obrazu Matejki: „Jan III-ci pod Wiedniem 1683 r.” w Watykanie.—Ofiary m. Krakowa na restaurację grobowca Bolesława Śmiałego w Ossyaku, tudzież na pomnik Adama Mickiewicza (str. 158).—Statystyka uniwersytetów europejskich w r. 1883.—Wspomnienie pośmiertne historyka francuzkiego, Henryka Martin (159).—Posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 3 grudnia („Słownik synonimów” ks. bisk. Krasińskiego) i 4 grudnia (Plan wydawnictw Akademii) (160).—Ks. Korytkowski: „O ks. prymasie Jakobie Uchańskim” (161).—Plan odbudowy zamku królewskiego na Wawelu p. Prylińskiego.—Krytyczny katalog książek dla dzieci i młodzieży, p. Adolfa Dygasińskiego, tudzież katalog ilustrowany księgarni Gebethnera i Wolffa (162).—Konkurs imienia ś. p. Pauliny Krakow.—Dr. Kestner: Przyczynki do historii miasta Torunia.—Dr. Lichtenheld: Nauka języków klasycznych pod względem pedagogicznym (163).—Wierszyk T. Lenartowicza z okoliczności Wilii Bożego Narodzenia.—List arcyb. Z. S. Felińskiego, opisujący ostatnie chwile Juliusza Słowackiego (164). 158—166

Luty.—Posiedzenie Komisji antropologicznej Akad. Um. w Krakowie (315).—Badanie zwyczajów ludów dzikich (316).—Badania archeologii przedhistorycznej (318).—Ludność W. Ks. Poznańskiego.—Biblioteka Polska w Rumunii (320).—Czytelnia akademicka w Krakowie.—Posiedzenie komisji historii sztuki w Krakowie (321).—Zjazd archeologiczny w Odessie.—Katalog duplikatów Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.—Jan Kochanowski, p. Bronisława Chlebowskiego (322).—Wydawnictwa księgarni Gebethnera i Wolffa (Dubiecki, Spencer, Krwawy dorobek, Guccio zaczarowany).—T. Paprockiego; Lesmana i Świszczowskiego (Poezye Hajoty, Czesława).—Antoni Strzelecki: „Nauka o dobrej gospodarce polnej” (323).—Stefania Jurkowska: „W kraju słońca.”—Wydawnictwa księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie (Listy Juliusza Słowackiego, wydanie 2-gie; M. Romanowskiego: Poezye; Opisy historyczne Halicza).—„Słowansky Sbornik.”—Nieznany rękopis w języku niemieckim, opisujący Polskę w wieku XVII (324).—I. Taylor’a dzieło o Alfabcie.—Rocznik To-

rzystwa pedagogicznego w Paryżu za r. 1883.—Kazimirskiego Słownik perski. — Sprawozdanie komisji Akademii bawarskiej od roku 58 — 1883 (str. 326). 315—326

Marzec.—Zjazd historyczno-literacki imienia Jana Kochanowego w Krakowie d. 28, 29 i 30 maja r. b. (486).—Botanika Jul. esnera.—Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej (488).—Ostate chwile Mickiewicza w Carogrodzie (489).—Szkoła rzemiosł (490). O. Pierling: „O stosunkach Batorego do Rosyi” (491).—Stypendium Ignacego Boczylińskiego.—Angelo de Gubernatis: „Revue internationale” (492). 486—492

Nekrologie.

Ś. p. ks. Józefat Szczygielski.—Ignacy Boczyliński. 166, 167

Ś. p. Augustyn Frączkiewicz.—Konstanty Żupański 327, 328

Od Redakcyi.

Program konkursu na temat: „Obraz historyi literatury polskiej wieku XVII” w zeszytzie za miesiąc luty.

Ogłoszenia księgarskie.